

Bitwa o Warszawę
Powstańcy przeciw Waffen-SS

Ardeny '44
Sensacyjna rozmowa z weteranem US Army

Bierut kontra Gomułka
Dintojra aparatczyków PZPR

NR 2(108)/2022 LUTY 2022

CENA 10,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO

CZY

ISSN 2299-5595
DO DZIEŁ HISTORIA
Nr indeksu 296 031

Krwawy kat Hitlera

ZBRODNIARZ DIRLEWANGER

Rozpocznij rok z mocną dawką historii!



HORYZONT
znak

eprasa.pl 253b1c906f

ADRES: HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
WWW.SUPERHISTORIA.PL
PROWADZĄCY: PIOTR WŁOCZYK

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:
Redaktorzy:
Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk, Piotr Włoczyk
Studio graficzne:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Okładka: **Krzysztof Wyrzykowski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Maciej Strug, Paweł Zdziarski, Łukasz Żygadło.**

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż),
PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Nowakowska, Monika Doroś
tel.: 539 953 631, 508 040 664
pon-pt w godz. 10.00-16.00
prenumerata@pmpg.pl
DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515
Nr indeksu 296031

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów.
Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Łańcut, lipiec 1929 r.

Prezydent Ignacy Mościcki ogląda konie w majątku Alfreda Potockiego (stoi, w jasnym garniturze)



FOT. NAC

Od redaktora



Piotr Zychowicz

Awanturnik z SS

Waffen-SS w założeniu miało być formacją elitarną, wzorowaną na średniowiecznych zakonach rycerskich. Członkowie formacji mieli być superżołnierzami. Znakomicie wyszkolonymi i fanatycznymi. Ślepo wiernymi III Rzeszy. Nie przez przypadek na sztyletach mieli wygrawerowaną dewizę: „Moim honorem jest wierność".

Wyśrubowane były również kryteria rasowe. Esesmani powinni być zdrowymi i jasnowłosymi Aryjczykami. Mieli gardzić używkami, hazardem i łatwymi kobietami. Prowadzić przykładne życie ascetów. Nosić wyprasowane mundury i wypastowane buty. Elita narodowosocjalistycznych Niemiec.

Tyle teoria. A praktyka? W praktyce bywało różnie, czego najlepszym przykładem był antybohater tego numeru „Historii Do Rzeczy": SS-Oberführer Oskar Dirlewanger. Na całym świecie trudno byłoby znaleźć człowieka, który by bardziej nie pasował do propagandowego „ideału esesmana". Szpetny i wychudzony. Z upiorną, pokrytą dziobami twarzą. Nałogowy alkoholik i kobieciarz, po odsiadce za molestowanie seksualne nieletniej. Człowiek niesprawny fizycznie z powodu licznych ran. Niesubordynowany żołnierz, który odmawiał wykonania rozkazów przełożonych.

Umundurowanie Dirlewangera było dalekie od czystości i regulaminu. Na jego ramieniu siedziała… żywa małpa. Dirlewanger miał również w nosie prawa rasowe Rzeszy. Najprawdopodobniej miał żydowską kochankę, a w szeregach jego jednostki służyło wielu Słowian i Azjatów.

Jedna jego cecha natomiast znakomicie pasowała do SS. Mowa o okrucieństwie. Karny oddział Dirlewangera w trakcie działań antypartyzanckich dokonywał szokujących zbrodni. Tylko na Białorusi spalił kilkaset wsi i zgładził 120 tys. cywilów! Podobnych masakr dirlewangerowcy dopuszczali się na Słowacji.

W polskiej historii Dirlewanger zapisał się ponuro. Jego jednostka została rzucona do tłumienia Powstania Warszawskiego. Dirlewangerowcy spalili wiele powstańczych szpitali i rozstrzelali wielu cywilów. Wbrew utartym poglądom nie odpowiadają jednak za rzeź Woli, która była głównie dziełem formacji policyjnych Heinza Reinefartha. Po wojnie „szanowany obywatel" Reinefarth zrzucił winę na nieżyjącego Dirlewangera.

Nie zmienia to faktu, że Dirlewanger był jednym z najbardziej odpychających zbrodniarzy III Rzeszy. ©℗

eprasa.pl 253b1c906f



/ TEMAT NUMERU

.06 SORAYA KUKLIŃSKA
Dwa oblicza Dirlewangera

.10 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Luny na Białorusi

.14 MICHAŁ MACKIEWICZ
Broń kłusowników z Waffen-SS

.16 SORAYA KUKLIŃSKA
Dirlewanger w Warszawie

.20 PIOTR ZYCHOWICZ
Tajemnica śmierci Oskara Dirlewangera

/ CZASY I LUDZIE

.24 VINCENT J. SPERANZA
Czerwony śnieg pod Bastogne

.28 SŁAWOMIR KOPER
Kobiety Papcia Chmiela

.32 MIKOŁAJ IWANOW
Jak ocalał Gomułka

.36 TOMASZ STAŃCZYK
Feldman: polski patriota ze sztetlu

.39 PIOTR SEMKA
Pogromca Algierii

.42 JAKUB OSTROMĘCKI
„Dolina Łez", czyli ośmiu pancernych i jeż

.46 KS. JAVIER OLIVERA RAVASI
Powstanie Cristeros

.50 MAREK GAŁĘZOWSKI
Odwaga Richarda Pipesa

.54 MACIEJ ROSALAK
Drang nach Osten

.80 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Narty, łyżwy, sanie

/ CO CZYTAĆ

.58 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Zwierciadło Jerzego Szaniawskiego

/ FELIETONY

.66 JACEK BARTOSIAK, PIOTR ZYCHOWICZ
Czy Izrael przetrwa na Bliskim Wschodzie

.70 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
O nieistnieniu kapitalizmu

.71 PIOTR SEMKA
Uczeń czarnoksiężnika

.83 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
Zapiski na początek Roku... Mackiewicza

/ KRESY

.72 TOMASZ STAŃCZYK
Gry o tron (2)

/ BATALIE I WODZOWIE

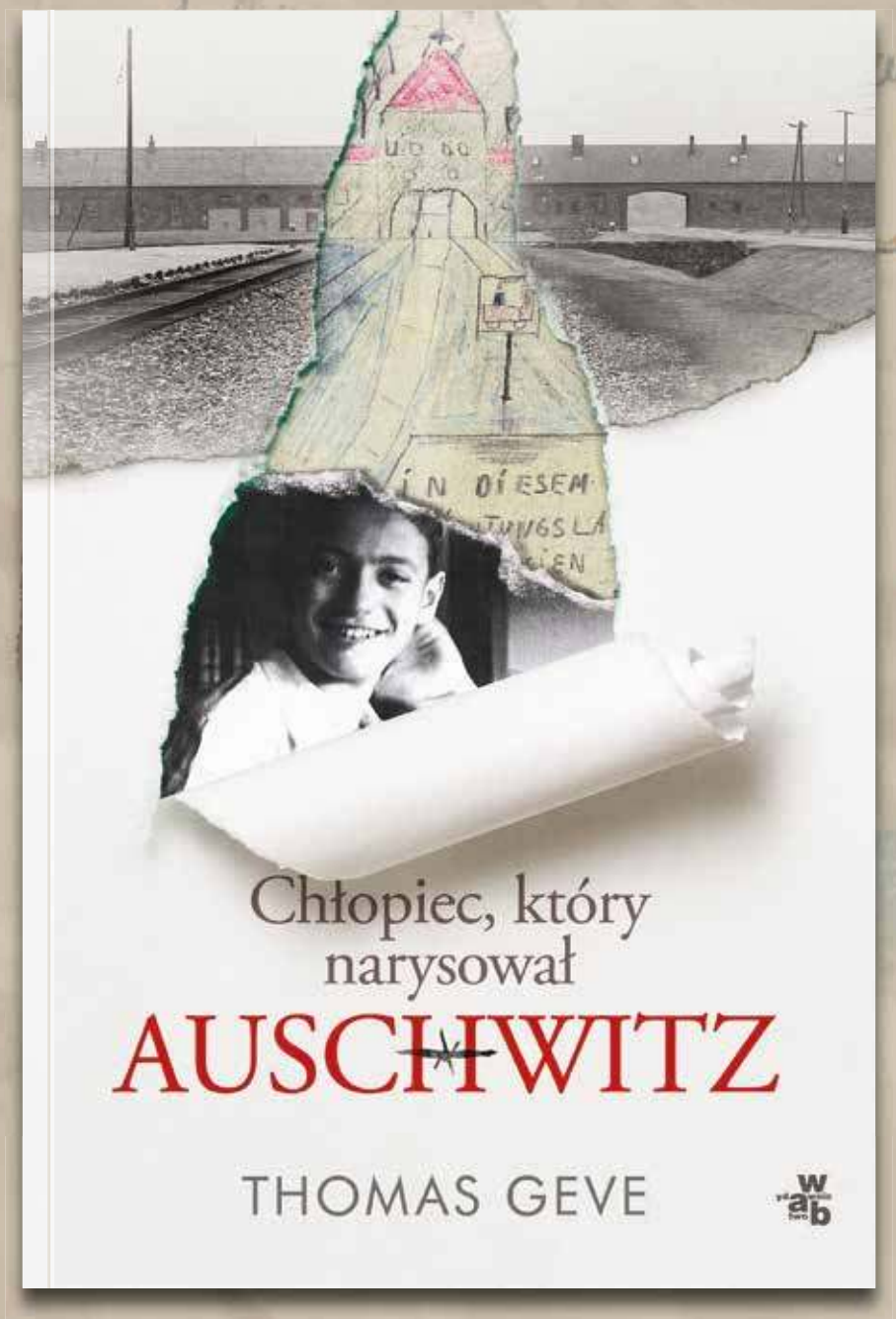
.76 MACIEJ ROSALAK
Hunyady – postrach Turków

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Czołg-zabójca



eprasa.pl 253b1c906f



Przejmujące świadectwo chłopca ocalonego z Zagłady.

tytuł dostępny w: empik salony / online / aplikacja empik go e-book / audiobook

eprasa.pl 253b1c906f

Wywiad / Z dr Sorayą Kuklińską



rozmawia Piotr Zychowicz

Dwa oblicza Dirlewangera

Himmler uważał go za człowieka od brudnej roboty. Polecał mu najbardziej okrutne misje

PIOTR ZYCHOWICZ: We wstępie do biografii Oskara Dirlewangera deklaruje pani, że napisała o nim jak o człowieku. To jak inaczej można by napisać?

SORAYA KUKLIŃSKA: Do tej pory Dirlewanger, głównie w mediach i publicystyce, występuje jako demon. Stosuje się różne określenia typu „Kuba Rozpruwacz" czy „Diabeł". Tymczasem to był zbrodniarz wojenny, ale jednak człowiek. Tak też starałam się go przedstawić.

I słusznie. Mam wrażenie, że używanie podobnych epitetów wobec postaci historycznych zaciera fakt, że do przerażających czynów zdolni są zwykli ludzie. Kiedy Dirlewanger się urodził?

26 września 1895 r.

Przedstawmy zatem krótko naszego antybohatera: walczył podczas pierwszej wojny światowej. Potem służył we Freikorpsach. Tłumił komunistyczne rewolucje na terenie Niemiec. Bił się przeciwko powstańcom śląskim. Robił karierę w NSDAP, miał nacjonalistyczne poglądy. Wydawało się, że w III Rzeszy powinien czuć się jak ryba w wodzie. W latach 30. stanął jednak przed sądem...

Dirlewanger został oskarżony o molestowanie nieletniej. Do gwałtu jednak nie doszło. Akta procesowe wskazują bardziej na romans czy właśnie molestowanie seksualne niż na gwałt. Jego kariera zawodowa i naukowa załamała się jednak wówczas gwałtownie. Dirlewanger w 1934 r. został skazany i trafił na dwa lata do ciężkiego więzienia w Ludwigsburgu. A potem został zamknięty w obozie koncentracyjnym pod Stuttgartem. Wyrzucono go z partii.

Rzeczywiście lekarz dokonał oględzin tej 14-letniej dziewczynki i stwierdził, że nie doszło do penetracji. Bez wątpienia Dirlewanger okazał się jednak człowiekiem zdemoralizowanym. Przed odsiadką zdążył jeszcze spowodować po pijanemu wypadek samochodowy. Jak do tego doszło?

Dirlewanger zorganizował dla swoich współpracowników z Urzędu Pracy w Heilbronn huczną imprezę pożegnalną. A ponieważ sam lubił wypić – tego wieczoru nie żałował sobie. Po imprezie zdecydował się na odwiezienie kolegów do domu. Był pijany. W efekcie jednej nocy dwoma różnymi służbowymi samochodami spowodował dwa wypadki. Za pierwszym razem, wchodząc w zakręt, potrącił kobietę. Drugie auto całkowicie rozbił. Byli poważnie ranni.

Co robił po wyjściu z obozu?

Walczył o to, żeby go zrehabilitowano. Pisał liczne listy do Kancelarii Rzeszy. Pod koniec lat 30. udało mu się wyjechać do Hiszpanii, gdzie służył w szeregach Legionu Condor po stronie Franco. Szkolił hiszpańskich żołnierzy. W ten sposób chciał odzyskać swoje dobre imię.

Dirlewanger to człowiek pełen sprzeczności. Z jednej strony robi doktorat, w swoim miasteczku jest bohaterem. Miejscowy plac nosił jego imię. Z drugiej strony w SS ma reputację człowieka niesubordynowanego, pijaka i kobieciarza. Znajduje się na bocznym torze. W 1939 r. wybucha jednak wojna i wszystko się zmienia.

Nie od razu. Na początku Dirlewanger nie był nikomu potrzebny. III Rzesza kroczyła od sukcesu do sukcesu. Dirlewanger był zaś niepełnosprawny. Miał trwały, 40-procentowy uszczerbek na zdrowiu w wyniku licznych ran odniesionych podczas pierwszej wojny światowej. Do tego ciążył na nim wyrok sądu. Nie było dla niego miejsca w niemieckich siłach zbrojnych. Wyglądało na to, że Rzesza wygra wojnę bez niego. Było to dla niego źródłem frustracji i irytacji. Chciał walczyć za swoją ojczyznę. Pisał więc listy do Himmlera z prośbą o jakiś przydział.

Co na to Reichsführer?

W 1940 r. Himmler wpadł na pomysł utworzenia jednostki złożonej z kłusowników. Uznał bowiem, że ich umiejętności strzeleckie mogą się przydać. Po co mają gnić po więzieniach i obozach, skoro

eprasa.pl 253b1c906f



FOT. WIKIMEDIA COMMONS/BUNDESARCHIV BILD

można ich posłać na front? Dirlewanger wydawał się idealnym kandydatem do tego, żeby dowodzić takimi ludźmi. Utrzymać ich w ryzach. Znany był bowiem z twardej ręki. Dirlewanger oczywiście chwycił się tego pomysłu. To była dla niego jedyna szansa na to, żeby wrócić do gry, wyjechać na front. Z miejsca zabrał się więc do roboty.

Dirlewanger zaczął od niewielkiego karnego komanda, które pod koniec wojny rozwinęło się w 36. Dywizję Grenadierów Waffen-SS.

Na początku miał 55 ludzi. Z czasem jednak napływały kolejne uzupełnienia. Ale jednostka, którą dowodził pod koniec wojny, była dywizją tylko z nazwy. Nigdy nie osiągnęła pełnych stanów etatowych.

Dirlewanger był w SS na specjalnych prawach. Organizacja ta chyba się go wstydziła, a jego ludzi uważała za hałastrę. Czy to prawda, że dirlewangerowcom zabroniono nosić patek mundurowych z runami SS?

W założeniu SS miała być elitarną formacją III Rzeszy. Wielu oficerów było zbulwersowanych stworzeniem oddziału złożonego z przestępców, z których liczni nie spełniali nawet kryteriów rasowych. W efekcie dirlewangerowcy nosili zwykłe czarne patki bez run. Dopiero od 1943 r. mieli własne patki – dwa skrzyżowane karabiny i granat trzonkowy. Z jednolitym umundurowaniem też nie było najlepiej. Każdy nosił to, co udało mu się zdobyć. Było to dość oryginalne towarzystwo.





Niesamowita była też ludzka menażeria, która tam trafiła. Kryminaliści, niesubordynowani żołnierze. Pod koniec wojny w szeregach jednostki znaleźli się nawet więźniowie obozów koncentracyjnych! Między innymi komuniści. Z samego Auschwitz do formacji Dirlewangera wcielono kilkuset ludzi. Wróćmy jednak do roku 1940. Dokąd ich na początku skierowano?

Do okupowanej Polski, do Generalnego Gubernatorstwa.

eprasa.pl 253b1c906f



Nieśmiertelnik Oskara Dirlewangera

FOT. ZBIORY SORAI KUKLIŃSKIEJ

Dirlewangerowcy stacjonowali w Lublinie, pełnili służbę wartowniczą w obozie pracy w Starym Dzikowie. W obozie tym zamknięci byli Żydzi. Dirlewanger starał się w tym czasie wyszkolić swoich żołnierzy, zabiegał o uzupełnienia, o lepsze wyposażenie i broń. Jednocześnie trzymał ich krótko. Miał prawo wymierzać im karę chłosty, a nawet rozstrzeliwać bez sądu. Był panem życia i śmierci.

Ciekawie opisała pani okres, gdy dirlewangerowcy stacjonowali w Lublinie w kamienicy przy ul. Chopina 19. Co tam się działo! Pijaństwo, prostytutki, burdy, strzelanie w pijanym zwidzie. Dirlewanger nie mógł nad nimi zapanować. Jakby tego było mało, gestapo prowadziło przeciw niemu postępowanie. O co chodziło?

Do tajnej policji wpłynęły anonimowe donosy. Dirlewanger miał utrzymywać żydowskie kochanki. Jedną z tych młodych kobiet, Sarę Bergmann, zatrudnił jako tłumaczkę. Wynajął dla niej i umeblował mieszkanie na mieście. Nie znalazłam potwierdzenia w dokumentach, żeby faktycznie była jego kochanką. Ale nie można tego wykluczyć. Dirlewanger traktował ją tak jak innych członków swojej jednostki. Powiedział gestapo, żeby nie wtykało nosa w nie swoje sprawy. To jego oddział i to jego sprawa, co tam się dzieje.

Sprawa z panią Bergmann pokazuje, że Dirlewanger dość swobodnie podchodził do praw rasowych Rzeszy.

To prawda. Podobnie jak do dyscypliny. Z reguły nie słuchał się swoich przełożonych. Gestapo zarzuciło mu również, że w zamian za łapówki zwalniał Żydów z obozu pracy do domu. Dirlewanger wystawiał im nawet pokwitowania, które oni potem w trakcie przesłuchań pokazywali gestapowcom prowadzącym śledztwo!

Jakie konsekwencje gestapo wyciągnęło wobec Dirlewangera za te wybryki?

Żadne. Gestapo nie było mu nic w stanie udowodnić. Jedyne, co się stało, to przeniesienie jednostki na Białoruś na początku 1942 r. Tam dirlewangerowcy zajmowali się tym, do czego byli szkoleni. Czyli działaniami antypartyzanckimi.



Oskar Dirlewanger ze swoim sztabem pod kwaterą w Łohojsku (pałac Tyszkiewiczów), 1943 r.

FOT. ZBIORY SORAI KUKLIŃSKIEJ

Dirlewanger wyglądał dość złowieszczo. Wychudzony, z dziobami na twarzy – przypominał zombi. Na jego ramieniu siedziała żywa małpa. Był bez wątpienia ekscentrykiem. Na Białorusi Dirlewanger obnażył jednak jeszcze jedną swoją cechę – bezwzględne okrucieństwo.

Przez ponad dwa lata dirlewangerowcy brali udział w co najmniej 38 wielkich operacjach oczyszczania terenu. A także w wielu mniejszych działaniach. Dirlewanger okazał się znakomitym dowódcą liniowym, który stworzył skuteczne narzędzie do walki z partyzantką. Jego ludzie w lasach i na bagnach całymi tygodniami tropili sowieckie oddziały. Nosili specjalne maski, używali noży i granatów. Byli mistrzami w swoim fachu…

Tak, Dirlewanger powiedział, że wszystko, co potrafią zrobić partyzanci, potrafią zrobić też kłusownicy. Zwalczanie nieprzyjacielskiej partyzantki to wojskowa służba i nikt nie może mieć za to do nich pretensji. Ale jest też drugi, przerażający wymiar działalności dirlewangerowców. Mam na myśli zbrodnie na ludności cywilnej.

Skala tego była olbrzymia. Szacuje się, że jednostka na Białorusi spaliła od 150 do 200 wsi. Razem z ludnością cywilną – mężczyznami, kobietami i dziećmi. Dirlewangerowcy brali udział w zgładzeniu 120 tys. ludzi. Mieszkańców wsi podejrzanych o sprzyjanie partyzantom spędzali do największego z budynków – z reguły była to stodoła – i palili żywcem. Uciekających ostrzeliwali z karabinów maszynowych. Dirlewangerowcy tworzyli całe „martwe strefy", każdy cywil napotkany na tych terenach był traktowany jak partyzant i zabijany. Ludzie byli traktowani jak zwierzyna łowna.

Dlaczego dirlewangerowcy wybrali taką metodę mordu? Palenie ludzi.

W ten sposób oszczędzali amunicję potrzebną do walki z partyzantami. Pacyfikacja wsi miała oczywiście odciąć partyzantów od zaplecza. Jedną z największych takich akcji była operacja „Herman". Wówczas nie mordowano na taką skalę – schwytanych ludzi Niemcy na ogół wywozili na roboty do Rzeszy. W pozostałych operacjach chodziło jednak o eksterminację ludności.

Na dłuższą metę było to chyba jednak kontrproduktywne. Raz, że mężczyźni ze spalonych wsi uciekali do partyzantki i mścili się na

eprasa.pl 253b1c906f

Niemcach. Dwa, że załamywały się – kluczowe dla gospodarki Rzeszy – dostawy kontyngentów płodów rolnych. Skutki były więc odwrotne do zamierzonych.

Oczywiście. Te brutalne metody działały tylko na krótką metę. Bestialstwo SS radykalizowało ludność Białorusi. Zamiast uspokoić teren – zwiększało chaos. Destabilizowało zaplecze frontu. Niemcy tracili kontrolę. Ale sowieccy partyzanci stosowali dokładnie te same metody. Wsie, które nie chciały z nimi współpracować, palili i bezwzględnie wyżynali. Ludność cywilna Białorusi znajdowała się więc w tragicznej sytuacji. Między młotem a kowadłem.

1 sierpnia 1944 r. wybuchło powstanie w Warszawie. Hitler i Himmler wpadli w euforię, bo zryw dał im doskonałą okazję do zburzenia znienawidzonego miasta i spacyfikowania jego mieszkańców. Ale trzeba było znaleźć jakieś wolne siły, które wykonają brudną robotę...

Niemcy nie byli oczywiście zaskoczeni powstaniem. Wiedzieli, że ono wybuchnie. Jeżeli byli czymś zaskoczeni, to skalą wystąpienia Armii Krajowej. Jednostka Dirlewangera – jako mająca doświadczenie w walce z partyzantami – została włączona do zgrupowania Heinza Reinefartha mającego zniszczyć Armię Krajową. Poszczególne pododdziały dirlewangerowców napływały do polskiej stolicy stopniowo. Pierwsze przybyły 4 sierpnia wieczorem, a do akcji weszły następnego dnia.

W obiegowej opinii dirlewangerowcy odpowiadają za rzeź Woli. Czy to prawda?

Nie. Na początku dirlewangerowców było niewielu i od razu – 5 sierpnia – zostali skierowani na pierwszą linię walk. Bili się z naszymi najlepszymi oddziałami – ze zgrupowaniem „Radosław". Ponosili przy tym gigantyczne straty w zabitych i rannych. Po dwóch dniach walki z 365 żołnierzy zostało raptem 41. Zmagania były więc bardzo zacięte. Dirlewangerowcy nie zajmowali się jednak mordowaniem ludności na tyłach, bo po prostu nie mieli na to czasu. Byli związani walką. Zabijali oczywiście cywilów napotkanych w zdobywanych kamienicach, mogli dokonywać rozstrzeliwań po walce. Na pewno nie można ich obciążyć całkowitą winą za rzeź Woli.

Co ciekawe, sam Dirlewanger zignorował rozkaz Himmlera i przybył do Warszawy dopiero po zakończeniu rzezi Woli.



SORAYA KUKLIŃSKA
„OSKAR DIRLEWANGER"
IPN

Tak, miało to miejsce między 8 a 15 sierpnia. Według większości dokumentów 8 lub 9 sierpnia.

To kto dokonał rzezi Woli?

Oddziały policyjne, głównie z Kraju Warty, dowodzone przez Reinefartha. Kiedy czyta się bez emocji relacje ocalałych, opisy mundurów i wyglądu oprawców, wyraźnie widać, że rzeź była dziełem niemieckich formacji policyjnych. A nie frontowców od Dirlewangera. Reinefarth i Erich von dem Bach-Żelewski po wojnie zrzucili winę za mordowanie ludności Warszawy na Dirlewangera, aby uniknąć odpowiedzialności. Dirlewanger cieszył się fatalną reputacją, a poza tym nie żył. Łatwo było więc obarczyć go odpowiedzialnością.

Obu świetnie się to udało. Nie spadł im włos z głowy. Reinefarth był po wojnie burmistrzem na wyspie Sylt, a Bach występował na procesach zbrodniarzy wojennych jako... świadek. Wróćmy jednak do dirlewangerowców. Istnieją dowody na to, że spalili kilka szpitali powstańczych.

Tak, te zbrodnie bez wątpienia obciążają ich konto. Zabijanie rannych w szpitalach było potwornością. Wszystko zależało jednak od ludzi. Na Starym Mieście dirlewangerowcy palili szpitale, ale znamy też przypadek Szpitala Maltańskiego. Ten szpital dirlewangerowcy ewakuowali z rejonu walk w bezpieczne miejsce. Podobnie było na Tamce, gdzie ze szpitala wyprowadzili ludzi. I dali im jeszcze żywność. Jeden ze świadków opowiadał, że niemieccy żołnierze powiedzieli, iż dopiero co wypuszczono ich z obozów koncentracyjnych. Czyli ewidentnie pochodzili z jednostki karnej Dirlewangera. Sami byli ofiarami systemu narodowosocjalistycznego i nie chcieli uczestniczyć w jego zbrodniach.

To właśnie najbardziej podoba mi się w pani książce. Że pokazuje pani historię nie w sposób propagandowy, ale prawdziwy. Z prawdziwymi ludźmi i prawdziwymi dylematami. W jednej formacji mógł być oficer-zbrodniarz i oficer-przyzwoity człowiek. Prawdziwe życie, a nie blaga.

Tak, wbrew obiegowej opinii dirlewangerowcy nie byli bandą maruderów zajmujących się tylko piciem i plądrowaniem. To oni przez długi czas ponosili główny ciężar walki z powstańcami. I to oni ponieśli największe straty. Oskar Dirlewanger – w uznaniu zasług – został zaproszony do niewielkiego grona niemieckich oficerów biorących udział w ceremonii podpisania kapitulacji przez gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego. Generalny gubernator Hans Frank wyprawił na jego cześć bankiet. Honorowano go w prasie III Rzeszy jako bohatera z Warszawy. Dopiero po wojnie inni oficerowie – jak już wspominałam – zaczęli zrzucać na niego winę za zbrodnie. Wybielali się jego kosztem.

Co Dirlewanger robił po powstaniu?

Razem ze swoimi ludźmi został przerzucony na Słowację, gdzie tłumił tamtejsze powstanie. Potem walczył na Węgrzech przeciwko regularnym jednostkom Armii Czerwonej. Szlak bojowy zakończył w Rzeszy, tocząc rozpaczliwe boje z triumfującymi Sowietami. Działania bojowe dirlewangerowców na Słowacji cechował ten sam schemat działań co na Białorusi. Z jednej strony twarda walka z nieprzyjacielem, z drugiej – bezwzględność wobec cywilów.

W jednym się muszę z panią nie zgodzić. Pisze pani, że Dirlewanger był zbrodniarzem, ale równocześnie dobrym dowódcą liniowym. Ale przecież jego oddział ponosił w walkach wręcz gigantyczne straty! Czy to było dobre dowodzenie.

To nie była kwestia dowodzenia. Dirlewangerowców po prostu zawsze rzucano na najtrudniejsze odcinki. Powierzano im straceńcze misje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Doktor Soraya Kuklińska jest historykiem Instytutu Pamięci Narodowej. Specjalizuje się w historii Waffen-SS, niemieckich działaniach antypartyzanckich i Powstaniu Warszawskim. Napisała książki: „Działalność jednostki SS-Sonderkommando »Dirlewanger« (1940–1945)" i „Oskar Dirlewanger".

eprasa.pl 253b1c906f



1942–1943 / SS-Sonderbataillon Dirlewanger kontra partyzanci

Łuny na Białorusi

Pomnik w Chatyniu

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/JOHN OLDALE



Arkadiusz Karbowiak

W Chatyniu dirlewangerowcy zamordowali bestialsko 149 osób, w tym 76 dzieci

Pacyfikacja wsi Chatyń, której w marcu 1943 r. dopuściły się niemieckie i kolaboranckie oddziały antypartyzanckie, stała się po wojnie symbolem okrucieństwa i zbrodni dokonanych przez niemieckich okupantów na Białorusi w latach 1941–1944. Do drugiej połowy lat 60. wiedza o tym makabrycznym wydarzeniu nie była powszechnie znana nawet w ZSRS. Dopiero 17 stycznia 1966 r. Prezydium KC BSRS postanowiło upamiętnić fakt dokonania w tej miejscowości masakry ludności cywilnej.

W marcu ogłoszono konkurs na projekt kompleksu memorialnego. Został on odsłonięty w 25. rocznicę zajęcia Białorusi przez oddziały Armii Czerwonej. Jego centralnym punktem była rzeźba „Niepokonanego człowieka" przedstawiająca mężczyznę niosącego na rękach ciało martwego chłopca. Monument stanowił odniesienie do prawdziwego zdarzenia, które miało miejsce na terenie wsi tuż po jej zniszczeniu, kiedy to jeden z kilku ocalałych mieszkańców – Józef Kamiński – trzymał na rękach swojego syna umierającego w wyniku zadanych ran.

Wątpliwości natomiast budziła kwestia kryteriów, którymi kierowali się sowieccy decydenci, wybierając tę, a nie inną miejscowość. Zbrodnia w Chatyniu z pewnością nie była największą ani najbardziej krwawą z tych, które popełnili Niemcy na Białorusi. Można jedynie domniemywać, że masakrę postanowiono upamiętnić ze względu na to, iż nazwa miejscowości była zbieżna – szczególnie dla ucha zagranicznego odbiorcy – z nazwą Katynia, a więc miejsca, gdzie Sowieci dopuścili się mordu na ponad 4 tys. polskich oficerów wiosną 1940 r. Zapewne bolszewickim propagandystom chodziło o nagłośnienie niemieckiej zbrodni po to, by część światowej opinii publicznej uznała, że zbrodni w Katyniu dokonali jednak Niemcy.

Chatyń był wsią zamieszkiwaną przez społeczność białoruską, choć – jak wynika z danych ze spisu powszechnego przeprowadzonego w 1926 r. – mieszkało w niej także trzech Polaków. Jednym z nich był wspomniany Józef Kamiński. Podczas okupacji Niemcy utworzyli Okręg Generalny Białoruś, należący do Komisariatu Rzeszy Wschód (Reichskommissariat Ostland). Od 1942 r. toczyła się tu przybierająca na sile wojna partyzancka. Niemcy, nie dysponując oddziałami wystarczającymi do zapewnienia spokoju na zapleczu frontu, zwalczali partyzantkę, całkowicie niszcząc wsie, które zostały uznane za wspierające partyzantów. Do brutalności zachęcały żołnierzy rozkazy wydawane przez OKW. W rozkazie z 16 grudnia 1942 r. podpisanym przez feldmarszałka Wilhelma Keitela czytamy: „[…] wojska są uprawnione i zobowiązane do tego, aby w walce tej – jeśli tylko ma to prowadzić do sukcesu – stosować bez ograniczenia wszystkie środki, również przeciwko kobietom i dzieciom. […] Żaden Niemiec użyty do zwalczania band nie może być

eprasa.pl 253b1c906f



nigdy pociągnięty do odpowiedzialności dyscyplinarnej lub też przed sądem wojennym z powodu jego zachowania się w walce przeciwko bandom lub ich pomocnikom".

Okrucieństwo SS

Jedną z jednostek zajmujących się zwalczaniem partyzantki był SS-Sonderbataillon Dirlewanger. Był to oddział karny utworzony jeszcze w 1940 r. na terenie obozu koncentracyjnego Sachsenhausen pod nazwą Wilddiebkommando Oranienburg. W jego skład weszło początkowo 84 specjalnie wybranych kłusowników. Służąc w jednostce, mieli oni szansę rehabilitacji w walce i odkupienia popełnionych win. 1 lipca 1940 r. dowództwo nad oddziałem objął SS-Obersturmführer dr Oskar Dirlewanger, były weteran wielkiej wojny i członek Freikorps, skazany za kontakty seksualne z nieletnią członkinią Bund Deutscher Mädel (BDM) na karę dwóch lat pozbawienia wolności.

Dirlewanger, mimo początkowej niechęci SS-Reichsführera Himmlera do przyjęcia go do SS, dzięki protekcji swego kolegi i towarzysza broni z okresu pierwszej wojny, szefa urzędu SS Obergruppenführera Bergera, został po uprzedniej rehabilitacji sądowej i partyjnej do tej formacji przyjęty. 1 września 1940 r. wprowadzono nową nazwę oddziału SS-Sonderbataillon Dirlewanger. Jeszcze we wrześniu jednostka trafiła do GG, a konkretnie do dystryktu lubelskiego. Tam jej żołnierze pełnili służbę wartowniczą w obozie dla jeńców WP żydowskiego pochodzenia w Lublinie oraz w obozie pracy dla Żydów w Starym Dzikowie. Po półtorarocznym pobycie w GG ze względu na różnorodne ekscesy, także samego Dirlewangera, które stały się zresztą przedmiotem śledztwa prowadzonego przez prokuratora SS, SS-Untersturmführera dr. Konrada Morgena, dirlewangerowców przeniesiono do zwalczania sowieckiej partyzantki na Białoruś.

W lutym 1942 r. batalion pojawił się w Mohylewie. Podporządkowano go Wyższemu Dowódcy SS i Policji Rosja-Środek SS-Obergruppenführerowi Erichowi von dem Bachowi. Pierwsze walki esesmani stoczyli między 2 a 28 marca w rejonie Osipowicz i Kliczewa pod Bobrujskiem. Liczebność jednostki wynosiła wtedy 250 żołnierzy i jej skład stanowili w 60 proc. kłusownicy, w 20 proc. żołnierze z zarzutami dyscyplinarnymi, a 5 proc. personelu stanowili podoficerowie i oficerowie Waffen-SS bez dyscyplinarnych zarzutów. Nieco później proporcje uległy zmianie z uwagi na fakt wcielenia w czerwcu 1942 r. do batalionu Dirlewangera pierwszych ochotników obcokrajowców. Byli to Ukraińcy z jednego z batalionów Schuma. Powstał tym samym ukraiński pluton pod dowództwem byłego sowieckiego oficera Zugführera Iwana Mielczniczenki. Potem dołączyli także rosyjscy i białoruscy ochotnicy, którzy stworzyli dwie osobne kompanie.

Zarówno wschodni wolontariusze, jak i niemieccy podwładni Dirlewangera wsławili się w trakcie pobytu na Białorusi wyjątkowym okrucieństwem. Tylko podczas operacji antypartyzanckiej „Karlsbad" (14–30 października 1942 r.) zamordowali 546 osób. Zeznający po wojnie członek jednostki Albin Vogel tak to opisywał:

„Każdy batalion miał około pięciu–sześciu ludzi SD, którzy szli za nami w odległości 50 m. Tam nie było powrotu ani cofnięcia się. Podczas mojego pierwszego przydziału pod komendą Dirlewangera zostało całkowicie zniszczonych i eksterminowanych około 40–50 wiosek. Kobiety, dzieci, starcy byli zabijani. Wśród nich były większe wsie, liczące do dwóch tysięcy mieszkańców. [...] W zależności od wielkości wsi ich mieszkańcy byli więzieni w przepełnionych stajniach, niezależnie od tego, czy kobiety, dzieci, stare osoby i mężczyźni w kwiecie wieku byli wplątani czy nie. Następnie te stajnie były zamykane i ludzie z SD, stając przed frontem żołnierzy, rozkazywali: »Strzelać!«. Drzwi stajni otwierano i funkcjonariusze SD strzelali w masę ludzi. [...] Strzelali z karabinów maszynowych na ślepo w ludzi... Karabiny maszynowe trzymali na biodrze i ponownie naładowywali dopóty, dopóki wydawało się, że życie ludzkie nie wygasło w tych stajniach. Następnie stajnie zamykano ponownie i około 10–15 minut później stawały one w ogniu. [...] Zabijani byli wszyscy ludzie, podkreślam, że to były całe populacje wiejskie: kobiety, nawet niemowlęta, dzieci na rękach, starzy ludzie bez względu na wiek. Wsie były gruntownie eksterminowane".

Te bezwzględne metody walki z partyzantami nie były obce także kolaboracyjnym jednostkom antypartyzanckim. Do takich należał 118. ukraiński batalion Schutzmannschaft. Jednostka ta powstała na bazie rozwiązanego przez Niemców, a opartego na zasobach kadrowych pochodzących z Bukowiny, członków melnykowskiej frakcji OUN-M, kurenia bukowińskiego. Wiosną 1942 r. byli członkowie kurenia wstąpili do tworzącego się w Kijowie 115. batalionu



Żołnierze oddziału Dirlewangera, prawdopodobnie na ziemiach białoruskich w 1943 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 253b1c906f



Spacyfikowana przez Niemców wieś, 1943 r.
FOT. BUNDESARCHIV BILD/WIKIPEDIA

Schuma. Równolegle miał miejsce proces tworzenia w mieście drugiego oddziału Schuma. Nadano mu numer 118. Pierwsza kompania tej jednostki właśnie wywodziła się ze „115". Pozostałe dwie oparto na ochotnikach ze wschodniej Ukrainy, głównie jeńcach sowieckich. Poza Ukraińcami w batalionie służyli Rosjanie i Białorusini, a także pojedynczy Osetyjczycy czy Ormianie.

Dowódcą był Niemiec – mjr Erich Körner, natomiast jego ukraińskim zastępcą był oficer armii Ukraińskiej Republiki Ludowej, a potem oficer kontraktowy WP mjr Konstantin Smowśkij. Funkcję szefa sztabu pełnił Hrihoryj Wasiura, skazany w latach 80. w ZSRS na karę śmierci i stracony 2 października 1987 r. Jesienią batalion skierowano do walki z sowiecką partyzantką na Białoruś, gdzie brał udział w najbardziej krwawych operacjach antypartyzanckich, dopuszczając się licznych zbrodni wojennych na ludności cywilnej. W tamtym okresie, od grudnia 1942 r. do marca 1943 r., nabierał on dopiero wprawy w krwawym rzemiośle.

Masakra w Chatyniu

Zarówno 118. batalion, jak i Batalion Specjalny SS Dirlewanger uczestniczyły w masakrze w Chatyniu. Bezpośrednią przyczyną masakry były wydarzenia, które rozegrały się 22 marca 1943 r. na drodze Pleszczenice – Łohojsk. Tam wpadł w zasadzkę zorganizowaną przez sowieckich partyzantów z oddziału „Mściciele" przemieszczający się trzema samochodami pododdział 118. ukraińskiego batalionu Schuma. W trakcie walki śmierć poniósł dowódca 1. kompanii batalionu kpt. Hans Woellke, mistrz olimpijski z 1936 r. w pchnięciu kulą. Poza nim zginęło trzech ukraińskich schutzmannów i niemiecki volksdeutsch. Ranni zostali dowódca I plutonu 1. kompanii Wasilij Mieleszko i dwóch jego podkomendnych. Oto opis zdarzenia w meldunku niemieckim: „W dniu 22.3.43 bandy uszkodziły łączność telefoniczną między Pleszczenicami i Łohojskiem. W celu ochrony grupy odzyskującej [łączność] i wyeliminowania ewentualnych blokad drogowych o godz. 9.30 zostały wysłane [dwa] plutony 1. kompanii 118. batalionu policji pomocniczej [Schutzmannschaften] pod dowództwem Hauptmanna der Schutzpolizei Woellkego. Około 600 m za wioską Huba spotkali robotników zajmujących się wycinaniem lasu. Na nasze pytania odpowiedzieli, że nie widzieli bandytów. Po przejściu około 300 m z kierunku wschodniego został otwarty silny ogień cekaemowy i erkaemowy. W wynikłym stąd boju zginęli Hauptmann der Schutzpolizei Woellke i trzech ukraińskich policjantów, a dwóch policjantów zostało rannych. […] Po rozkazie ukraińskiego dowódcy plutonu walka się skończyła, ponieważ siły własne były niewystarczające do kontynuowania akcji. W drodze powrotnej wspomniani robotnicy w lesie zostali aresztowani, ponieważ byli poważnie podejrzewani o pomoc bandytom. Wkrótce za wioską Huba niektórzy z nich [przeczuwając swój bliski koniec] próbowali uciec. W wyniku otwartego przez nas ognia [karabinowego] 23 os[oby] zostały zabite [ocaleli pod Hubą zeznawali, że ranni zostali dobici na miejscu], a reszta aresztowanych została zabrana na przesłuchanie na [posterunek] żandarmerii w Pleszczenicach. W związku z tym, że ich wina nie została udowodniona, zostali zwolnieni".

Bezpośrednio po zasadzce szef sztabu 118. batalionu porucznik Hryhoryj Wasiura na czele 150 policjantów z 1. i 3. kompanii w towarzystwie obu dowódców jednostki wyruszył na poszukiwanie jej sprawców. W trakcie przeczesywania okolicy doszło do nawiązania kontaktu bojowego z partyzantami. Atakujący szybko zorientowali się w sile przeciwnika i wezwali wsparcie. Po niedługim czasie na pomoc przybyła z Łohojska niemiecka kompania oraz pluton ukraiński z SS-Sonderbataillon Dirlewanger. Wieś Chatyń, do której wycofali się partyzanci, została otoczona. Walka z partyzantami trwała około godziny, po czym rebelianci spod znaku czerwonej gwiazdy wycofali się, tracąc trzech zabitych i czterech rannych.

W meldunku – skierowanym do SS-Obergruppenführera Ericha von dem Bacha – Dirlewanger pisał: „118. batalion pilnie poprosił o wsparcie koło punktu Luba [Huba] (mapa Mołodeczno 22/56). Niemiecka kompania zmotoryzowana razem ze 118. batalionem ścigała [bandytów] wycofujących się do Chatynia. Po walce ogniowej wieś została zdobyta i zniszczona. Trzydziestu uzbrojonych wrogów martwych kompletnie umundurowanych, wśród nich jedna kobieta uzbrojona w strzelbę. Łupy w postaci broni i sprzętu zostały pozostawione bat[alionowi] 118.".

Podobnej treści meldunek sporządził mjr Erich Körner: „W tym czasie przeciwnik wycofał się do znanej jako probandycka wioski Chatyn. […] Jednocześnie przeciwnik wykazywał uparty opór ze wszystkich domów wioski, tak więc musiałem nawet używać ciężkiego uzbrojenia, takiego jak armaty przeciwpancerne i ciężkie moździerze. Podczas bitwy wraz z 34 bandytami zginęło wielu mieszkańców. Niektórzy zginęli w pożarze. W każdym razie większość mieszkańców opuściła Chatyń w ciągu kilku dni, aby nie mieć nic wspólnego z bandytami". Jak widać, obaj dowódcy oddziałów pacyfikujących Chatyń nie okazali się skłonni do zbyt daleko idącej szczerości i zgodnego z prawdą opisania swoich wyczynów.

Zupełnie inaczej to, co się stało po walce, zapamiętał jeden z ocalałych z rzezi mieszkańców wsi, Józef Kamiński: „Kiedy wszedłem do stodoły, było tam już 10 osób, w tym moja rodzina. Zapytałem jeszcze, dlaczego nie są ubrani, a moja żona Adela i córka Jadwiga odpowiedziały, że kaci rozebrali ich. Ludzi nadal zganiali do tej stodoły i po krótkim czasie była całkowicie wypełniona, tak że nie można było nawet podnieść rąk. Rozmiar stodoły to 12 na 6 m, do niej zagnali 107 moich rodaków [ze wsi]. Ze stodoły, kiedy otwierali i zaganiali ludzi, było widać, że wiele domów już płonie. Zdałem sobie sprawę, że nas zastrzelą, i powiedziałem mieszkańcom, którzy byli ze mną w szopie: »Módlcie się do Boga, bo wszyscy tu umrą«. […] Leżałem w śniegu w kałuży krwi, to znaczy zmieszanej ze śniegiem. Wkrótce usłyszałem sygnał do odjazdu

eprasa.pl 253b1c906f

katów, a kiedy trochę odjechali, mój syn Adam, leżący niedaleko ode mnie, jakieś trzy metry dalej, zawołał mnie do siebie, wyciągnąłem go z kałuży. Podpełzłem, podniosłem go, ale zobaczyłem, że został przecięty kulami na pół. Mój syn Adam jeszcze zdążył zapytać: »Czy mama żyje?«, a potem umarł. Jak dużo ciał leżało w pobliżu stodoły, nie pamiętam, pamiętam tylko Żełobkowicza Andreja, którego widziałem zabitego. Oprócz członków mojej rodziny zabili tam jego żonę i troje dzieci, w tym niemowlę. Ja sam nie mogłem wstać i ruszyć się, ale wkrótce do mnie przyszedł mój szwagier Jaśkiewicz Józef Antonowicz, który mieszkał na chutorze około półtora kilometra od w[si] Chatyń, i zabrał mnie do siebie do domu, a raczej niósł na sobie. Wioska Chatyń już wypaliła się całkowicie. To było wieczorem 22 marca 1943 r., kiedy się ściemniało".

Przedstawioną wersję wydarzeń potwierdza zeznanie jednego z pacyfikatorów schutzmanna Ostapa Knapa: „Ludzie zaczęli krzyczeć, stukając do drzwi. Körner, Smowskij i Wasiura rozkazali otworzyć ogień do ludzi zamkniętych w stodole. Dowódcy plutonów rozkazali nam strzelać w stodołę. Wszyscy policjanci, znajdujący się w pobliżu stodoły, otworzyli ogień do ludzi, którzy byli w niej zamknięci. Strzelali Leszczenko, Kremlew i Strokacz z ciężkich karabinów maszynowych, Mieleszko z pistoletu maszynowego, Pankiw i Kusznir z karabinów powtarzalnych. Nie widziałem Subbotina i Biłyka. Nie widziałem, czy strzelał Wasiura, ale według rozkazu jego, Smowskiego i Körnera, mieszkańcy wsi Chatyń zostali rozstrzelani i spaleni. Dobrze pamiętam, że Wasiura uczestniczył w masakrze mieszkańców wsi Chatyń, dowodził działaniami wszystkich oprawców, rozkazał zapędzić ludzi do stodoły, zagonić do niej i rozstrzelać. Oprawcy strzelali do stodoły, aż ucichły okrzyki ludzi i zawalił się dach stodoły".

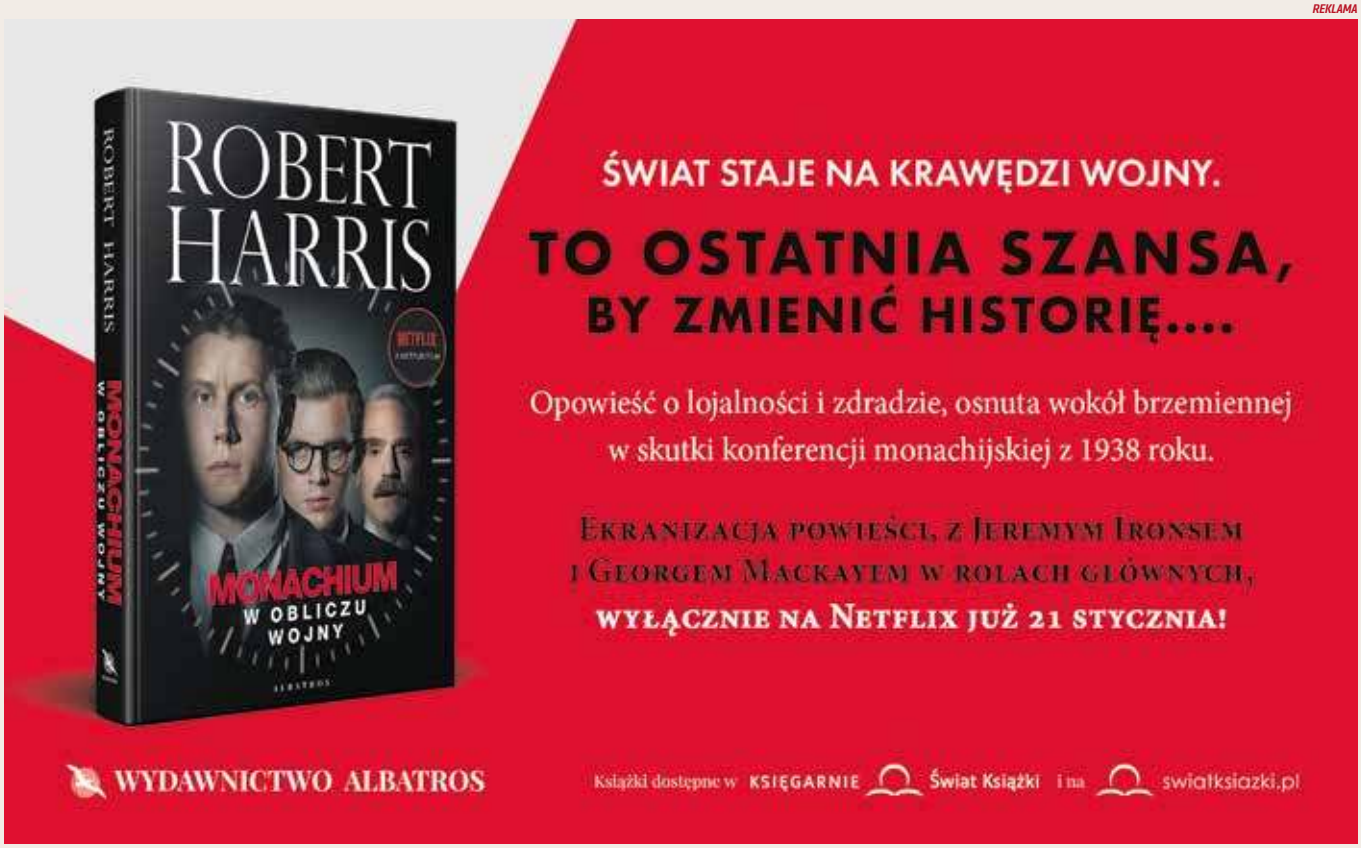
Tego dnia zamordowanych zostało 149 osób, w tym 76 dzieci.

Po wojnie kilku oprawców z Chatynia stanęło przed sowieckimi sądami, a kilku z nich, m.in. Wasiura i Mieleszko, zostało skazanych na karę śmierci i straconych. Oba oddziały pacyfikujące Chatyń dokonały na Białorusi jeszcze wielu podobnych zbrodni. Żołnierze Dirlewangera już jako członkowie SS-Sonderregiment Dirlewanger uczestniczyli w tłumieniu Powstania Warszawskiego oraz słowackiego, a zakończyli swój krwawy szlak bojowy w kotle pod Halbe, walcząc w składzie 36. Dywizji Grenadierów SS. Ci, którzy przeżyli, trafili do sowieckich łagrów.

Inaczej potoczyły się losy policjantów z 118. batalionu. Po zmianie numeracji (batalionowi nadano numer 63) wraz z schutzmannami z 115. batalionu zostali włączeni do 30. Dywizji Grenadierów SS (30. Waffen-Grenadier-Division der SS, russische Nr. 2) i przerzuceni do Francji. Tam mieli wziąć udział w walkach z maquis. W nocy z 26 na 27 sierpnia 1944 r. doszło do masowej dezercji 464 ukraińskich esesmanów do francuskich partyzantów. Utworzono z nich II ukraiński batalion Francuskich Sił Wewnętrznych FFI (Forces françaises de l'intérieur). Po wyzwoleniu Francji przez aliantów część policjantów, chcąc uniknąć ewentualnej deportacji do ZSRS, wstąpiła do szeregów 13. Półbrygady Legii Cudzoziemskiej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



eprasa.pl 253b1c906f



Broń kłusowników z Waffen-SS



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Jednostka Oskara Dirlewangera wchodziła w skład elitarnej Waffen-SS. Nosiła charakterystyczne dla tej formacji umundurowanie i wyposażenie

Ubiory maskujące należały do najbardziej charakterystycznych atrybutów oddziałów Waffen-SS. Wprawdzie umundurowanie SS nie było protoplastą nowoczesnego kamuflażu, ale to esesmani pierwsi użyli tego typu ubiorów na tak dużą skalę. Zastosowano je już podczas kampanii w Polsce w 1939 r. (w pułku Deutschland), ale dopiero we Francji stały się naprawdę masowe. Za inicjatora opracowania specjalnego umundurowania maskującego uznaje się SS-Hauptsturmführera dr. inż. Wilhelma Brandta, natomiast projekt przygotowany został przez prof. Ottona Schicka w ośrodku mieszczącym się w obozie koncentracyjnym w Dachau. ©℗



Maska
Maskujące zasłony na twarz (Gesichtstarnmasken) nie były wygodne podczas dynamicznej walki. Poza wersją sznurkową stosowano także wzór zimowy – cały biały lub pokryty kamuflażem. Używano ich przez cały okres wojny w oddziałach liniowych, zazwyczaj podczas obrony stacjonarnej, stąd przyjęło się łączyć je ze snajperami i strzelcami wyborowymi. Ale przeznaczone były dla wszystkich żołnierzy pozostających w bliskim kontakcie z nieprzyjacielem.

Granat trzonkowy wz. 24
Niemiecki granat zaczepny, popularny „tłuczek do kartofli", ważył ok. 600 g. Składał się z drewnianego trzonka z wydrążeniem na zapalnik tarciowy i zawleczkę oraz blaszanej głowicy z trotylem. Zwłoka wynosiła 4,5 sekundy. Niemiecki „trzonkowiec" (Stielhandgranate) pojawił się w czasie pierwszej wojny światowej i w trakcie jej trwania przeszedł kilka modyfikacji. Wzór z roku 1924, który z niewielkimi zmianami dotrwał do drugiej wojny, odznaczał się większym bezpieczeństwem dla użytkownika i odpornością na trudne warunki frontowe (zabezpieczenie przed wilgocią). Granaty dostarczano na pole walki nieuzbrojone, żołnierze sami umieszczali w zapalnikach detonatory. Przed użyciem odkręcano kapsel na końcu trzonka i ciągnięto za sznurek z zawleczką. Choć niewygodny w transporcie i o niewielkim promieniu rażenia (ok. 15 m), ceniony był za możliwość dalekiego i celnego rzutu (dzięki długiemu trzonkowi). Granaty trzonkowe noszono zatknięte za pasem lub w cholewie buta; żołnierzom piechoty wydawano od jednego do trzech granatów.

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

eprasa.pl 253b1c906f



Hełm

Niemiecki hełm stalowy (Stahlhelm) z okresu pierwszej wojny światowej – wzór 1916 – okazał się tak udany, że w okresie III Rzeszy dokonano tylko niewielkiej modyfikacji jego kształtu. Formę dzwonu dopracowano, a daszek i nakarczek stały się mniej wydatne. Po bokach znajdowały się dwa otwory wentylacyjne. Krawędzie wczesnych niemieckich hełmów (wzory 35 i 40) były zawijane, a całość odznaczała się doskonałą jakością; istniało kilka rozmiarów czerepów, a wewnętrzna regulacja umożliwiała idealne dopasowanie do kształtu i wielkości głowy. Podpinkę wykonywano z czernionej skóry. Niemieckie hełmy posiadały po bokach rozpoznawcze tarczki nanoszone w formie kalkomanii – na prawej stronie barwy narodowe w postaci trzech pasków: czarnego, białego i czerwonego, na lewej: orzeł lub runy SS. Kolejny wzór hełmu – wzór 42 – różnił się od poprzednika mniej starannym wykończeniem i cieńszą blachą – łatwo go odróżnić po krawędziach, które nie były zawijanie, tylko obcinane. Na hełm nakładano dwustronny pokrowiec maskujący.

Pistolet maszynowy MP 40

Chociaż w porównaniu z Wehrmachtem oddziały Waffen-SS używały wielu wzorów pistoletów maszynowych, to z czasem podstawowym peemem stał się MP 40. Broń kal. 9 mm działała na zasadzie odrzutu zamka swobodnego i była zasilana z 32-nabojowego magazynka pudełkowego dołączanego od dołu; nie posiadała przełącznika rodzaju ognia. Zaprojektowano ją pod koniec lat 30. z myślą o załogach pojazdów pancernych oraz spadochroniarzach (MP 38). Była to konstrukcja nowatorska, wykonana całkowicie ze stali i tworzywa sztucznego, dodatkowo wyposażona w składaną kolbę. MP 40 (wersja technologicznie uproszczona) stał się ikoną niemieckiego żołnierza i był popularnie nazywany szmajserem (w rzeczywistości twórcą broni był inż. Heinrich Vollmer z zakładów ERMA). Zasięg skuteczny wynosił ok. 200 m, ale najlepsze efekty uzyskiwano, prowadząc ogień do celów oddalonych o kilkadziesiąt metrów. MP 40 był bez wątpienia konstrukcją udaną, nieskomplikowaną i stosunkowo łatwą w eksploatacji.

Pas główny (polowy)

W Waffen-SS stosowano ten sam wzór skórzanego pasa głównego co w Wehrmachcie, a jedyna różnica dotyczyła formy orła i odmiennego motta, które wytłaczano na aluminiowej klamrze: zamiast „Gott mit uns" („Bóg z nami") było to „Mein Ehre heist Treue" („Mój honor to lojalność"); orzeł miał rozpostarte skrzydła. Klamry pokrywano farbą w kolorze ochronnym. Na pasie głównym zawieszano ładownice (karabinowe lub na magazynki do pistoletów maszynowych), saperkę wraz z bagnetem, chlebak i manierkę, a także mapnik czy futerał na broń krótką; dodatkowo podczepiona była doń puszka z maską przeciwgazową i dodatkowym pasem naramiennym.

Pistolet Walther P38

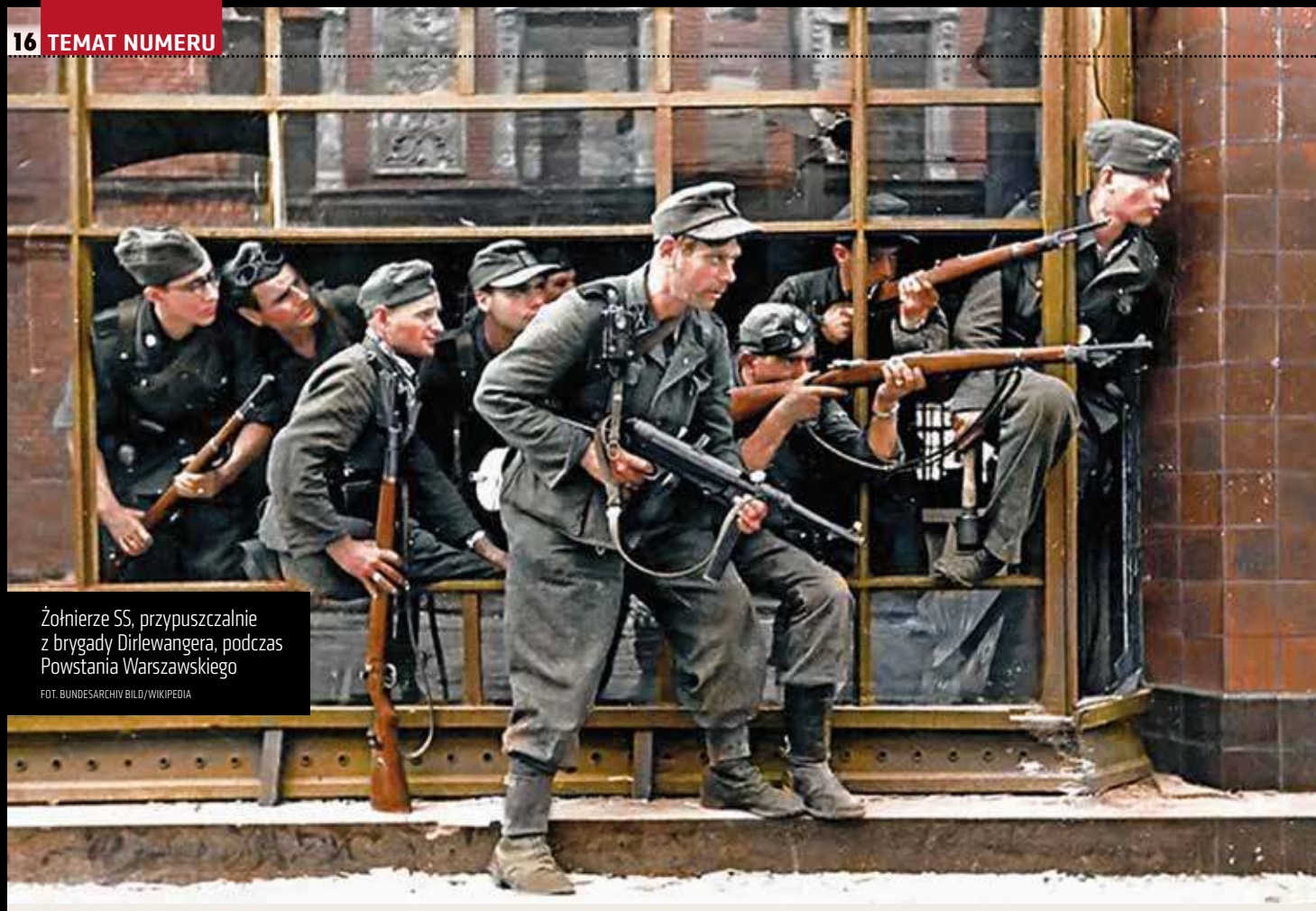
Na pasie głównym znajduje się skórzany futerał z pistoletem P38 kal. 9 mm. Broń działała na zasadzie krótkiego odrzutu lufy, zasilano ją z ośmionabojowego magazynka. P38 oparto na rozwiązaniach Browninga, posiadał jednak kilka istotnych udoskonaleń. Broń ryglowano za pomocą wahliwego rygla umieszczonego pod lufą. Cechą wyróżniającą był mechanizm spustowy z samonapinaniem (P38 jest bronią podwójnego działania – ang. double action/single action), dzięki czemu można go było nosić z nabojem w komorze i nienapiętym kurkiem, a jednocześnie gotowym do natychmiastowego strzału. Zastosowano także wiele zabezpieczeń: sygnalizator obecności naboju w komorze, bezpiecznik skrzydełkowy oraz wewnętrzny, który uniemożliwiał oddanie strzału przy niecałkowitym zaryglowaniu lufy. Zaletą było także to, że P38 strzelał różnie elaborowaną amunicją, co w warunkach wojennych miało niebagatelne znaczenie. P38 powstał jako następca przestarzałego, drogiego w produkcji i skomplikowanego Parabellum P08. Okazał się jednym z najnowocześniejszych pistoletów epoki. Futerały do P38 wykonywano z czernionej skóry.

Bluza maskująca

Pod koniec lat 30. zaadoptowano trzy elementy: pokrowiec na hełm (Tarnhelmüberzug), bluzę wkładaną przez głowę (Tarnjacke) oraz maskę na twarz. Wykonywano je z wodoodpornej tkaniny bawełnianej. Kamuflaż początkowo był naszywany ręcznie, potem wykonywano go maszynowo. Pokrowiec i bluza były dwustronne, z jednej strony pokrywano je rozmaitymi odcieniami zieleni, dostosowując do okresu wiosenno-letniego, z drugiej odcieniami brązu, tak by zlewały się z otoczeniem w porze jesiennej. W przeciwieństwie do geometrycznego wzoru stosowanego w Wehrmachcie kamuflaż SS tworzyły małe nieregularne plamki w kontrastowych kolorach i o wyraźnych granicach. Bluzy miały sznurowane rozcięcie, a w talii oraz na mankietach rękawów elastyczne ściągacze. Pierwszą wersję kamuflażu Waffen-SS zwie się Platanenmuster, co nawiązuje oczywiście do kształtu plamek, ale w ciągu wojny wprowadzono wiele innych wzorów. Ubiory te okazały się na wskroś nowoczesne, dawały doskonały efekt maskujący zarówno z bliska, jak i na dalekich dystansach. Były świetnie oceniane przez przeciwników, zwłaszcza Amerykanów, którzy doceniali nie tylko ich walory maskujące, lecz także jakość materiału oraz jego niespotykaną odporność na wilgoć. Według pierwotnych założeń bluzy powinno się nosić na mundurze polowym i ekwipunku. Aby można się było dostać do wnętrza i sięgnąć np. po naboje w ładownicy, miała ona pionowe rozcięcia po obu bokach. Rozwiązanie takie okazało się niepraktyczne i pas główny z całym oporządzeniem noszono zazwyczaj na bluzie. Z czasem zrezygnowano z rozcięć, zastępując je zwykłymi kieszeniami zamykanymi na klapy z guzikami. Poza klasycznymi bluzami panterkami zakładanymi przez głowę wprowadzono także ubiory o kroju zwykłych mundurów. ©℗

wszystkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 253b1c906f



Żołnierze SS, przypuszczalnie z brygady Dirlewangera, podczas Powstania Warszawskiego

FOT. BUNDESARCHIV BILD/WIKIPEDIA

1944 r. / W walce z Armią Krajową

Dirlewanger w Warszawie



Soraya Kuklińska

W trakcie powstania dirlewangerowcy spalili polskie szpitale. Ranni spłonęli żywcem

Był 26 września 1944 r. Oskar Dirlewanger obchodził 49. urodziny. Po raz kolejny dowiódł, że potrafi przełamać wszelki opór przeciwnika, nawet tak upartego jak Polacy. Warszawa dogorywała. Niecały tydzień dzielił Niemców od kapitulacji Powstania Warszawskiego. Dirlewanger świętował razem ze sztabem, najbliższymi podwładnymi i głównymi dowódcami niemieckich sił. I znowu pokłócił się z SS-Gruppenführerem Heinzem Reinefarthem, prawnikiem, którego Himmler wyznaczył na dowódcę Kampfgruppe. Urodzinowy, radosny nastrój prysł. Dirlewanger rzucił odznaczenie pod nogi Reinefartha. Powstrzymany przed wyzwaniem Reinefartha do pojedynku, wściekły opuścił budynek.

Współpraca Dirlewangera z Reinefarthem w Warszawie nie przebiegała

eprasa.pl 253b1c906f



Hełm używany przez Waffen-SS FOT. SS-STEEL-INC.COM

w zgodzie. Dirlewanger – typowy żołnierz i frontowiec – nie znosił dekowników siedzących za biurkiem, gdy toczyła się wojna. Za takiego prawdopodobnie uważał Reinefartha. Mimo że podlegał jego rozkazom, nie miał zamiaru ich respektować. Nie dość, że sprzeciwiał się rozkazom, to jeszcze nie wpuszczał od niego łączników, a nawet groził im rozstrzelaniem. Zresztą Reinefarth nigdy nie mógł być pewien, w jakim kierunku ruszy natarcie dirlewangerowców. Po wojnie, gdy toczyły się procesy zbrodniarzy nazistowskich, skrupulatnie wykorzystał tę sytuację na swoją korzyść i uniknął sprawiedliwości, zrzucając całą winę na nieżyjącego już dowódcę SS-Sonderkommando „Dirlewanger".

Dirlewanger ignorował nie tylko Reinefartha. Podobnie podszedł do rozkazu niezwłocznego wyruszenia do Warszawy wydanego przez Heinricha Himmlera. U Ericha von dem Bacha-Zelewskiego w Sochaczewie zameldował się dopiero 8 sierpnia, noc spędził w Pałacu Brühla, a następnego dnia zjawił się w swojej kwaterze w Szpitalu Zakaźnym na Woli. Zamiast natychmiast wyruszyć do Warszawy, pojechał do Berlina i Prus organizować zaopatrzenie, a następnie odwiedził rodzinę w Esslingen. Wbrew powszechnie panującemu przekonaniu nie uczestniczył w Rzezi Woli.

Dirlewanger był kompetentnym dowódcą liniowym. Z podlegających mu indywiduów stworzył skuteczną jednostkę do zwalczania partyzantów. W działaniach antypartyzanckich i nietypowych sposobach walki wprawiali się przez ponad dwa lata na Białorusi. Dirlewanger stwierdził, że „Idąc po wygodnych ścieżkach, nie odkryjemy obozu wroga. Osiągniemy to, jedynie przedzierając się przez bagna. […] Bagno nie jest żadną przeszkodą dla bandytów; co umieją bandyci, potrafią też kłusownicy". Nauczyli się ukrywania i maskowania. Na akcje zabierali tylko to, co niezbędne. Osaczali partyzantów i ich likwidowali. Te same metody zastosowali w Warszawie.

W ostatnich dniach lipca 1944 r. w Warszawie aż huczało od plotek. Czekano na rozkaz do rozpoczęcia walk. Wielu młodych patrzyło na ewakuację niemieckiej administracji, urzędników i oddziałów Wehrmachtu. Myśleli tylko o tym, że wróg ujdzie cało i nie zdążą się odegrać.

Także w niemieckim garnizonie wrzało. Już pod koniec lipca wywiad informował Heinricha Himmlera o możliwych rozruchach w polskiej stolicy. 27 lipca Adolf Hitler wyznaczył na komendanta wojennego miasta gen. por. Reinera Stahela, który za odwagę i działania bojowe został odznaczony Krzyżem Rycerskim z Mieczami. W dniach 30–31 lipca Himmler zwołał naradę w swojej kwaterze w Kruglankach. Uczestniczyli w niej m.in. specjaliści od zwalczania oporu i partyzantki – Erich von dem Bach-Zelewski, Bronisław Kamiński, Oskar Dirlewanger i Heinz Guderian. Prawdopodobnie dyskutowali o sytuacji w Warszawie.

1 sierpnia 1944 r. Stahel meldował: „W Warszawie wybuchły rozruchy. Kilka posterunków policyjnych zostało zaatakowanych. Tak samo i poczta". To on następnego dnia wydał rozkaz zabijania wszystkich mężczyzn (potencjalnych i rzeczywistych powstańców) oraz brania zakładników spośród ludności cywilnej, aby później wykorzystać ich jako żywe tarcze podczas ataków na powstańcze pozycje. Skala powstania jednak zaskoczyła Niemców i wywołała olbrzymią złość. Efektem były masowe egzekucje zapoczątkowane w pierwszych godzinach powstania przez oddziały znajdujące się w warszawskim garnizonie. Mszczono się na mężczyznach podejrzewanych o bycie powstańcami, później wypędzano ludność cywilną i ją likwidowano. Budynki grabiono i palono. W myśl rozkazu Hitlera – Warszawa miała stać się zastraszającym przykładem dla całej Europy i przestać istnieć.

Zadanie stłumienia oporu otrzymał Reinefarth. Mimo że nigdy nie dowodził





Żołnierze Waffen-SS podczas Powstania Warszawskiego FOT.BUNDESARCHIV BILD/WIKIPEDIA

eprasa.pl 253b1c906f



tak licznymi siłami, niezwłocznie przystąpił do działania. Do Warszawy wysłano m.in. 608. Pułk Specjalny płk. Willego Schmidta, brygadę szturmową RONA Kamińskiego, bataliony „Reck" i „Peterburs" oraz kompanie policji i żandarmerii.

Wola, cmentarze

Wieczorem 4 sierpnia do Warszawy dotarło 365 żołnierzy Dirlewangera z I Batalionu (Kampfgruppe „Meyer"). To, co zobaczyli na miejscu, było wstrząsające nawet dla nich. Opowiadali: „Po północnej stronie ul. Wolskiej znajdował się wysoki czerwony mur. Pod tym murem, na obszarze od 18 do 20 m, leżały ciała; ale nie jedna warstwa, tylko kilka. Stos trupów mógł mieć metr wysokości. […] W miejscu, gdzie wysiedliśmy z ciężarówek, znajdowała się brama […] na teren fabryki. Przez tę bramę żołnierze wprowadzali […] cywilów […], słyszałem krzyki i strzały […]". Później otrzymali rozkaz, aby odsyłać na tyły wszystkich jeńców. Tam miały się nimi zająć oddziały policyjne i SD, „nie mieliśmy wątpliwości, że policja rozstrzeliwuje ludność cywilną na podwórzach. Nie widzieliśmy ich [egzekucji]. Jednak w toku dalszych działań […] widzieliśmy ciała cywilów […]".

5 sierpnia SS-Sturmbrigade „Dirlewanger" starła się z powstańcami ze Zgrupowania „Radosław". Walczyli m.in. o pałacyk Michlera [Michla]: „Wreszcie słychać niemieckie komendy. […] Stoją spokojnie co kilka metrów pod domami po obu stronach Wolskiej, rękawy mają zakasane, są bez hełmów, rozpięte pod szyją kurtki czernią się wyłogami i naramiennikami – to SS, […] jedna z kompanii brygady Dirlewangera". Dwa dni ciężkich walk kosztowały ich ok. 324 rannych i zabitych. Powstańcy nie byli łatwym przeciwnikiem. Mimo braku przygotowania i słabego uzbrojenia stawiali zaciekły opór. Dirlewangerowcy w ciągu dnia posuwali się raptem o 100 m. Obie strony były pełne podziwu dla opanowania i umiejętności przeciwnika. „Parasolarze" wspominali, jak w czasie ataku przy Młynarskiej widzieli ich na tle słońca: „To starzy znajomi z Wolskiej, ci sami esesmani z brygady Dirlewangera. Są równie spokojni, jak i przedtem. Bez pośpiechu układają się na stanowiskach, mimo obstrzału z naszych okien i obrzucania granatami". Udało im się zająć pałacyk dopiero wtedy, gdy „Parasolarze" wycofali się ze stanowisk.

Na trasie natarcia palono wszystkie kamienice. Jeńców rozstrzeliwano lub odsyłano na tyły, gdzie likwidowali ich policjanci i żandarmeria. Rannych w szpitalach powstańczych palono żywcem.

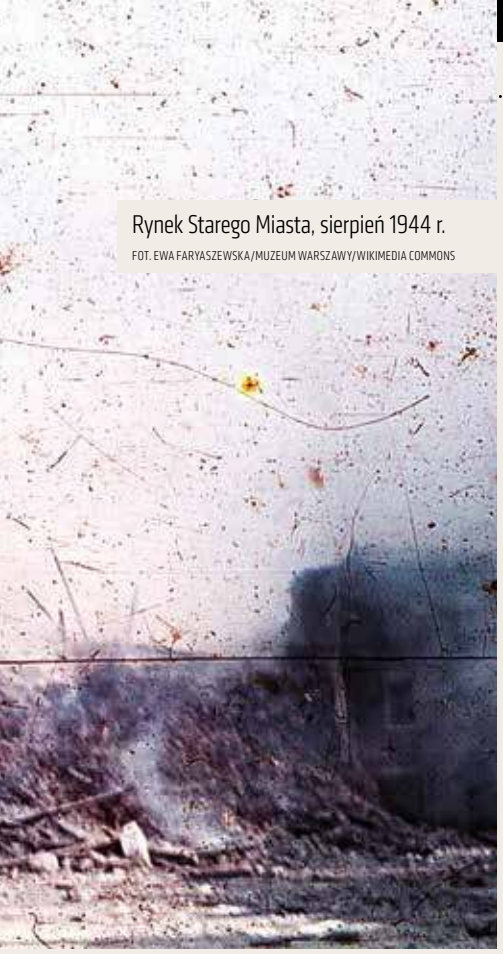
6 sierpnia Zgrupowanie Reinefartha podporządkowano rozkazom von dem Bacha. Złagodził on rozkaz o rozstrzeliwaniu wszystkich, gdyż uznał, że nie wystarczy mu amunicji. Wtedy też bombowce nurkujące rozpoczęły bombardowanie miasta. Całe ulice równano z ziemią. Dzień później do Warszawy dotarł II Batalion – Kampfgruppe „Steinhauer" (ok. 350 żołnierzy). Wtedy też jednostka przebiła się do okrążonego w Pałacu Brühla gen. Stahela. Podobno Kurt Weisse – oficer sztabowy dowodzący w tamtym czasie siłami Dirlewangera – stał na pierwszym pojeździe, który wjechał na dziedziniec.

Zarówno dla powstańców, jak i ludności cywilnej olbrzymim problemem byli gołębiarze – strzelcy wyborowi. Rekrutowali się oni spośród kłusowników Dirlewangera. Ich ostrzał „był niezwykle celny, przez co niezależnie od powodowanych strat wzbudzał dużą nerwowość". Janusz Brochwicz-Lewiński „Gryf", który sam ledwo uszedł z życiem, opowiadał o walkach na cmentarzu ewangelickim: „Nieprzyjaciel był tak schowany, że go prawie nie widziałem […]. To był bardzo doświadczony żołnierz frontu wschodniego, który umiał kamuflażować się, przypinając sobie kawałki drzewa, liście, jakieś kawałki zieleniny do hełmów i do mundurów […], miał szereg wyborowych strzelców ukrytych na drzewach albo gdzieś w zaułkach między grobami, którzy precyzyjnie […] szukali celu". Strzelcy wyborowi Dirlewangera nie strzelali do zwykłych żołnierzy. Czekali na dowódców. „Zabity dowódca przynosi katastrofę dla oddziału".

Stare Miasto, Powiśle, Czerniaków

7 sierpnia dirlewangerowcy ruszyli do ataku na Stare Miasto. Działania te poprzedziły masowe bombardowania. Jednostka przez cały czas otrzymywała uzupełnienia z obozów koncentracyjnych i więzień Wehrmachtu i SS. Części z nich nie odnotowano w stanach osobowych, ponieważ zanim ich zarejestrowano, ginęli w walkach. Z tego powodu nie da

eprasa.pl 253b1c906f



Rynek Starego Miasta, sierpień 1944 r.
FOT. EWA FARYASZEWSKA/MUZEUM WARSZAWY/WIKIMEDIA COMMONS

się dokładnie oszacować strat SS-Sturmbrigade „Dirlewanger" poniesionych w Warszawie.

14 sierpnia podwładni Dirlewangera zajęli Szpital Maltański. Co ciekawe, rannych wyprowadzono i pozwolono im pod eskortą przejść na stronę zajętą przez powstańców. Nie był to jedyny przypadek, gdy SS-Sturmbrigade „Dirlewanger" ocaliło rannych przeciwników. Wszystko zależało od dowódcy danego oddziału. Ranni, którzy zostali w szpitalach na Starówce po wycofaniu się polskich oddziałów, nie mieli już tyle szczęścia. 2 września dirlewangerowcy spalili wraz z rannymi szpitale Pod Krzywą Latarnią i przy ul. Długiej. Zazwyczaj wypędzano personel i lekko rannych. Sanitariuszka Stefania Krosnowska ze szpitala przy Długiej 7 opowiadała: „Niemcy wypędzają nas na podwórze, za nami wychodzi kilkanaście osób… Reszta? Słyszymy wściekłą palbę pistoletową w podziemiach, a kiedy wyprowadzone na Podwale oglądamy się na szpital, widzimy gmach w płomieniach".

Po upadku Starego Miasta podwładni Dirlewangera skierowali się na Powiśle i Czerniaków. Powiśle padło 7 września. Jeden z dirlewangerowców wspominał, że „nieprzyjemne w walce było to, że nigdy nie widzieliśmy twarzy przeciwnika, że nie wiedzieliśmy, skąd padną strzały". Zacięte boje toczyli z powstańcami „Radosława" w rejonie ulic Okrąg i Wilanowskiej.

W szpitalu na Czerniakowie przebywał żołnierz Kedywu Stanisław Likiernik „Stach". Po wycofaniu się powstańców do ich szpitala przez kilka dni zaglądali żołnierze Dirlewangera. Opowiadał, jak pewnego dnia golił go jeden z nich „i niemal płakał nade mną, bo żyletka była tępa i sprawiał mi ból. […] Ten sam poprzedniego dnia na rozkaz szefa kompanii karnej, oficera żandarmerii, dobijał rannych". Po upadku Górnego Czerniakowa SS-Sturmbrigade „Dirlewanger" walczyła na Mokotowie w rejonie fabryki octu. To wtedy świętowano urodziny Dirlewangera.

W 1947 r. von dem Bach stwierdził, że w jednostce Dirlewangera byli ludzie, „którzy nie mieli nic do stracenia i wszystko do wygrania". Jest to trafne podsumowanie. Od momentu powstania SS-Sonderkommando „Dirlewanger" służyli w niej kłusownicy, później kryminaliści i aspołeczni, którym za walkę obiecano rehabilitację. W Warszawie dołączyli do nich więźniowie polityczni z obozów koncentracyjnych i ludzie odpowiadający pośrednio za zamach na Hitlera z 20 lipca 1944 r. Walcząc, mieli szanse na dalsze życie. Alternatywą była egzekucja za dezercję i niewykonanie rozkazów lub powrót do więzień i obozów, gdzie zostaliby pokazowo powieszeni.

Za stłumienie Powstania Warszawskiego Führer przyznał Dirlewangerowi Krzyż Rycerski Żelaznego Krzyża. W uzasadnieniu z 10 września von dem Bach napisał: „Jedynie taktycznym zdolnościom, zuchwałości i zimnej krwi SS-Oberführera Dirlewangera należy przypisać, że można było płynnie przeprowadzić atak i osiągnąć wyznaczone cele dzienne. Przy tym SS-Oberführer Dirlewanger wykazał się olbrzymim zapałem i walczył na czele swoich ludzi z bronią w ręku […]. Przy tym był wzorem męstwa, odwagi i spełnienia obowiązku dla swoich ludzi. […] wielokrotnie pokazał swoimi czynami, że należy do najdzielniejszych z dzielnych". Po kapitulacji powstania generalny gubernator Hans Frank wydał na jego cześć uroczysty bankiet na Wawelu. W kolejnych dniach w rodzinnym Esslingen świętowano i dokonano wpisu do pamiątkowej Złotej Księgi Miasta Esslingen.

Sprawiedliwość w RFN

Żadnego z żołnierzy Dirlewangera nie osądzono po wojnie za zbrodnie popełnione podczas Powstania Warszawskiego. Dirlewanger zginął 7 czerwca 1945 r. w Areszcie Wschodnim w Altshausen. Jego podwładnych przesłuchiwano dopiero w latach 60. i aby uniknąć kary, woleli nie mówić wszystkiego. Niektórzy opowiadali o zbrodniach popełnianych w Warszawie, chociaż – jak twierdzili – sami nie brali w nich udziału. Inni bronili się słabą pamięcią i upływem czasu. Jeden z żołnierzy jednostki przez kilka stron zeznań opowiadał o architekturze Warszawy. Poza budynkami nic nie widział. Ułatwieniem dla pomijania niewygodnych wydarzeń był stosunek śledczych niemieckich do zagadnienia zbrodni wojennych. W wielu przypadkach nie byli zainteresowani szczegółowym drążeniem tematu. Często sami w III Rzeszy pełnili ważne funkcje, zajmowali wysokie stanowiska lub odbywali służbę frontową i odpowiadali za zbrodnie popełnione w czasie wojny. Zbyt dokładne dociekanie mogłoby pogrążyć ich samych. Inni nie mieli wystarczającej wiedzy, aby ustalić więcej szczegółów wydarzeń z 1944 r.

W śledztwach nie pomogły również świadectwa składane przez Reinefartha i von dem Bacha tuż po wojnie. Obydwaj często zmieniali zeznania. Podawali różne daty i miejsca wydarzeń. Reinefarth już w 1946 r. przeinaczał fakty na swoją korzyść, jednocześnie obciążając Dirlewangera. Posuwał się do stwierdzeń, że SS-Sturmbrigade „Dirlewanger" była w Warszawie przed nim i nigdy mu nie podlegała. W 1958 r. poinformował śledczych, że w Warszawie zjawił się dopiero 7 sierpnia, a na kolejnym przesłuchaniu mówił, że 5 sierpnia przebijał się przez Warszawę. Von dem Bach w zależności od potrzeb obwiniał Kamińskiego lub Dirlewangera. W jednym zeznaniu w 1958 r. stwierdził nawet, że egzekucje ludności cywilnej odbyły się nie na Woli, tylko na Ochocie. Trzy lata później się z tego wycofał.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 253b1c906f



Dworzec kolejowy w Altshausen
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/HOHENZOLLERNSCHE LANDE

1945 r. / Krwawy koniec kata Warszawy

Tajemnica śmierci Oskara Dirlewangera



Piotr Zychowicz

Dirlewanger został zabity po wojnie przez polskich strażników więziennych. Ale według teorii spiskowych uciekł i schronił się w Egipcie

Zasuwa w drzwiach szczęknęła ostro. Do pogrążonej w mroku celi wpadł snop elektrycznego światła z korytarza.

– Wychodzić! – komenda została wypowiedziana z wyraźnym słowiańskim akcentem.

Dwóch więźniów wstało z ociąganiem i ze spuszczonymi głowami ruszyło w stronę uchylonych drzwi. Przez zmrużone od jaskrawego światła oczy mogli dostrzec sylwetki czekających na korytarzu ludzi. W ich rękach znajdowały się ciężkie, drewniane pałki.

Gdy tylko drzwi celi zamknęły się za więźniami, ze wszystkich stron posypały się na nich ciosy. Bito ich po korpusach i głowach. Na próżno próbowali zasłaniać twarze rękami. Gdy pod gradem uderzeń upadli na posadzkę, napastnicy kopali ich wojskowymi butami. Wkrótce podłoga była czerwona od krwi. Dwaj więźniowie stracili przytomność, a ich bezwładne ciała bezceremonialnie wrzucono z powrotem do celi.

Skatowani więźniowie byli Niemcami. Jeden nazywał się August Minch i do niedawna był komendantem miejscowego gestapo. Drugi był wysokim rangą oficerem Waffen-SS. Katem Warszawy i setek białoruskich wiosek. Jednym z najbardziej bezwzględnych członków „Zakonu Trupiej Czaszki". Nazywał się Oskar Dirlewanger.

Kim zaś byli strażnicy więzienni, którzy dokonali krwawego samosądu? Byli to Polacy i, według jednej z wersji, polscy Żydzi. Ludzie ci byli panami życia i śmierci więźniów.

Ostanie dni zbrodniarza

Opisana wyżej drastyczna scena rozegrała się w nocy z 1 na 2 czerwca 1945 r. w miejscowości Altshausen w Badenii-

eprasa.pl 253b1c906f

-Wirtembergii. Dirlewanger po zakończeniu wojny ukrył się w tych okolicach. Mimo że chodził w cywilnej kraciastej marynarce, został rozpoznany na ulicy. Zdemaskował go były żydowski więzień obozu pracy w Starym Dzikowie.

Żyd zgłosił się do francuskich władz okupacyjnych. Dirlewanger został natychmiast aresztowany i zamknięty w areszcie w Altshausen. Warunki panujące w tym przybytku były katastrofalne. Brak wody i jedzenia. Zawszone, pozbawione pościeli sienniki. Cele przepełnione do tego stopnia, że w niektórych z nich aresztanci musieli stać, nie mieli bowiem miejsca nawet, żeby usiąść. Przelewające się wiadra służyły za toaletę dla kilkudziesięciu mężczyzn.

Do tego przemoc w wykonaniu polskich wartowników, którym powierzono „pieczę" nad więźniami. Francuzi się nie mieszali. Dali Polakom wolną rękę w wymierzaniu sprawiedliwości niemieckim osadzonym. W efekcie w areszcie dochodziło do ciężkich pobić i zabójstw.

Jednym ze świadków ostatnich dni Dirlewangera była siostra Czerwonego Krzyża Betty Angele. Jej zeznania w książce „Oskar Dirlewanger" cytuje dr Soraya Kuklińska. Angele mówiła śledczym, którzy po latach prowadzili śledztwo w tej sprawie, że strażnicy podczas „przesłuchania" byli pijani. A plecy Dirlewangera były tak zakrwawione, że nie można było odróżnić pojedynczych śladów uderzeń.

Drugim świadkiem był ppor. Anton Füssinger, pilot Luftwaffe, który siedział w celi z Dirlewangerem. Obszerne fragmenty jego zeznań znalazły się w ciekawym artykule Huberta Kuberskiego „The finale of a war criminal's existence: mysteries surrounding Oskar Dirlewanger's death".

„Następnego dnia przyszedł 16-letni Żyd – mówił Füssinger. – Pod nadzorem Polaków bił nas po twarzach dopóty, dopóki się nie zmęczył. Wróciliśmy do celi z całkowicie rozbitymi twarzami. Tego samego dnia zostałem pobity przez Polaków tylko dlatego, że trzy razy odmówiłem krzyknięcia: »Jestem niemiecką świnią!«.

Dirlewangera i Mincha każdej nocy wyprowadzano z celi na korytarz i brutalnie bito. Słyszałem odgłosy uderzeń i straszliwe krzyki. W świetle dziennym widziałem zaś krwawiące otwarte rany na twarzach Mincha i Dirlewangera. Całe ich ciała pokrywały krwawiące pręgi".



Oskar Dirlewanger (pierwszy z prawej) po aresztowaniu w 1945 r.
FOT. ZBIORY SORAI KUKLIŃSKIEJ

Finał nastąpił w nocy z 4 na 5 lipca. Tym razem Dirlewangera i Mincha wyprowadzano na korytarz aż trzykrotnie.

„Gdy po raz trzeci wrócili do celi – zeznawał Füssinger – nie mogli już mówić ani stać. Wkrótce strażnicy ponownie przyszli do celi, kazali im wstać i iść za nimi. Ani Minch, ani Dirlewanger nie mogli się jednak podnieść. Wtedy strażnicy zaczęli tłuc ich kolbami w czaszki, tak że głowy zamieniły się w bezkształtną krwawą miazgę. Potem zaczęli kopać ich w brzuchy. Następnie strażnicy zostawili ich obu leżących na podłodze celi. Nieprzytomnych".

Minch zmarł niemal natychmiast, a Dirlewanger był w stanie agonalnym. Kiedy dokładnie umarł, nie wiadomo, bo Füssingera w międzyczasie wypuszczono z aresztu do domu. W oficjalnym rejestrze zgonów Francuzi wpisali datę: 7 czerwca 1945 r., godz. 19.30. Jest jednak wątpliwe, czy Dirlewanger mógł żyć tak długo po tak ciężkim pobiciu.

W rejestrze zgonów w rubryce „przyczyna śmierci" wpisano: „Zmarł w wyniku pobicia przez wartowników". W akcie zgonu stwierdzono jednak, że umarł „śmiercią naturalną". Francuska komendantura już w 1945 r. usiłowała więc zatuszować sprawę. Zlinczowanie oficera SS, który zgodnie z prawem powinien był stanąć przed sądem, stanowiło poważne nadużycie.

Pogrzeb Dirlewangera odbył się 8 czerwca na miejscowym cmentarzu. Kwatera M, grób numer 5. W ceremonii uczestniczyli francuski komendant aresztu i katolicki ksiądz Józef Romer. Po zakopaniu trumny dwaj francuscy żołnierze postawili na grobie prosty krzyż. W ten sposób krwawa saga Dirlewangera dobiegła końca. Tak się przynajmniej wydawało.

Polscy komuniści

Kim byli strażnicy z aresztu w Altshausen? Według obiegowej, rozpowszechnionej w Polsce opinii byłymi więźniami kacetów. Polakami i Żydami, którzy przeżyli piekło niemieckich obozów koncentracyjnych i marszów śmierci.

Legenda mówi, że polscy strażnicy wiedzieli, że Dirlewanger był katem Warszawy. I dlatego postanowili wymierzyć mu sprawiedliwość. Nocne katowanie na korytarzu miało być odwetem za zbrodnie dirlewangerowców popełnione na cywilnej ludności stolicy Polski.

eprasa.pl 253b1c906f

Problem w tym, że nie ma na to żadnych dowodów. Strażnicy wiedzieli o Dirlewangerze tylko tyle, że był oficerem SS. A jego podkomendni pełnili służbę wartowniczą w obozie w Starym Dzikowie. Nie było więc mowy o żadnej „zemście za Warszawę". Dirlewanger znalazł się na celowniku polskich strażników, bo był esesmanem.

Historyczne śledztwo w sprawie tożsamości zabójców Dirlewangera przeprowadził Hubert Kuberski we wspomnianym artykule. Przyniosło ono sensacyjne efekty. Według badacza w skład jednostki wartowniczej z Altshausen wchodzili żołnierze polskich oddziałów komunistycznych służących w armii francuskiej.

To obecnie niemal zapomniana historia. Otóż w trakcie niemieckiej okupacji Francji tysiące Polaków przystąpiły do czerwonego ruchu oporu. Byli to głównie radykalni polscy robotnicy, którzy w dwudziestoleciu międzywojennym przyjechali do francuskich hut, kopalń i fabryk. Z tego samego towarzystwa rekrutowali się członkowie Brygad Międzynarodowych walczący pod kierownictwem NKWD w wojnie domowej w Hiszpanii.

Po wyzwoleniu Francji władze francuskie zdecydowały się wcielić polskich partyzantów do swojej 1. Armii. W efekcie na początku 1945 r. sformowane zostały dwa „polskie" oddziały – 19. i 29. Zgrupowania Piechoty. Słowo „polskie" nie przez przypadek wziąłem w cudzysłów. Dowództwo tych formacji nie uznawało bowiem zwierzchnictwa prawowitego rządu Rzeczypospolitej w Londynie. Podporządkowało się sowieckiemu PKWN.

Żołnierze nosili na hełmach orły bez korony. A większość oficerów to byli etatowi członkowie partii komunistycznej. Atmosfera panująca w oddziałach przypominała bardziej atmosferę panującą w Armii Czerwonej niż w armii Andersa. Nastawieni patriotycznie oficerowie i żołnierze byli usuwani z szeregów w ramach czystek à la soviétique.

W jednym ze Zgrupowań Piechoty Polskiej doszło nawet do odrażającego mordu, którego ofiarą padł por. Grycel. Został zamordowany z zimną krwią przez innych oficerów. Najpierw uderzyli go tępym narzędziem w głowę, a gdy odzyskał przytomność i próbował uciekać – zastrzelili przy użyciu pistoletów. Następnie pozbyli się ciała.

Co ciekawe, jednym z oprawców porucznika był Jan Gerhard, późniejszy oficer Ludowego Wojska Polskiego. Autor głośnej propagandowej książki „Łuny w Bieszczadach" opisującej zmagania „dzielnych komunistycznych wojaków" z UPA.

Hubert Kuberski słusznie nazwał podobne akcje „metodami gangsterskimi". Według historyka morale w Zgrupowaniach Piechoty pozostawiało wiele do życzenia. Wielu żołnierzy w okupowanych Niemczech zajmowało się grabieżami i plądrowaniem.

Według Kuberskiego to najprawdopodobniej żołnierze Zgrupowań Piechoty Polskiej zamordowali Dirlewangera. Historyk wskazuje, że nocne „przesłuchania" oficera SS do złudzenia przypominały metody stosowane przez tajną policję Stalina i bezpiekę Bieruta.

Warto w tym miejscu wspomnieć, że wkrótce po wojnie większość członków 19. i 29. Zgrupowania Piechoty Polskiej wyjechała do komunistycznej Polski. Większość z nich wstąpiła do Ludowego Wojska Polskiego. A część trafiła do UB i innych „organów" rodzącego się totalitarnego państwa – Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego czy milicji.

Jeżeli Kuberski ma rację, to Dirlewanger nie padł ofiarą „patriotycznych mścicieli", ale zdemoralizowanych komunistów. Niewykluczone, że nocne „przesłuchania" miały podtekst rabunkowy. Oprawcy katowali Dirlewangera, aby wydostać od niego informacje o kosztownościach, które miał rzekomo ukryć. Sprawa bez wątpienia wymaga dalszych badań.



Rzekomy grób Oskara Dirlewangera

FOT. THEFIFTHFIELD.COM

Czy Dirlewanger zasłużył na śmierć? Tak, po wielokroć. Powinien był jednak stanąć przed trybunałem, który w majestacie prawa skazałby go za jego liczne zbrodnie na stryczek. Bestialskie katownie na korytarzu więziennym przez przyszłych ubeków trudno jednak uznać za wymierzenie sprawiedliwości.

Teorie spiskowe

Na koniec warto wspomnieć o Oskara Dirlewangera „życiu po życiu". Otóż wielu ludzi – między innymi jego podkomendnych – nie mogło uwierzyć, że Dirlewanger tak łatwo dał się złapać Francuzom. W efekcie zaczęły krążyć teorie spiskowe i niestworzone plotki na temat jego rzekomych losów.

Wielu ludzi zarzekało się, że osobiście widziało Oskara Dirlewangera – całego i zdrowego – wiele lat po zakończeniu drugiej wojny światowej. Oficer SS miał rzekomo pojawiać się w rozmaitych miejscach świata. Soraya Kuklińska w swojej książce skrupulatnie zebrała co bardziej interesujące teorie.

Według jednej z nich Dirlewanger wraz z Martinem Bormannem – kolejnym Elvisem Presleyem III Rzeszy – miał przedostać się przez cieśninę Bosfor i przez Turcję trafić na Bliski Wschód. Tam obaj panowie w 1952 r. pomagali gen. Muhammadowi Nadżibowi w dokonaniu puczu i obaleniu króla Faruka I. Wynagrodzenie: 15 mln dol. w obligacjach.

Dirlewanger – wraz z Ottonem Skorzennym – rzekomo szkolił egipską armię. A następnie załatwił dostawy sowieckiego sprzętu dla armii arabskiej republiki. Dirlewangerowcy siali przerażenie nad pustyniami Bliskiego Wschodu za sterami sowieckich migów-19…

W trakcie kryzysu sueskiego w 1956 r. Dirlewanger na czele swoich żołnierzy miał walczyć w szeregach egipskiej armii przeciwko Wielkiej Brytanii, Francji i Izraelowi. A po wojnie zostać doradcą prezydenta Gamala Abdela Nasera i… hotelarzem.

Według tej opowieści organizacja „Dirlewanger" przeobraziła się bowiem w firmę turystyczną. Do byłego ofice-

eprasa.pl 253b1c906f



Niemieccy żołnierze wzięci do niewoli, Francja, 1944 r.

FOT. NATIONAL ARCHIVES AND RECORDS ADMINISTRATION

ra SS miały należeć trzy hotele w Port Said i przedsiębiorstwo taksówkowe. Dirlewanger miał także prowadzić bar o nazwie… „Strzał w kark".

Kolejna plotka mówiła, że Dirlewanger był widziany na terenie Jugosławii. Miał zaprzyjaźnić się blisko z komunistycznym dyktatorem Josipem Brozem-Tito. Dzięki jego uprzejmości spędzał wczasy w Dubrowniku i opalał się na plażach Chorwacji.

Inna teoria mówiła, że Dirlewanger zaciągnął się do Legii Cudzoziemskiej. Francuzi – w uznaniu jego wojskowych talentów – darowali mu winy i wysłali do Indochin, aby tłumił powstanie tubylców. Kolejny świadek twierdził, że Dirlewanger znalazł schronienie w Syrii. Opiekę nad nim miał roztoczyć wielki mufti Jerozolimy.

Ktoś inny opowiadał, że Dirlewanger po wojnie zbiegł do Hiszpanii… w przebraniu zakonnicy. Czasopismo „Revue" opublikowało nawet rzekome zdjęcie Dirlewangera – w skórzanym płaszczu – zrobione rzekomo w 1958 r.

Gdy podobne rewelacje coraz częściej zaczęły pojawiać się na łamach prasy, władze niemieckie postanowiły działać. Aby uciąć spekulacje, prokuratura w Ravensburgu wszczęła śledztwo i przeprowadziła ekshumację doczesnych szczątków Oskara Dirlewangera. Do jej dokumentacji dotarła dr Soraya Kuklińska.

Procedura miała miejsce 12 listopada 1960 r. o godz. 10.30. W ekshumacji uczestniczyli prokurator generalny dr Zoller, prof. Weydrich z Instytutu Medycyny Sądowej na Uniwersytecie we Fryburgu Bryzgowijskim, lekarz sądowy dr Landenberger oraz grabarz Thaddäus Hund. Ten ostatni 15 lat wcześniej brał udział w pogrzebie Dirlewangera.

Wydobyte z jamy grobowej zwłoki przewieziono do Instytutu Medycyny Sądowej. Podczas sekcji ustalono, że szkielet należał do mężczyzny mierzącego ok. 187–188 cm. Denat miał ok. 45–55 lat. Na jego czaszce znajdował się ślad po potężnym uderzeniu tępym narzędziem. To najprawdopodobniej ono spowodowało zgon.

Niestety, w tamtych czasach prokuratura nie mogła przeprowadzić badań DNA. Ale nie było to konieczne. Na szkielecie odnaleziono bowiem ślady 11 starych wojennych ran. Między innymi czterech ran głowy i rany lewej ręki. Denat miał pogruchotane kości prawego śródstopia.

Dzięki temu rodzeństwo Dirlewangera mogło potwierdzić tożsamość denata. Rany na szkielecie zgadzały się bowiem z urazami, których nabawił się ich brat. Mało tego – w szczęce trupa znaleziono dwa złote zęby, które wstawiono Oskarowi Dirlewangerowi w lutym 1945 r.

Werdykt prokuratury mógł więc być tylko jeden. Szczątki naprawdę należały do Oskara Dirlewangera, który zginął gwałtowną śmiercią w czerwcu 1945 r. we francuskim areszcie. Nie wszyscy dali się jednak przekonać prokuraturze. Teorie spiskowe na temat Dirlewangera krążyły jeszcze przez wiele lat.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 253b1c906f



FOT. BERNARDO FULLER/U.S. ARMY/DOMENA PUBLICZNA

Świadek / Z Vincentem J. Speranzą, weteranem 101. Dywizji Powietrznodesantowej

rozmawia Piotr Włoczyk

Czerwony śnieg pod Bastogne

– Niemcy byli w doskonałych bojowych nastrojach. Ci żołnierze właśnie rozbili cztery amerykańskie dywizje! Uważali, że wezmą Bastogne z marszu – mówi Vincent J. Speranza

PIOTR WŁOCZYK: Jak wspomina pan Boże Narodzenie 1944 r.?

VINCENT J. SPERANZA: To był najgorszy okres w moim życiu, choć miało być zupełnie inaczej. Nasze dowództwo planowało dla nas luźniejszy czas, rozrywki, była nawet mowa o przepustkach do Paryża! Wszystko to jednak zmieniło się tydzień przed świętami.

16 grudnia 1944 r. Hitler, po raz drugi w czasie tej wojny, przeprowadził ofensywę przez Ardeny. To uderzenie – w marzeniach przywódcy III Rzeszy – miało zmienić bieg wojny.

Niemcom udało się po cichu zgromadzić po drugiej stronie frontu aż 25 dywizji! Hitler planował, że Wehrmacht przebije się przez Belgię aż do portu w Antwerpii, dzięki któremu otrzymywaliśmy zaopatrzenie. Ja sam tam wylądowałem razem z kolegami. W takim przypadku Niemcom udałoby się wbić klin między Amerykanów walczących na południu a Brytyjczyków i Kanadyjczyków bijących się na północy. Zajęcie Antwerpii w istotny sposób mogło zmienić bieg wydarzeń na froncie zachodnim. Najpierw jednak Niemcy musieli zająć miasteczko Bastogne leżące w południowej Belgii, które znajdowało się na przecięciu ważnych szlaków komunikacyjnych, i właśnie do obrony tej miejscowości gen. Dwight Eisenhower skierował moją dywizję.

101. Dywizja Powietrznodesantowa wciąż lizała rany po klęsce operacji „Market Garden"...

eprasa.pl 253b1c906f



Żołnierze 101. Dywizji Powietrznodesantowej w miejscowości Bastogne w Belgii

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/NATIONAL ARCHIVES AT COLLEGE PARK

Tak, moja jednostka dopiero dochodziła do pełnej sprawności bojowej. W Normandii odnieśliśmy wielkie zwycięstwo, udało nam się utorować drogę głównym siłom inwazyjnym, ale już trzy miesiące później, w czasie operacji „Market Garden", zostaliśmy mocno pokiereszowani przez Niemców, kiedy alianckie czołgi nie zdążyły przebić się na czas do masakrowanych spadochroniarzy. Nawiasem mówiąc, zawsze podczas spotkań wspominam przy tej okazji o udziale polskich spadochroniarzy, bo wy również ponieśliście tam wielkie ofiary! My straciliśmy wówczas w Holandii 3 tys. ludzi i większość sprzętu! Ja przybyłem do Francji w grupie żołnierzy 101. dywizji, którzy mieli zastąpić ludzi utraconych w operacji „Market Garden". Gołym okiem było widać, że chłopaki z mojej jednostki nie byli w zbyt dobrych nastrojach.

Jak się pan dowiedział, że będziecie bronili Bastogne?

17 grudnia w środku nocy sierżant budzi nas wrzaskiem. Mówi, że zaraz będziemy walczyć. Byliśmy zdezorientowani. Jak to? Będziemy skakać w nocy? Sierżant wyjaśnił jednak, że nie tym razem, nikt nas nie będzie zrzucał. Zamiast samolotami trafimy na pole bitwy na ciężarówkach. W ten sposób mój pierwszy „skok" bojowy odbyłem z wysokości metra, skacząc z paki ciężarówki [śmiech]. Tyle tylko że my byliśmy zupełnie nieprzygotowani do walki. Brakowało ubrań, hełmów, a nawet broni! Ja byłem wytrenowany w obsłudze karabinu maszynowego, ale nie miałem karabinu maszynowego! Miałem tylko nóż! Słysząc nasze obiekcje, sierżant powiedział tylko, że mamy przestać biadolić, bo wszystko do nas dojedzie. Cóż… Okazało się, że to nie była do końca prawda. W każdym razie jechaliśmy z bazy we francuskim Mourmelon cały dzień i noc.

Akurat ciężarówek aliantom nie brakowało. Eisenhower kazał przekierować maszyny jeżdżące z zaopatrzeniem w słynnej operacji „Red Ball Express" do błyskawicznego dostarczenia żołnierzy na przełamywany przez Niemców front.

Nie było żadnych przystanków, jechaliśmy jak na sygnale. Nie było wyjątków, nawet na potrzeby fizjologiczne. Wszystko trzeba było załatwiać przez burty ciężarówek. Chyba nie muszę mówić, jakie miny miały chłopaki siedzące na tyle ciężarówki, kiedy ktoś z przodu wychylał się, żeby się załatwić. W końcu jednak dojechaliśmy, przemarznięci do szpiku kości, do Bastogne.

W miasteczku było pełno wycofujących się, potwornie poobijanych amerykańskich żołnierzy. Niemcy uderzyli na cztery nasze dywizje, kompletnie je niszcząc jednego dnia. „Rozbitkowie" z tych dywizji mieli zająć pozycje w Bastogne, a my mieliśmy być trzonem obrony. Karabin maszynowy wziąłem od jednego z takich wycieńczonych chłopaków wycofujących się przez Bastogne.

Jak wyglądał pański chrzest bojowy?

Doszło do niego już w pierwszy poranek po dotarciu na miejsce. Byliśmy przemarznięci, bez jedzenia i nie mieliśmy już siły, bo pół nocy kopaliśmy pod Bastogne okopy w zamarzniętej ziemi. Rano nic nie było widać. Tak gęsta była mgła. W końcu ten biały kożuch zaczął się bardzo powoli podnosić i ujrzeliśmy przed sobą pole z lasem po obu jego stronach. Nagle jakby cały świat wybuchł. Niemcy zaczęli w nas walić artylerią. Wszyscy wtulaliśmy się nosami w dziury, które wykopaliśmy tej nocy. Jeden celny strzał i spadochroniarz znikał, tylko jego broń wylatywała wysoko w powietrze. Byłem wściekły na siebie, że swojej dziury nie zrobiłem choćby o kilka centymetrów głębszej.

Po zakończeniu ataku artyleryjskiego widzimy, jak na polanę wjeżdżają czołgi, a za nimi posuwa się piechota. Niemcy byli w doskonałych bojowych nastrojach. Ci żołnierze właśnie rozbili cztery amerykańskie dywizje! Jak później ustalili historycy, wywiad Wehrmachtu nie był zbyt dobrze poinformowany, bo cały czas myślał, że 101. Dywizja Powietrznodesantowa jest wciąż we Francji, w bazie Mourmelon. Wszystko wskazuje na to, że Niemcy uważali, iż wezmą Bastogne z marszu.

Wróćmy do pana chrztu bojowego.

Dowodzący nami porucznik kazał nam strzelać dopiero wtedy, kiedy Niemcy byli 400 m od nas. Kiedy przekroczyli tę niewidzialną linię, uderzyliśmy w nich wszystkim, co mieliśmy. To była rzeźnia, bo mieliśmy ich jak na widelcu. Zaśnieżone pole przed nami zmieniło barwę na czerwień. Wybiliśmy piechotę, przez co ich czołgi musiały zawrócić. W tym momencie odezwała się nasza artyleria

eprasa.pl 253b1c906f

i niemieckie czołgi jeden po drugim zaczęły wylatywać w powietrze.

To był tylko pierwszy z wielu ataków, które odpieraliście w ciągu ośmiu dni oblężenia Bastogne.

Na samym początku oblężenia doszło do strasznej zbrodni. Niemcy zajęli nasz szpital polowy. Zastrzelili wszystkich z obsługi poza kilkoma lekarzami, którym kazali leczyć własnych rannych. Na szczęście jednemu lekarzowi i pielęgniarce udało się uciec do nas. Niemcy mieli całe wyposażenie szpitala, leki i morfinę, a my mieliśmy tylko tę dwójkę przez następne osiem dni oblężenia!

Wspomniał pan, że tamto Boże Narodzenie było piekielnie trudne.

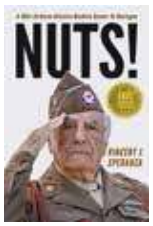
23 grudnia zrzucono nam zaopatrzenie. Bez niego nie dalibyśmy dalej rady. Niemcy musieli się już wtedy dowiedzieć, że czołgi Pattona zbliżają się do nas, bo zaczęli nas bezlitośnie bombardować, żeby złamać nasz opór i wykurzyć nas z okopów. Nie udało im się jednak tego dokonać. W samo Boże Narodzenie, gdy odsiecz pod wodzą Pattona była zaledwie o dzień drogi od nas, Niemcy zdecydowali się na ostatnią próbę zdobycia Bastogne. Rzucili na nas wszystko. Cały dzień spadały na nas pociski.

Nie mogę pana nie zapytać o historię z piwem, dzięki której 65 lat po wojnie stał się pan słynny w całej Belgii.

[śmiech] To dopiero była heca! Niemcy trafili mojego kolegę Joego, który pomagał mi przy obsłudze karabinu maszynowego. Dostał szrapnelem w nogę. Naszych rannych kładliśmy w kościele i budynku seminaryjnym. Warunki leczenia były dramatycznie złe, bo – jak już wspomniałem – Niemcy mieli nasz szpital. Joe był w bojowym nastroju. Twierdził, że chwilę poleży, nabierze sił i zaraz wraca do mnie, do okopu. Poprosił mnie, żebym znalazł dla niego coś do… picia. Myślałem, że zwariował. Miałbym szukać „czegoś mocniejszego" w zrujnowanym miasteczku otoczonym przez Niemców?! Ale cóż, braterstwo broni zobowiązuje…



Vincent J. Speranza w latach drugiej wojny światowej
FOT. JUSTIN CONNAHER/U.S. ARMY



VINCENT J. SPERANZA „NUTS! A 101ST AIRBORNE DIVISION MACHINE GUNNER AT BASTOGNE"
DEEDS PUB

Padał śnieg, dokoła waliła artyleria, a ja chodziłem po zrujnowanym mieście, szukając alkoholu! W pierwszym barze wszystko było roztrzaskane. W drugim jednak – ku mojemu ogromnemu zdziwieniu – w nalewaku wciąż było piwo! Niestety, nigdzie nie mogłem znaleźć butelki czy jakiegokolwiek innego pojemnika. Nagle olśniło mnie – hełm! Zdjąłem go z głowy i nalałem do środka piwa. Ranni byli w siódmym niebie. Wszyscy sąsiedzi Joego prosili mnie o łyka. W końcu wypili cały hełm. Joe kazał mi iść po więcej. Chcąc nie chcąc, znowu poleciałem do tawerny. Wracając, rozlałem trochę piwa, bo obok wybuchł pocisk artyleryjski. Nie zdążyłem jednak wejść do „szpitala" z kolejną porcją. W drzwiach stał bowiem major… Dostałem siarczystą reprymendę. Major obsztorcował mnie, że alkohol może zaszkodzić rannym. Kazał mi się wynosić, ale najpierw miałem włożyć na głowę hełm… W ten oto sposób wracałem na pierwszą linię cały przemoknięty piwem, które zaczęło na moim mundurze zamarzać.

Ta historia miała niesamowity epilog po 65 latach.

W 2010 r. wybrałem się do Belgii na obchody obrony Bastogne. Siedzieliśmy w restauracji z lokalnymi miłośnikami historii i rozmawialiśmy o oblężeniu. Każdy opowiadał jakąś zabawną historię. Ja zacząłem im opowiadać o piwie z hełmu. Nagle wszyscy wybałuszyli oczy. Okazało się, że ta historia była lokalną legendą. Jeden z producentów alkoholu sprzedawał „Airborne Beer" („Piwo Powietrznodesantowe"), które serwowano w małych porcelanowych hełmikach (śmiech). Ludzie nie mogli uwierzyć, że legenda o żołnierzu niosącym rannym pocieszenie w hełmie była jak najbardziej prawdziwa!

Po tym, jak czołgi Pattona uwolniły was 26 grudnia z niemieckiego oblężenia, 101. Dywizja Powietrznodesantowa zaczęła przeć na południowy zachód w kierunku Bawarii. Tam pod koniec kwietnia 1945 r. wyzwoliliście Kaufering – podobóz KL Dachau.

W Bawarii znów działaliśmy jak zwyczajna piechota – przemieszczaliśmy się na ciężarówkach. Tego dnia przywieźli nas pod las i powiedzieli nam, że mamy oczyścić go z niedobitków niemieckich żołnierzy. Ustawiliśmy się w długą linię i przeczesywaliśmy teren. Nie było jednak po nich śladu. Im głębiej jednak wchodziliśmy w las, tym większy czuliśmy smród. Wielu z nas, wliczając w to mnie, nie miało jeszcze 20 lat. Widzieliśmy już swoje w czasie tych kilku miesięcy, ale to, co ukazało się wówczas naszym oczom… Za lasem na dużej polanie rozpościerał się obóz ogrodzony czterometrowym płotem. Bardzo często o tym opowiadam na spotkaniach, ale za każdym razem tracę kontrolę nad emocjami…

Na środku obozu była dziura, przy której był buldożer. Obok leżała kupa ciał walających się jak jakieś śmieci. Były tam wychudzone zwłoki



Pistolet maszynowy Thompson FOT. ROCK ISLAND AUCTION COMPANY

eprasa.pl 253b1c906f

w każdym rozmiarze – bardzo długie, przeciętne, a także malutkie. Niemcy nie zdążyli zasypać tych krzyczących dowodów swoich zbrodni. Zapewniam pana, że nawet najwięksi twardziele, widząc to wszystko, nie wytrzymywali, padali na kolana i zanosili się płaczem. Dokoła nas zaczęli się zbierać półżywi ludzie. Ci nieszczęśnicy nie byli nawet w stanie chodzić. Czołgali się w naszym kierunku, obejmowali nasze nogi, całowali nas po butach... Po początkowej mieszance współczucia, grozy i żalu przyszła pora na inne uczucie – czysty gniew.

Zdarzało się, że amerykańscy żołnierze na miejscu rozstrzeliwali załogi niemieckich obozów koncentracyjnych. Głośno było m.in. o dużej masakrze załogi głównego obozu Dachau.

Ci bandyci w mundurach strażników wyrzucali ręce do góry i szli do nas, mówiąc: „Kameraden, kameraden". Chyba każdy z nas powiedział sobie pod nosem: „Ja ci dam Kameraden"... Jeżeli mieliśmy wcześniej jakikolwiek szacunek dla niemieckiego munduru, to wszystko to znikło tego dnia. Być może nie powinienem tego mówić, ale nie wzięliśmy wówczas jeńców...

Nie będę już pana dopytywał, co dokładnie się z nimi stało...

Tak będzie najlepiej, proszę nie pytać. To, co zobaczyłem tamtego dnia, sprawiło, że Niemcy byli już dla mnie tylko bestiami w mundurach. Do dziś nie mogę zrozumieć, jak jeden człowiek mógł zrobić coś takiego drugiemu człowiekowi.

Pod sam koniec wojny 101. Dywizja zajęła Berchtesgaden, ukochane miasteczko Hitlera. Jak was tam Niemcy przyjęli?

To było pierwsze miasto, gdzie nie strzelano do nas. Mieszkańcy wywiesili niemal w każdym oknie biały kawałek materiału. O ile dobrze pamiętam, nikt wtedy nie zginął. Następnego dnia wybraliśmy się do słynnej herbaciarni Orle Gniazdo.

Kilka lat temu rozmawiałem z płk. Edwardem Shamesem ze 101. Dywizji Powietrznodesantowej. Pułkownik Shames (zmarł kilka tygodni temu) śmiał się, że wyniósł z Orlego Gniazda butelkę bardzo, ale to bardzo drogiego koniaku Hennessy, który po latach otworzył z okazji... bar micwy swojego syna.

[śmiech] Znałem Eda, to był bardzo poczciwy facet. On jednak był oficerem, a ja tylko szeregowym. Oficerowie ze 101. Dywizji mieli pierwszeństwo przed nami i załapali się na najlepsze „pamiątki" z Orlego Gniazda [śmiech]. Ten kompleks został zbombardowany, więc wszystko było w rozgardiaszu. Ja zachowałem stamtąd jedno bardzo żywe wspomnienie. Na jednej ze ścian wciąż wisiała wielka mapa. Była ona podzielona na strefy według trzech kolorów. Brązowy oznaczał Niemcy, zielony Włochy, a czerwony Japonię. Świat został przez nich bardzo precyzyjnie podzielony. Nowy powojenny „porządek" wisiał przed nami na ścianie. Jeżeli ktokolwiek z nas miał jeszcze jakiekolwiek wątpliwości, dlaczego trzeba było ich za wszelką cenę pokonać, to dowód miał przed sobą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Vincent J. Speranza
(ur. 1925) w czasie drugiej wojny światowej był żołnierzem 101. Dywizji Powietrznodesantowej, obrońcą Bastogne. W 2014 r. w księgarniach ukazały się jego wspomnienia z czasów wojny zatytułowane „Nuts!".

REKLAMA



eprasa.pl 253b1c906f



FOT. ZBIGNIEW FURMAN/FOTONOVA

PRL/III RP / Życie prywatne Henryka Chmielewskiego

Kobiety Papcia Chmiela



Sławomir Koper

– Mój tata bardzo lubił kobiety – przyznawała córka. – Musiał każdą zdobyć. Młoda, stara, obojętne...

Cykl komiksów autorstwa Henryka Jerzego Chmielewskiego jest fenomenem polskiej literatury. Przygody uczłowieczającego się szympansa i jego kompanów od ponad 60 lat bawią dzieci i młodzież, a dorośli także chętnie do nich powracają. Warto jednak przyjrzeć się bliżej osobie ich twórcy, który był wyjątkowo barwną postacią i raczej trudno stawiać go jego czytelnikom za wzór do naśladowania...

Popularność słynnego cyklu przez wiele lat nie znajdowała jednak przełożenia na zarobki Chmielewskiego. Na przełomie lat 60. i 70. jedną księgę rysował przez pół roku, a płacono mu za to 2 tys. zł. Za komiks w wersji gazetowej otrzymywał honorarium w wysokości 35 zł za rysunek, do czego dochodził jeszcze etat w „Świecie Młodych". Papcio nie dostawał jednak żadnych tantiem autorskich.

Finanse kultowego rysownika

Frustrację autora potęgowały informacje o zarobkach kolegów rysowników. Stawka za zeszyt o tematyce kryminalnej wynosiła 10 tys. zł (średnia miesięczna krajowa pensja wynosiła wtedy 2335 zł), a były to wydawnictwa o połowę mniej obszerne. Natomiast Szymon Kobyliński za trzy części „Przygód pancernych i psa Szarika" otrzymał aż 80 tys. zł.

Podczas pracy nad szóstą księgą zdesperowany Papcio poprosił o rozwiązanie umowy. Jednocześnie zasugerował, by wydawnictwo znalazło innego autora, który za 2 tys. podjąłby się kontynuacji cyklu, a do tego utrzymał jeszcze odpowiedni poziom. Sam zażądał 20 tys. zł od księgi, co – biorąc pod uwagę nakłady, które szybko przekroczyły milion egzemplarzy – wcale nie było stawką zbyt wygórowaną.

Wydawnictwo ostatecznie ustąpiło, gdyż uznano, że nie zarzyna się kury znoszącej złote jajka, ale Papcio nadal nie osiągał oszałamiających zarobków. Jak później obliczył, wysokość jego honorarium nie stanowiła nawet 2 proc. zysku Młodzieżowej Agencji Wydawniczej z tytułu edycji komiksów o Tytusie.

Chociaż wcześniej dwukrotnie odwiedził Stany Zjednoczone (w latach 1966 i 1971), nie myślał o pozostaniu tam na stałe. Doskonale wiedział, że nie dysponuje odpowiednimi środkami finansowymi i znajomościami, by przebić się na tamtejszym rynku. Nie znał też języka, a do tego nie chciał pracować fizycznie i czekać na okazję, by zacząć pracę jako plastyk. Chyba też nigdy nie zrozumiał USA, gdzie życie przeciętnego Amerykanina polegało na „zarabianiu, kupowaniu i wyrzucaniu po spłaceniu rat nabytych towarów jako starych, a raczej już niemodnych".

Druga możliwość pozostania na stałe za oceanem trafiła się kilkanaście lat później. Z końcem 1980 r. Chmielewski odszedł z redakcji „Świata Młodych", chcąc się skoncentrować wyłącznie na rysowaniu kolejnych ksiąg komiksu, ale wcześniej wyjechał do USA. Tam zastał go stan wojenny.

Papcio spędził w Ameryce prawie rok, pracując głównie jako dozorca, a w wolnych chwilach tkał gobeliny. Sprzeda-

eprasa.pl 253b1c906f



wał je po 500 dol. (równowartość obecnych 1,5 tys. dol.) pewnemu właścicielowi galerii, który oferował je z siedmiokrotnym przebiciem. Dla Chmielewskiego był to krótki, ale bardzo pouczający kurs kapitalizmu.

„Musiał podejmować fizyczne prace – tłumaczyła córka artysty, Monika – przez brak dobrej znajomości języka angielskiego i pozwolenia na pracę. Malował domy, zajmował się ogrodami, raz robił plakaty i witraże. Czuł się nikim. Mój tata chciał być znany i lubiany. W Polsce jego książki cieszyły się ogromną popularnością. Dostawał listy, w których proszono go o powrót. Dla niego nie miało znaczenia, że za książkę dostał mniej niż za malowanie parapetów. Ważne jest, żeby mieć pieniądze, by utrzymać się przy życiu, ale najważniejsze to robić to, co daje ci ogromną satysfakcję, co jest twoją pasją, i by być, kim się chce".

Pod koniec 1982 r. Papcio powrócił więc do kraju i do rysowania przygód swoich bohaterów. Zaskoczonym przyjaciołom tłumaczył, że skoro nie zdecydował się na radykalne zmiany wcześniej, to trudno oczekiwać, by przewrócił do góry nogami całe swoje życie w wieku 60 lat. W Stanach Zjednoczonych nie miał „domu, emerytury, ubezpieczenia zdrowotnego, wyrobionego nazwiska, języka" i możliwości rysowania Tytusa.

Nad Wisłą jednak niewiele się zmieniło, proces wydawniczy wciąż trwał kilkanaście miesięcy, a honoraria były bardziej niż skromne. Co gorsza, kolejne edycje komiksu wydawano wyjątkowo niechlujnie – zdarzały się braki kolorów, a nawet „niezadrukowane strony". W tej sytuacji Papcio odstąpił od wznowienia pierwszej księgi i rozwiązał umowę na kolejny tom.

Zmiany nadeszły wraz z upadkiem komunizmu. W lipcu 1990 r. zlikwidowano Młodzieżową Agencję Wydawniczą – wznowienie księgi nr XII oraz premiera niedokończonej jeszcze księgi nr XIX stały się nieaktualne. Kilka dni później u Papcia pojawili się dawni dyrektorzy koncernu RSW „Prasa", którzy po bankructwie przedsiębiorstwa założyli własną agencję wydawniczą.

Zaproponowali Chmielewskiemu współpracę, a skoro nie miał gotowego nowego tomu, to zadowolili się uzyskaniem praw do wydania jednego z poprzednich w nakładzie 300 tys. egzemplarzy.

Wkrótce rysownika odwiedzili także Mieczysław Prószyński i Zbigniew Sykulski – udziałowcy nowo założonej spółki wydawniczej Kant Imm (późniejszego wydawnictwa Prószyński Media). Stwierdzili, że „stąd się nie ruszą, aż nową księgę Tytusa wyduszą!". Wprawdzie nowy tom nadal nie był gotowy, ale otrzymali prawo do wznowienia XVIII zeszytu. Wówczas też Papcio miał okazję się przekonać, czym różni się gospodarka socjalistyczna od kapitalizmu.

„Księgę XVIII oddałem do MAW-u na początku 1986 r. – relacjonował plastyk. – Oddano ją wreszcie do produkcji w czerwcu 1986 r., a podpisano do druku w marcu 1987! Książeczka była przygotowywana do druku przez dziewięć miesięcy!

Natomiast Początkujący Kapitaliści rano zabrali ode mnie oryginały, zawieźli sami samochodem […] do drukarni w Łodzi i jeszcze tego samego dnia przywieźli z powrotem próbne odbitki do mojej akceptacji".

W rodzinie

Pierwszą żoną Chmielewskiego była Anna Śliwińska, wdowa po jego koledze z AK, Stanisławie Kazberuku. Przyjaciel zginął podczas Powstania Warszawskiego, a przyszły Papcio poślubił swoją wybrankę w 1949 r. Mimo że doczekali się dwojga dzieci, Moniki i Artura, małżeństwo nie układało się najlepiej. Przyczyną tego stanu był nie tylko pracoholizm grafika połączony z ignorowaniem obowiązków domowych, lecz także odmienne poglądy na temat wychowania potomstwa.

Anna była osobą wyjątkowo uporządkowaną, w swoim otoczeniu nie znosiła nawet cienia bałaganu. Natomiast partner był pod tym względem typowym artystą, który dodatkowo miał jeszcze chorobliwą obsesję zbierania najdziwniejszych szpargałów. Dlatego pani Chmielewska z ulgą przyjęła informację, że mąż otrzymał niewielki lokal na pracownię, „która szybko zaczęła przypominać jarmarki".

Chmielewscy nie potrafili się porozumieć także w sprawach światopoglądowych, co z czasem zaczęło stanowić coraz większy problem. Anna była bowiem osobą religijną, a dla jej męża „Kościół nie był ważny". Pani Chmielewska lubiła „celebrować uroczystości i tradycje, a Papcio wybijał jej to z głowy". Dla niego „powodem do świętowania była piękna pogoda", natomiast dla żony Wielkanoc.

Na domiar złego Chmielewski nie był typem wiernego męża i po latach bez specjalnego zażenowania przyznawał, że zdarzały mu się zdrady małżeńskie. Okazje pojawiały się same – wszak był popularnym plastykiem, który często wyjeżdżał służbowo. Miał na sumieniu romans z pewną instruktorką młodzieżową z NRD, z którą „budował nowe stosunki pokojowo-miłosne między wrogimi narodami na bazie marksizmu-leninizmu". We francuskiej Nicei stanął natomiast przed poważnym dylematem: kupić modną koszulę non-iron czy wybrać płatne „pieszczoty z Murzynką"? Wiedział jednak, że „koszule non-iron miały być produkowane jeszcze w tej pięciolatce", […] a możliwość „dżygi-dżygi z Murzynką" nie pojawi się nad Wisłą „nawet na 50-lecie PRL".

Z kolei na wycieczkę do ZSRS „przypadkowo" zabrał się z grupą studentek i był najstarszym jej uczestnikiem. Na zachowanych zdjęciach sprawia wrażenie mocno zafascynowanego młodszymi towarzyszkami podróży, co raczej nie powinno dziwić. Bardziej zastanawia natomiast jego zachowanie podczas pobytu w USA w 1966 r., gdy – jak sam wspominał – „spotykał się z jakimiś amerykańskimi paniami z ogłoszenia matrymonialnego", ale „po godzinie już miał dość ich konsumpcyjnego patrzenia na świat, tych supermarketów i »carów«". Był przecież wówczas jeszcze żonaty, a rozwód miał nastąpić dopiero osiem lat później.

„Mój tata bardzo lubił kobiety – przyznawała Monika Chmielewska. – Musiał każdą zdobyć. Młoda, stara, obojętne. Na każdej musiał wypróbować siłę

eprasa.pl 253b1c906f



Mural w Gdańsku-Wrzeszczu

FOT. STIOPA/WIKIMEDIA COMMONS/CC BY-SA 4.0

swojego dowcipu. W latach 70. w Polsce to było normalne. Ale mama popłakiwała po kątach".

Z czasem Chmielewskiego „znudziły obowiązki nakładane przez małżeństwo", a tradycyjny model rodziny „przestał go satysfakcjonować". W efekcie coraz bardziej oddalał się od żony. Dla otoczenia stało się jasne, że tworzyli wyjątkowo nieudany związek. Nie mieli nawet wspólnych przyjaciół i prowadzili niezależne życie towarzyskie.

„Swoich znajomych Papcio uwielbiał – wspominała córka – problem miał z psiapsiółkami mamy. Nie znosił, gdy przesiadywały u nas. Jak tylko któraś coś opowiadała, tata pokazywał swoje znudzenie – obsuwał się na krześle i przymykał powieki. Irytowały go przyziemne tematy i ciągłe narzekanie na biedę, brak towarów i inne problemy zwyczajnych śmiertelników".

Monika nie kryła radości, gdy jej matka spotkała odpowiedniego mężczyznę i postanowiła zakończyć to „groteskowe małżeństwo". Podczas samotnego pobytu w Stanach Zjednoczonych pani Anna poznała Jerzego Daniluka – polskiego emigranta, wdowca z kilkuletnią córką. Nie przeszkadzało jej, że nowy partner jest od niej „sporo młodszy", i miała nadzieję na ułożenie sobie życia u jego boku. Był bowiem zupełnym przeciwieństwem Chmielewskiego – wprawdzie bardzo przystojny, ale „niepewny siebie, zagubiony, cichy". Według Anny miało to gwarantować udany związek, tym bardziej że Daniluk pracował w USA jako inżynier i miał uregulowane życie zawodowe.

Rozwód Chmielewskich orzeczono w sierpniu 1974 r. i Anna wyjechała do USA, natomiast dzieci pozostały jeszcze nad Wisłą. Monika kończyła wówczas studia na warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, a jej brat niebawem miał zdawać maturę. Do matki dołączyli cztery lata później.

Niepoprawny kobieciarz

Natomiast Papcio Chmiel przez kilka kolejnych lat szeroko korzystał ze swojej wolności. Interesował się właściwie każdą kobietą, która tylko mu się podobała.

„Po rozstaniu z pierwszą żoną całkiem jednak mi odbiło – przyznawał. – Włóczyłem się po mieście, podrywałem dziewczyny. Jak? Miałem na przykład motor WSK 125, którym przejeżdżałem niespiesznie obok przystanku tramwajowego. Przejechałem raz, drugi, patrzę: jest taka, co na chatę się nadaje. Więc jeszcze raz wrrr, wrrr i podjeżdżam prosto do niej: »Zosiu, co tak będziesz stała i czekała?«. Jeśli była bystra, to od razu wsiadała. I gadu-gadu, lody, ple, ple na tematy kulturalno-oświatowe. […] Wszyscy żonaci mi zazdrościli. Wtedy to było wesołe życie! Motor, bilet do kina od konika, papierosy Carmen, prawdziwa kawa z Peweksu, luksus. A teraz czym kobiecie zaimponujesz?".

Nie zmienia to jednak faktu, że artysta wreszcie uznał, że na jesień życia potrzebna jest mu stała partnerka – dawał nawet ogłoszenia matrymonialne. Bez skutku, chociaż informował, że jest kawalerem Orderu Uśmiechu, co miało potwierdzać jego poczucie humoru. Inna sprawa, że kapituła odznaczenia miała do niego pretensję, iż je zbezcześcił, traktując jako rodzaj „przynęty matrymonialnej". Ostatecznie Papcio związał się z jedną ze swoich znajomych, a zadecydowało o tym jego życiowe wygodnictwo.

„Miałem pracownię przy Naruszewicza, a mieszkałem przy Modzelewskiego. Po drodze mieszkała Irenka i zawsze przez okienko wyglądała: »A może na zupkę byś, Heniu, wstąpił?«. Robiłem sobie u niej przerwę, oddech. I tak już zostało". Byli razem przez kilkanaście lat, mieszkali jednak osobno. Dopiero po upadku komunizmu, gdy Chmielewski mógł sobie pozwolić na zakup większego mieszkania, postanowili sformalizować związek.

Inna sprawa, że – jak wspominała jedna z moich znajomych – gdy na początku lat 90. ubiegłego wieku pojawiał się w wydawnictwie, z którym wówczas współpracował, zatrudnione tam młode dziewczyny niemal chowały się po kątach. Mimo bowiem swoich prawie 70 lat Papcio nadal odgrywał rolę nieznośnego donżuana. Czy była to tylko poza starzejącego się mężczyzny czy też wciąż czuł się playboyem? Odpowiedź na to pytanie znał zapewne tylko on sam.

Sławne dzieci sławnego ojca

Tymczasem dzieci Papcia zrobiły duże kariery w Stanach Zjednoczonych. Monika zasłynęła jako bardzo zdolna plastyczka, a jej wielkoformatowe gobeliny są chętnie eksponowane w wielu miejscach publicznych w USA. Miała też sporo wystaw indywidualnych i często zasiada w jury konkursów plastycznych organizowanych na całym świecie. Wykładała w Art Center College of Design w Pasadenie oraz na uniwersytecie w Tsinghua i do dziś współpracuje z wieloma pismami poświęconymi sztuce. Wyszła za mąż za Davida Lehmana, szefa programu kosmicznego NASA, została też bohaterką jednego z odcinków cyklu „Żony Hollywood".

Jej mąż jest jednocześnie przełożonym swojego szwagra, ponieważ Artur Bartłomiej Chmielewski (dla Amerykanów po prostu ABC, ze względu na trudną wymowę nazwiska) po ukończeniu uniwersytetów w Michigan i Los Angeles również trafił do NASA. Był współtwórcą marsjańskiego łazika elektrycznego, sond kosmicznych Galileo i Ulysses, a później menedżerem projektu „Rosetta", w ramach którego osadzono lądownik na jednej z komet okresowych Układu Słonecznego. Założył w USA rodzinę, ma dwóch synów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

H.J. Chmielewski, „Żywot człowieka zmałpionego", Warszawa 2016.

M. Chmielewska-Lehman, „Wątek sławy", Warszawa 2018.

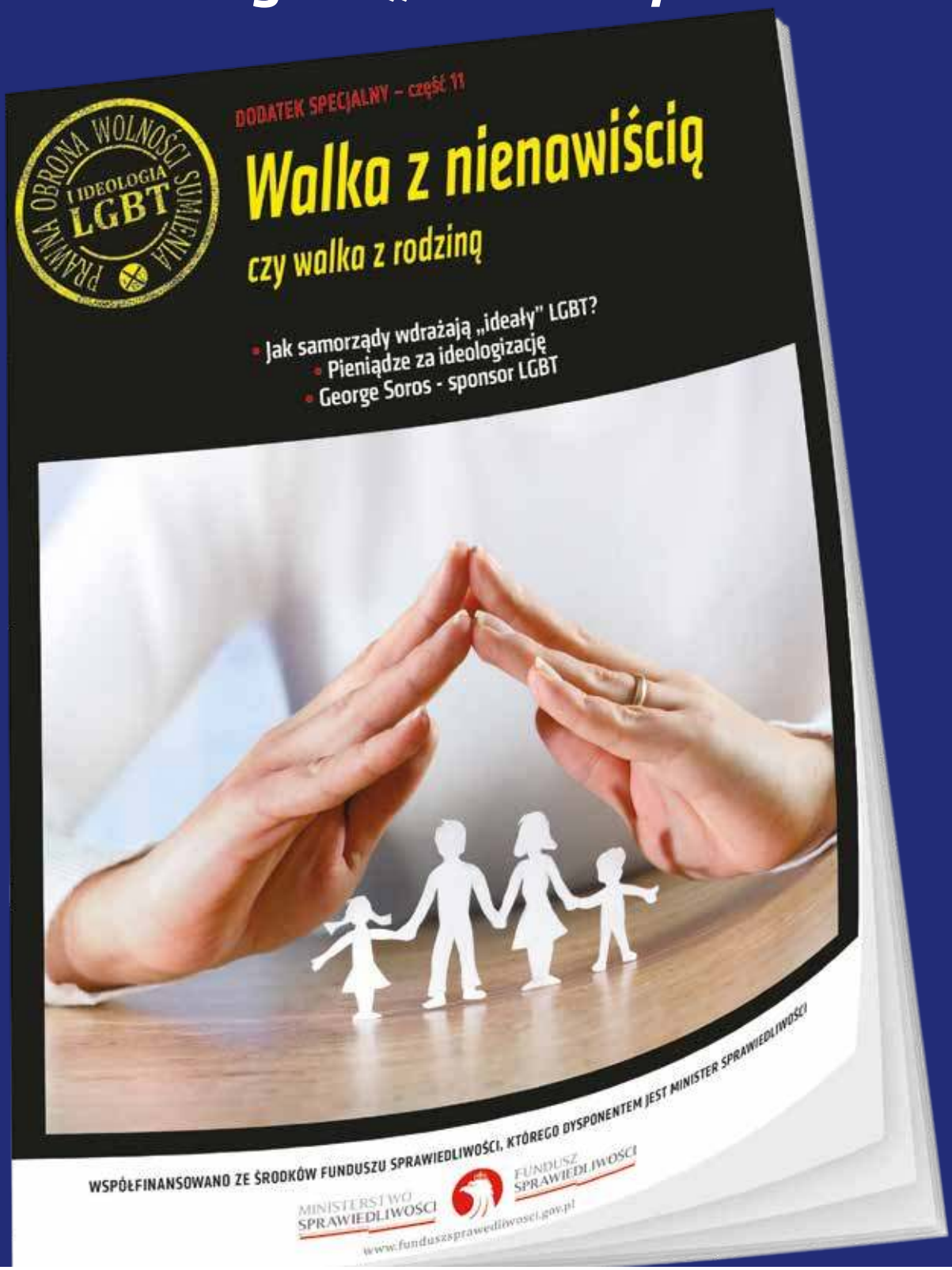
O. Figaszewska, „Papcio Chmiel nie żyje. Tak Monika Lehman, jego córka, mówiła nam o więzi z ojcem", https://viva.pl/ludzie/wywiady-vivy/monique-chmielewska-lehman-zycie-tworczosc-biografia-ksiazka-watek-slawy-corka-papcia-chmiela-29989-r3/



SŁAWOMIR KOPER
„TAJEMNE ŻYCIE AUTORÓW KSIĄŻEK DLA DZIECI"
FRONDA

eprasa.pl 253b1c906f

Już 28 lutego w „Do Rzeczy” dodatek



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawedliwosci.gov.pl

eprasa.pl 253b1c906f



Bolesław Bierut
FOT. COMMONS WIKIMEDIA



Władysław Gomułka
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

1945–1953 / Czystki w bloku sowieckim

Jak ocalał Gomułka



Mikołaj Iwanow

Bierut nie zorganizował rywalowi procesu pokazowego i nie zamordował go, bo lękał się o siebie...

Historia polskiego komunizmu do dziś jest pełna tzw. białych plam. Jedna z nich dotyczy relacji pomiędzy dwoma czołowymi działaczami Polskiej Partii Robotniczej (od 1948 r. Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej). W latach 1945–1953 we wszystkich krajach bloku sowieckiego przeprowadzono na wyjątkowo szeroką skalę tzw. czystkę w szeregach partii komunistycznych. Represjonowano tych, którzy wyrażali pewne wątpliwości co do narzuconego przez Stalina planu sowietyzacji ich krajów. Za swoisty straszak posłużyła Jugosławia, której kierownictwo odważyło się wypowiedzieć posłuszeństwo Stalinowi.

Wódz światowego komunizmu postanowił ukarać KPJ w sposób najbardziej bolesny w celu zademonstrowania wszystkim innym przywódcom partii komunistycznych, jaki los może ich spotkać w razie zbytniej samodzielności lub nieposłuszeństwa. Byli oni wszyscy bez wyjątku wychowankami międzynarodowych szkół partyjnych, pracowali w Międzynarodówce Komunistycznej i jej różnorodnych przybudówkach. Wiedzieli dokładnie o losie Kamieniewa, Bucharina, Trockiego, Beli Kuna, Leszczyńskiego-Leńskiego i wielu innych wątpiących. Wiedział o tym doskonale i Bolesław Bierut. Na przykładzie Jugosławii Stalin pokazał im, że czas „wielkich czystek" i terroru się nie skończył.

Na początku 1947 r. Stalin zaprosił Josipa Broza-Tito do Moskwy, rzekomo w celu uregulowania wszystkich kwestii spornych. Tito odmówił i prawdopodobnie miał rację, żywiąc niebezpodstawne obawy o swoje życie. Bułgarski przywódca Georgij Dimitrow na początku 1946 r. popełnił o wiele mniejszą pomyłkę, zgadzając się bez formalnej akceptacji Stalina na stworzenie federacji socjalistycznych państw bałkańskich pod przywództwem Jugosławii. Zmarł niespodziewanie podczas wizyty w Moskwie na początku 1949 r.

Według scenariusza napisanego w Moskwie każdy kraj wspólnoty socjalistycznej miał przejść przez obowiązkowe „puszczenie krwi". Kraje Europy Środkowej i Wschodniej, znajdujące się pod sowiecką dominacją, ogarnęła atmosfera powszechnego strachu. W Albanii w 1949 r. został skazany na karę śmierci i rozstrzelany weteran partii Koczi Dzodze, wicepremier i minister spraw wewnętrznych. W Bułgarii walka z oportunizmem i zwolennikami Broza-Tito doprowadziła do procesu pokazowego wicepremiera Trajczo Kostowa i skazania go i kilku innych przywódców bułgarskich na śmierć.

Na Węgrzech terror komunistyczny miał charakter masowy. Sprawy sądowe założono prawie 1,5 mln osób. Był to fenomen na skalę światową. W kraju liczącym zaledwie 9,5 mln mieszkańców prawie co trzeci dorosły mieszkaniec kraju miał swą teczkę w służbach specjalnych. Skazano ok. 400 tys. osób – głównie na karę więzienia, a także na zamknięcie w obozach wychowawczych i poprawczych. Odbyło się kilka procesów pokazowych, w tym nad czołowymi kierownikami państwa komunistycznego, którzy rzekomo spiskowali z komunistami jugosłowiańskimi. Na śmierć skazano ministra spraw zagranicznych Lászlo Rajka, którego oskarżono o przygotowanie przewrotu antykomunistycznego oraz szpiegostwo na rzecz państw zachodnich i Broza-Tito. Na procesie Rajka i jego rzekomych współpracowników po raz pierwszy w historii zabrzmiało oskarżenie czołowych przywódców węgierskich o udział w światowym spisku syjonistycznym i jego powiązaniach z Brozem-Tito.

Czechosłowacją wstrząsnął proces pokazowy Rudolfa Slánskiego, sekretarza

eprasa.pl 253b1c906f



Willla MBP w Miedzeszynie, w której więziono Władysława Gomułkę FOT. IPN

generalnego KPCh. Oskarżono go o szykowanie zamachu na życie prezydenta Klementa Gottwalda, o szpiegostwo na rzecz państw zachodnich i tajne wspieranie nowo powstałego państwa Izrael w jego wojnie o niepodległość przeciwko państwom islamskim.

Ważnym elementem terroru komunistycznego w państwach europejskich była rywalizacja elit komunistycznych o względy Stalina, przypominająca drastyczną walkę o życie. Kontrola nad służbami bezpieczeństwa była dość często ostatnią deską ratunku. Wywodzące się z przedwojennych partii komunistycznych nowe elity władzy, świadome, co je może czekać, ochoczo włączyły się w wyścig o podporządkowanie sobie organów bezpieczeństwa państwa, uznając to za najlepszą gwarancję własnego bezpieczeństwa. Kreml zarzucano różnego rodzaju donosami i materiałami kompromitującymi „wysoko postawionych towarzyszy partyjnych". Bardzo często do tych donosów podłączano doradców sowieckich, ambasadorów i agentów NKWD-MGB. Do dziś rosyjskie archiwa KC WKP(b) i FSB są pełne podobnych dokumentów. Ku zadowoleniu Stalina komunistyczni przywódcy włączyli się w niebezpieczną grę donosicielstwa. Niepowodzenie w tej grze kosztowało wielu z nich życie.

Polska specyfika

Na tle innych krajów europejskich Polska początkowo wyglądała jako najmniej podatna na sowietyzację. Po pierwsze, w świadomości historycznej Polaków głęboko utkwiła pamięć o 123 latach zaborów, kojarzonych głównie z Imperium Rosyjskim i Rosjanami jako narodem, związanych z upokorzeniami i krwawo stłumionymi powstaniami narodowymi. Po drugie, po krwawych czystkach lat 30. polscy komuniści byli prawdopodobnie najsłabszą z partii komunistycznych podlegających sowietyzacji. Bierut w rozmowach ze Stalinem niejednokrotnie podkreślał, że idee komunistyczne miały mniejsze poparcie w społeczeństwie polskim niż w innych krajach regionu. Po trzecie, lata 1939–1944 we wzajemnych stosunkach polsko-sowieckich były obciążone sporą liczbą krzywd i przestępstw dokonanych na Polakach przez zbrodniczy system stalinowski (wywózki i terror w latach 1939–1941, Katyń, polsko-sowiecka wojna partyzancka na kresach, zniszczenie AK, Powstanie Warszawskie itp.). Przełamanie powstałej na tym tle wrogości społeczeństwa polskiego wobec ZSRS i komunizmu było wyjątkowo niełatwe. Po czwarte, zbrojny opór przeciwników wasalizacji kraju w Polsce był najmocniejszy.

Zadanie sowietyzacji Polski miało jednak priorytet na tle całokształtu sowieckiej polityki wobec państw Europy Wschodniej i Centralnej. Przyczyn tego zjawiska było również kilka. Po pierwsze, Polska miała bardzo duże znaczenie strategiczne i geopolityczne. Przez jej terytorium biegły drogi zaopatrzenia największego zgrupowania Armii Sowieckiej w Niemczech Wschodnich. Po drugie, Polska była ważnym członkiem koalicji antyhitlerowskiej, walczącym na prawie wszystkich frontach z nazizmem. No i najważniejsze, Polska była największym państwem regionu, mającym bogate tradycje walki z komunizmem. Skuteczne sowietyzowanie tego kraju miało ogromne znaczenie propagandowe.

Sumując to wszystko, obserwujemy specyficzny paradoks: wprowadzenie nowej władzy w Polsce wymagało od Moskwy największego wysiłku w porównaniu z innymi krajami powstającej wspólnoty socjalistycznej, ale jednocześnie Moskwa nie mogła sobie pozwolić na otwartą wojnę z narodem Polskim i dlatego zmuszona była ograniczyć się, wprowadzając tu stosunkowo najłagodniejszy system totalitarny w Europie.

Stalin prawdopodobnie początkowo zamierzał się w Polsce obejść małym upustem krwi. Dlatego zapadały tak niewyobrażalnie „łagodne" wyroki dla przywódców polskiego państwa podziemnego. W Moskwie na „procesie szesnastu" ku zdziwieniu światowej opinii publicznej nie zapadł ani jeden wyrok śmierci. Surowo potraktowano jedynie ostatniego komendanta Armii Krajowej Leopolda Okulickiego (10 lat więzienia) i delegata rządu Jana Jankowskiego (osiem lat).

Z czasem, w miarę realizacji kolejnych etapów planu sowietyzacji Polski, Stalin powoli rezygnował z fikcji łagodności. Nie udało się z pomocą kłamstwa i pustych obietnic przyciągnąć do współpracy legalnej opozycji politycznej (PSL), nie udało się również łagodnym terrorem i demagogią polityczną złamać oporu podziemia niepodległościowego. Trzeba było więc przystąpić do stosowania tradycyjnych metod komunistycznych. Okazało się, że Bolesław Bierut był tym człowiekiem, który najbardziej nadawał się do roli głównego organizatora stalinowskiego planu.

Terror nad Wisłą

Bierut ze zrozumieniem i potulnością przyjął ten zwrot. W latach 1944–1947 w Polsce odbywała się rewolucja społeczna, która wcześniej czy później miała przekształcić się w trwałą wojnę domową. Bierut i polscy komuniści do tej wojny z własnym narodem byli przygotowani. Zwycięstwo mniejszości komunistycznej przeciwko tzw. reakcyjnej większości

eprasa.pl 253b1c906f

narodu polskiego gwarantowała Armia Czerwona, okupująca polskie ziemie. Stalin starał się, aby ta wojna nie wyglądała jak wojna Polaków z okupacyjnym reżimem sowieckim i żeby sami Polacy (czytaj: komuniści polscy) skomunizowali kraj własnymi rękoma.

Idea ta od samego początku była błędna. Polscy komuniści nie mieli ani sił, ani środków, aby ją urzeczywistniać. Dlatego Stalin cały czas musiał sięgać po swą broń ostateczną – Armię Czerwoną i NKWD. Wymagał również od Bieruta posługiwania się na szeroką skalę sprawdzonymi metodami sowieckimi: terrorem, uprzywilejowaniem części społeczeństwa kosztem drugiej części i pogłębieniem podziałów klasowych.

Stalin osobiście był zaangażowany w przeprowadzenie sowietyzacji Polski. Niejednokrotnie sam spotykał się z Bierutem. Po powrocie z jednej takiej wizyty w Moskwie Bolesław Bierut na posiedzeniu Biura Politycznego PPR tak opisywał reakcję Stalina na działania komunistów polskich: „Towarzysz Stalin krytykował nas za miękkość i rozlazłość… Kiedy się dowiedział, że żaden obszarnik nie zastał jeszcze posadzony, wymyślał: »Cóż wy za komuniści! To nie tylko brak komunizmu, to brak patriotyzmu, właściwego stosunku do potrzeb narodu…, podchodzicie w rękawiczkach do wroga, który nas zwalcza, dyskredytuje nas jako rewolucjonistów«”.

Dla Stalina represje na szeroką skalę były środkiem uniwersalnym, skutecznym w każdych warunkach geopolitycznych. Był przekonany, że za pomocą terroru można złamać każdy opór społeczeństwa polskiego, ale jednocześnie dążył do wprowadzenia komunizmu w Polsce tak, aby nie drażnić zbytnio swoich zachodnich sprzymierzeńców. Natomiast Bierut obawiał się stosowania represji na szeroką skalę nie dlatego, że był on w zasadzie przeciwnikiem przemocy wobec własnego narodu. Ciążył nad nim strach przed powtórką wielkiego terroru i przed kolejnym rozprawieniem się Stalina z polskim komunizmem i z nim osobiście. Zdaniem Bieruta, bezwzględny terror wobec obozu niepodległościowego mógł spowodować powszechne powstanie antykomunistyczne w Polsce i swoistą powtórkę „Powstania Warszawskiego” w skali całego kraju, a tym razem Stalin musiałby zniszczyć opór własnymi rękami.

Represjom na szeroką skalę towarzyszyła niezwykle intensywna kampania propagandowa, piętnująca obóz antykomunistyczny. Niektóre elementy tej kampanii prawie żywcem przenoszono ze Związku Sowieckiego do Polski. Dotyczy to przede wszystkim oskarżenia przeciwników politycznych o udział w zbrodniach faszystowskich, o współpracę z faszystami niemieckimi. Dokładnie w ten sposób atakowano rząd londyński, Polskie Państwo Podziemne i Armię Krajową, kiedy Niemcy ujawnili prawdę o zbrodni katyńskiej. Wtedy właśnie wiosną 1943 r. prawie wszystkie sowieckie środki masowego przekazu były przepełnione materiałami oskarżającymi Polaków o zdradę koalicji antyhitlerowskiej, o współpracę z wrogiem itp.



Rudolf Slánský na ławie oskarżonych FOT. BBC

Na tej fali nienawiści wobec polskiego państwa niepodległego pojawiły się słynne hasła propagandy PRL-owskiej: „zapluty karzeł reakcji”, „sługus faszystowski”, „bratobójca” itp. Wyraźnym przejawem tej kampanii był słynny dekret PKWN o zdrajcach narodu polskiego. Niedługo potem wprowadzono drakoński tzw. mały kodeks karny, z kategorią „przestępstw szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa polskiego”, pod którą podciągano prawie każdego, kto ośmielił się występować przeciwko nowej władzy.

Bierut był świadom, że z początku Moskwa traktowała łagodny kurs sowietyzacji Polski jako zjawisko tymczasowe, mające na celu zakorzenienie w świadomości społeczeństwa polskiego iluzji możliwości pokojowego współistnienia z władzami komunistycznymi. Ostatecznie zrzucono maskę łagodności po wyborach do Sejmu ustawodawczego. Był to punkt zwrotny w historii sowietyzacji Polski, kiedy opór społeczeństwa polskiego został ostatecznie złamany. Represje komunistyczne nabrały rozpędu. W samym 1947 r. liczba aresztowanych sięgała ok. 100 tys. osób. Tysiące ludzi zabito bez sądu w całym kraju. Liczni zginęli w walkach z UB i KBW albo w pacyfikacjach; według oficjalnych danych, w latach 1945–1948 zabito w starciach 8,7 tys. osób. Na karę śmierci w okresie polskiego stalinizmu skazano co najmniej 5 tys. osób. Wyroki wobec prawie 3 tys. zostały wykonane. Stalin dopiął swego. Polski UB w głównych kształtach skopiowano z NKWD-MGB. Kraj przekształcono w państwo policyjne. Osiągnięto to mniejszym kosztem w porównaniu z innymi tzw. państwami socjalistycznymi. Czy była to zasługa Bieruta?

Gomułka u Stalina

Opracowany na Kremlu i przekazany Bierutowi i jego otoczeniu plan sowietyzacji był oparty na powszechnym terrorze, perfidnym kłamstwie, różnorodnych falsyfikacjach i zastraszeniu społeczeństwa polskiego. Bolesław Bierut w opinii Stalina był właśnie tym człowiekiem, który najbardziej nadawał się do roli głównego realizatora zadania ujarzmienia Polaków. Na tym tle rodził się kult Bieruta, którego komunistyczna propaganda przedstawiała jako mądrego, dobrodusznego, troskliwego, oddanego bez reszty idei uszczęśliwienia Polaków „ojca narodu”. Był to obraz od początku do końca fałszywy. Terror wewnętrzny wśród komunistów polskich miał swoją specyfikę. W odróżnieniu od lat przedwojennych, kiedy KPP ukarano najsurowiej, tym razem polskich komunistów oszczędzono. Nasilenie terroru wewnątrzpartyjnego w Polsce wyraźnie ustępowało skali podobnych represji w innych krajach europejskich, znajdujących się pod sowiecką dominacją.

Jest to swoisty paradoks w historii polskiego ruchu komunistycznego. PPR

eprasa.pl 253b1c906f

na czele z Bierutem i Gomułką ideowo stała najbliżej jugosłowiańskiej rebelii w powstającym obozie socjalistycznym. Poglądy o istnieniu specyficznej, niepodobnej do sowieckiej drogi budowania społeczeństwa socjalistycznego były dość szeroko rozpowszechnione w PPR (PZPR). Czy to oznacza, że w odróżnieniu od Czechosłowacji, Bułgarii lub Węgier w Moskwie nie dostrzegli niebezpieczeństwa ulegania Polaków wpływom jugosłowiańskim? Dlaczego głównemu wyrazicielowi podobnych poglądów – Władysławowi Gomułce – nie zorganizowano w Warszawie głośnego procesu na kształt tego, który urządzono Rudolfowi Slánskiemu? Bierut nieprzypadkowo zrezygnował z zamordowania Gomułki. Uważał, że podobna rozprawa może mocno nadszarpnąć jego własny autorytet i przysporzy komunistom poważnych kłopotów w kraju.

Sytuacja z Gomułką wygląda jeszcze bardziej paradoksalnie ze względu na to, że on sam nie ukrywał swych poglądów. Otwarcie próbował bronić niezależności PPR, sprzeciwiał się dyktatowi Moskwy, próbował nawet storpedować inicjatywę Stalina o częściowym wskrzeszeniu Międzynarodówki Komunistycznej w postaci Biura Informacyjnego Partii Komunistycznych i Robotniczych (Kominform), wystąpił z propozycją pośrednictwa w konflikcie między Moskwą a Belgradem. Tego wszystkiego z nawiązką starczało na wysłanie lidera polskich komunistów na szafot. Na dodatek w Moskwie wiedziano, że w czasie procesu Rajka w Budapeszcie kilku oskarżonych w swych zeznaniach przedstawiło Gomułkę jako czołowego agenta jugosłowiańskiego, ścisłe powiązanego z Brozem-Tito. Donosy do Moskwy na Gomułkę były liczne. Jednym z pierwszych donosicieli okazał się sam Bierut w depeszy z lipca 1944 r., oskarżając go o odejście od generalnej linii partii, swawolę i ignorowanie wskazówek moskiewskiego centrum.

Zamiast zorganizowania Gomułce i jego zwolennikom procesu, upokarzania ich i zniszczenia Bierut wysyła swego głównego konkurenta w partii do Moskwy. Stalin przyjmuje już mocno osłabionego lidera PPR w grudniu 1948 r. i rzekomo uprasza go, by nie rezygnował z działalności politycznej i wziął udział w kolejnym bardzo ważnym etapie sowietyzacji Polski – zjeździe zjednoczeniowym PPR i PPS. „Pora kończyć wasze głupie spory – wypowiedział się Stalin – powinieneś wejść do Biura Politycznego polskiej zjednoczonej partii". Odmawiać Stalinowi na tak postawioną kwestię dla wielu mogło oznaczać tylko jedno – trafienie za mury Łubianki, niechybny proces i śmierć.

Gomułkę było jednak stać na rozmowę ze Stalinem na argumenty. Próbował przekonać go do konieczności wytyczenia Polsce odmiennego od sowieckiego kierunku sowietyzacji. Podobna niezłomność i absolutna pogarda wobec grożącego niebezpieczeństwa prawdopodobnie mogła stać się jedną z przyczyn cudownego uratowania Gomułki, jego powolnego odejścia od kierownictwa PPR. W końcu trafił za kraty, ale nie do celi straceń. Gomułkę oszczędzono, ponieważ urządzenie mu procesu pokazowego mogło mocno osłabić PPR (PZPR), która i tak miała bardzo słabe poparcie w społeczeństwie polskim.

Znajdująca się pod okupacją sowiecką Polska na żadną rebelię typu jugosłowiańskiej nie miała szans. Polska była krajem okupowanym. Kontrola Kremla nad PPR była o wiele ściślejsza od kontroli Stalina nad KPJ. Jednak postawa Gomułki w niektórych czułych dla Kremla kwestiach przypominała jugosłowiańską, a nawet ją przerastała. Bierut natomiast harmonijnie pasował do planów Kremla.

W procesie sowietyzacji Polski zależność Bieruta i jego otoczenia od Moskwy była prawdopodobnie największa w porównaniu z innymi partiami komunistycznymi. Związane to było ze słabością polityczną komunistów polskich we własnym społeczeństwie, a także z historycznymi doświadczeniami liderów PPR i PZPR. Stalin nie obawiał się jakiejkolwiek zdrady z strony Bieruta, podobnej do działań jugosłowiańskiej partii. Jego uzależnienie od Stalina było całkowite; był on zakładnikiem swej słabości. Jeszcze wczoraj w okresie „wielkiego terroru" był Bierut kandydatem na wizytę u NKWD-owskich katów, a teraz ci kaci obdarzyli go ogromnym zaufaniem, powierzając ważne zadanie ideologiczno-praktyczne – zniewolenie wielkiego europejskiego narodu. Jego polskość miała znaczenie zasadnicze, ale tylko w tym sensie, czy była ona przydatna w sprawie sowietyzacji Polski.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



eprasa.pl 253b1c906f

1868–1919 / We Lwowie, w Krakowie i Berlinie



RYSUNEK AUTORSTWA STANISŁAWA WYSPIAŃSKIEGO/WIKIMEDIA COMMONS

Polski patriota ze sztetlu



Tomasz Stańczyk

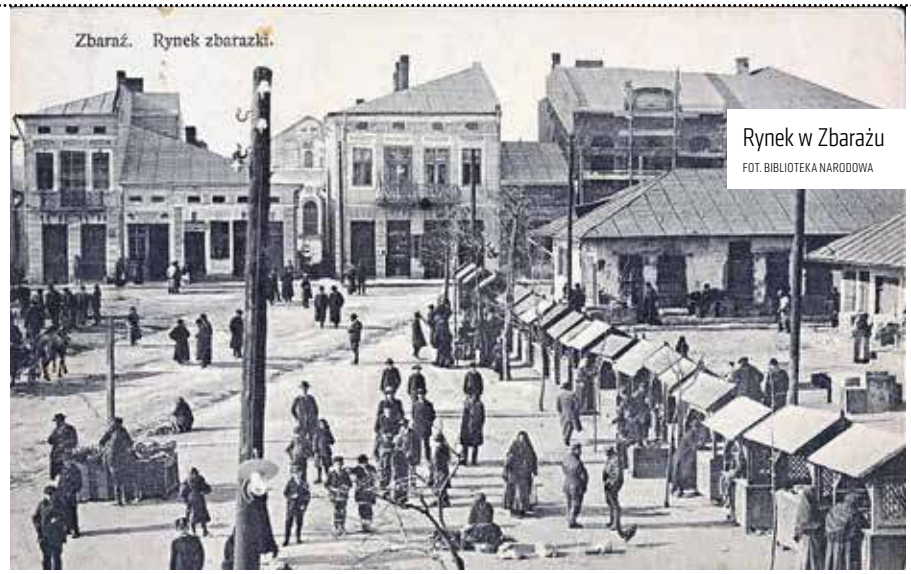
Wilhelm Feldman był gorącym orędownikiem asymilacji Żydów i niepodległości Polski

Wiele trzeba mieć hartu ducha, by zerwać ze swoim otoczeniem, tradycją własnego narodu, wyrwać się – jak pisał Filip Eisenberg w książce „Pamięci Wilhelma Feldmana" – „z ciasnoty małomiasteczkowego getta" i przylgnąć do polskości. Hart ducha i siła woli nigdy Feldmana nie opuściły. Urodził się w żydowsko-polsko-ukraińskim Zbarażu w 1868 r., w rodzinie chasydzkiej. Uczył się w chederze, lecz zwrot w jego życiu nastąpił w ławach szkoły ludowej prowadzonej przez bernardynów. Wówczas, jako 13-latek poznał język polski, a to otworzyło chłonnemu umysłowi dostęp do polskiej kultury i historii.

W 1883 r. przypadała 200. rocznica wiktorii wiedeńskiej. Piętnastoletni Feldman odważył się zabrać głos i łamaną jeszcze polszczyzną, wzruszony, powiedział: „Polska jest naszą ojczyzną – jest wyśnionym Syjonem, Polskę należy kochać, dla niej pracować". Wśród zgromadzonych zapanowało wzburzenie. Przerwano chłopcu „wściekłymi wrzaskami", rzucono się na niego z pięściami i poturbowano. Scena ta, jak pisał Józef Grabiec (Dąbrowski), przypominała epizod z „Meira Ezofowicza" Elizy Orzeszkowej, gdy sfanatyzowany żydowski tłum rzuca się na tytułowego bohatera powieści, odczytującego testament przodka, stwierdzający, że Żydzi powinni czuć i myśleć po polsku.

Po incydencie w synagodze dla Feldmana nie było już miejsca w żydowskiej społeczności Zbaraża. Wyjechał do Lwowa, pozbawiony wsparcia rodziny, z trudem zarabiał na życie jako korepetytor. Wszedł w krąg polskiej młodzieży skupiającej się wokół Mieczysława Darowskiego, weterana powstania listopadowego, członka Rady Narodowej we Lwowie podczas Wiosny Ludów. „Jego ręka, która ongiś dzierżyła szablę bojową, a ściskała dłoń Mickiewicza,

eprasa.pl 253b1c906f



Rynek w Zbarażu
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

z błogosławieństwem spoczęła na głowie idącego z getta w świat polski samouka" – pisał patetycznie Eisenberg. Przekazana przez Darowskiego tradycja walki o niepodległość i poezja romantyczna ukształtowały polski patriotyzm Wilhelma Feldmana.

Żydzi i Polacy

Feldman odrzucił żydowski świat, nawet religię, jednak nie wypierał się swego żydowskiego pochodzenia. Pragnął, by Żydzi, tak jak on, weszli w krąg polskości, identyfikowali się z dążeniami narodowymi Polaków. W Galicji istniały ku temu podstawy. Czas, w którym urodził się Feldman, był początkiem galicyjskiej autonomii, powstało polskie szkolnictwo i młodzi Żydzi, którzy – czy to z woli rodziców, czy też z własnej – nie poprzestali na nauce w chederze, mogli zetknąć się w szkołach z polskim językiem, literaturą, historią. Była to młodzież, która, jak pisał w książce „Asymilatorzy, syjoniści i Polacy" Wilhelm Feldman, wyłoniła się „z masy na wpół zniemczałego, na wpół azjatyckiego żydostwa z sztandarem białego orła w silnej dłoni".

Jednak takiej młodzieży było niewiele, a przylgnięcie do polskości wymagało wręcz heroicznego wysiłku zerwania ze światem żydowskim. Nie każdy – tak jak Feldman – mógł się na to zdobyć. Nie wszyscy jednak, którzy wyrwali się z kręgu sztetli, synagog, rabinów i cadyków, byli mu bliscy, gdyż wielu z nich przyjęło, zdaniem Eisenberga, „gruby utylitaryzm w miejsce wiary, co prawda i fanatycznej", a poza tym cechowała ich „grawitacja do niemczyzny". Lecz właśnie ruch asymilatorski w Galicji spowodował, że w ocenie Feldmana język polski stał się regułą wśród inteligencji żydowskiej.

Natomiast zdecydowana większość społeczeństwa polskiego odnosiła się, jak pisał Eisenberg, „do tych garnących się ku niemu dzieci" w najlepszym razie obojętnie, „odgradzało się od nich murem przesądów, uprzedzeń, chwilami – nienawiści". Z drugiej strony niechęć i wrogość wobec asymilatorów przejawiał rodzący się syjonizm, nurt nacjonalistyczny wśród Żydów, z natury rzeczy sprzeciwiający się asymilacji. Syjoniści głosili hasło: „Precz ze służalczym muzykantem Jankielem [z Pana Tadeusza – przyp. T.S.] i jego wielbicielami". Rzecz jasna, asymilatorów zwalczali także rabini i cadycy.

W takich to trudnych warunkach Feldman był działaczem ruchu asymilatorskiego, członkiem pisma „Ojczyzna" oraz stowarzyszenia Przymierze Braci, organizującego kursy języka polskiego dla Żydów i postulującego, by nauka religii mojżeszowej odbywała się w żydowskich szkołach po polsku. W latach 1891–1894 Feldman pracował jako sekretarz fundacji barona Hirscha, mającej na celu „uobywatelnienie Żydów", zakładał szkoły ludowe dla Żydów z polskim językiem wykładowym i nauką języka hebrajskiego, jednak odszedł z fundacji, gdy zwyciężył w niej „centralistyczny kierunek niemiecki".

Feldman nie głosił asymilacji „polskiej narodowej w ściślejszym tego słowa znaczeniu", lecz był zwolennikiem asymilacji politycznej. Uważał, że Żydzi polscy są i mogą być z przekonania i moralnego prawa obywatelami Polski. Wyrażał przekonanie: „Im czynniej będą te prawa wykonywać, tym więcej się zrosną z narodowością polską […]. Żydzi poczuwający się rzetelnie do polskości nie wiedzą najczęściej, jaką drogą do tych uczuć doszli. Kultura, otoczenie, ideał, życie wspólne wywołują taką symbiozę, wręcz biologiczną […]. Nawołuję do wspólnych walk i ofiar. Nic tak nie łączy, jak krew za ideę wielką przelana w czasie wojny i praca wspólna w czasie spokoju".

Feldman gorzko jednak konstatował: „Zdawało się, że społeczeństwo polskie da nam rękę do tej wspólnej pracy, wspólnej korzyści. Zawiedliśmy się".

Romantyzm i niepodległość

Wilhelm Feldman związał się z grupą młodzieży postępowej, sympatyzującej z socjalizmem. W 1888 r. brał udział w pogrzebie Bolesława Czerwieńskiego, działacza socjalistycznego ze Lwowa, autora słów pieśni „Czerwony sztandar". Za udział w odśpiewaniu podczas pogrzebu tej pieśni Feldman był na krótko aresztowany. Rok później przeniósł się do Krakowa, był współzałożycielem pisma „Ognisko", a w 1891 r. stanął przed sądem oskarżony o udział w tajnym stowarzyszeniu socjalistycznym, został jednak uniewinniony.

Wyjechał później do Niemiec, by kształcić się na tamtejszych uniwersytetach, był korespondentem polskich pism. Został wydalony z Niemiec za propagandę „wielkopolską". Po powrocie do Krakowa założył „Dziennik Krakowski", wyznawał wówczas socjalizm „złagodzony" – jak pisał Eisenberg – demokratyczny, niepodkreślający walki klas, kładący natomiast nacisk na podniesienie kulturalnego poziomu wśród mas. Feldman był współzałożycielem Uniwersytetu Ludowego im. Adama Mickiewicza i Wyższych Kursów Wakacyjnych w Zakopanem.

Zakochany w literaturze polskiej Feldman był piewcą twórczości epoki romantyzmu, który uważał za szczyt osiągnięć polskiej kultury: „Najlepsza powieść polska: »Pan Tadeusz«. Najcudniejsza liryka erotyczna »Sonety« Mickiewicza, »W Szwajcaryi«, wstęp do »Przedświtu«. Najwspanialsze dramaty – Słowackiego. Najpotężniejsze pobudki bojowe ogólnoludzkie prometejskie:

eprasa.pl 253b1c906f



Stanisław Wyspiański był autorem szaty graficznej książki zaprzyjaźnionego z nim Wilhelma Feldmana

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

»Oda do młodości«, »Do autora Trzech psalmów«. Ile to subtelnych drgnień duszy »nowoczesnej« odtwarza Horsztyński, »Nowa Dejanira«, »Beniowski«. Największe napięcie wszystkich władz duchowych […] – »Król Duch«. Najlepsza publicystyka Polska: artykuły polityczno-społeczne Mickiewicza". Uważał, że trzecia część „Dziadów" jest arcydziełem.

Nawoływał więc: „Do romantyzmu wracajmy, do romantyzmu". Dlaczego? Dlatego że romantyzm to bunt i walka, „a gdzież tyle pola dla tych stanów, jak właśnie w Polsce". Nie musiał dodawać, że w Polsce – pod zaborami.

Dziełem życia Wilhelma Feldmana była monografia literatury polskiej wieku XIX i początku XX „Piśmiennictwo polskie 1880–1904", pisana żywo i publicystycznie, z wielką admiracją dla Stanisława Wyspiańskiego, którym opiekował się Feldman w jego śmiertelnej chorobie. „Idea bohaterstwa – pisał – przenikająca całą twórczość poety, nadaje jej całkiem szczególne znaczenie dla Polski". Inną wersją książki była „Współczesna literatura polska 1864–1917". Ten wybitny wkład w naszą kulturę narodową został brutalnie zaatakowany przez część polskiej elity. „Poniżano i opluwano pracę pisaną krwią serdeczną – pisał Filip Eisenberg – okupioną trudem i poświęceniem, odmawiano mu polskości i prawa zabierana głosu w sprawach kultury polskiej, wyszydzano jego patriotyzm lub traktowano jako niskie geszefciarstwo". W obronę wzięli jednak Feldmana tak wybitni twórcy, naukowcy i działacze jak Stefan Żeromski, Zygmunt Miłkowski (Tomasz Teodor Jeż), Władysław Orkan, Ludwik Krzywicki, Bolesław Limanowski.

Na kartach czasopiśmiennictwa polskiego zapisał się Feldman najmocniej jako długoletni (1901–1914) redaktor naczelny miesięcznika „Krytyka". Ściągnął tam „wszystko, co najwybitniejsze w dziedzinie literatury i myśli polskiej" – oceniał Józef Grabiec. I dodawał: „Nie było poważniejszego zjawiska umysłowego, społecznego lub politycznego, które nie byłoby wyczerpująco omówione na łamach »Krytyki«". W miesięczniku publikowali najwybitniejsi pisarze i poeci: Stefan Żeromski, Maria Konopnicka, Stanisław Przybyszewski, Tadeusz Miciński, Kazimierz Tetmajer.

Pismo służyło jako trybuna dla poglądów niepodległościowych, udzielało swoich łamów działaczom irredenty: Leonowi Wasilewskiemu, Marianowi Kukielowi, Władysławowi Studnickiemu, Michałowi Sokolnickiemu. Feldman chciał służyć idei wolnej Polski przez „nawoływanie do ubojowienia społeczeństwa polskiego w kierunku antyrosyjskim". Tym samym wspierał na łamach „Krytyki" paramilitarne organizacje tworzone w Galicji, w tym Związek Strzelecki i Strzelca, podporządkowane Józefowi Piłsudskiemu, oraz Polskie Drużyny Strzeleckie. W Związku Strzeleckim Feldman był – jak wspominał gen. Władysław Sikorski – jednym z „najgorętszych". Propagował odwoływanie się do tradycji powstania styczniowego, tak bliskiej Piłsudskiemu. Poglądy, rozmowy i działania Feldmana miały wpływ na powołanie Komisji Tymczasowej Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych. Krytykował go ze strony żydowskiej Stanisław Mendelson, pisząc, iż „Feldman zapomniał, że nie wolno mu być husarzem".

Misja w Berlinie

Gdy wybuchła pierwsza wojna światowa, Wilhelm Feldman, uważając, że konsekwencją jego poglądów musi być czyn, zgłosił się do Legionów Polskich. Tak jak ponad 600 Żydów, a raczej należałoby powiedzieć: Polaków pochodzenia żydowskiego, gdyż wstępując w szeregi Legionów, faktycznie deklarowali swą polskość.

Akces Feldmana do Legionów, jak oceniał Eisenberg, był „wzruszającym absurdem służby wojskowej", gdyż redaktor „Krytyki" był krótkowidzem o bardzo słabym zdrowiu i nie nadawał się na żołnierza. Mimo to brał udział z zapałem i poświęceniem w ćwiczeniach. Przekonano go, by zdjął mundur, że piórem może lepiej służyć sprawie polskiej. Departament Wojskowy Naczelnego Komitetu Narodowego wysłał Feldmana do Berlina jako delegata prasowego. Pracował przez niemal cztery wojenne lata w bardzo trudnych warunkach materialnych, niewielką pomocą był żołd, który otrzymywał jako podoficer Legionów. „Najgoręcej pisał i chlubił się każdym objawem dzielności, każdym stadium rozwojowym Legionów Polskich, w których przedstawiał jedyny materiał kadrowy na przyszłą armię polską" – wspominał prof. Stanisław Kot.

Na łamach założonego przez siebie pisma „Polnische Blätter", walcząc niejednokrotnie z cenzurą, propagował polskie dążenia narodowe, zmierzające w kierunku niepodległości, umieszczał artykuły w niemieckich gazetach. Stanisław Kot podkreślał, że dzięki zabiegom Feldmana „wielka część prasy niemieckiej, zwłaszcza centrowej, demokratycznej i socjalistycznej zamknęła się dla zawodowych antypolskich kalumniatorów; napaści ukraińskich biur prasowych na Polskę musiały się ograniczyć do organów ściśle hakatystycznych, antypolskie wystąpienia nacjonalistów żydowskich coraz mniej znajdowały posłuchu i gościny".

Bardzo ostro zareagował Feldman na traktat brzeski, w którym Niemcy i Austro-Węgry oddawały Ukraińskiej Republice Ludowej Chełmszczyznę. „Rzucił w twarz całych Niemiec potężne oskarżenie tego aktu gwałtu i perfidii" – stwierdzał Stanisław Kot. Feldman pod wrażeniem traktatu brzeskiego napisał list otwarty „Przed czwartym rozbiorem Polski", do Friedricha Naumana, twórcy koncepcji Mitteleuropy, związku państw środkowoeuropejskich pod przewodnictwem Niemiec. List zakończył słowami: „Przeżyliśmy rosyjską niewolę, przeżyjemy i niemieckie oswobodzenie […]. Niech żyje Polska!".

W efekcie Wilhelm Feldman został wydalony z Berlina. Pracował w departamencie spraw zagranicznych Królestwa Polskiego. W pierwszych tygodniach polskiej niepodległości został wysłany do Berlina jako chargé d'affaires, ale szybko został odwołany i – jak pisał Chołoniewski – „został skazany na zabójczą bezczynność" jako pracownik MSZ. Pracował nad nowymi wydaniami swego dzieła o literaturze polskiej, „Dziejów polskiej myśli politycznej 1864–1914", zamierzał napisać książkę o Mickiewiczu. Powaliła go epidemia czerwonki. Na łożu śmieci przyjął chrzest. Zmarł 25 października 1919 r. w Rabce, został pochowany na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Jego synem był Józef Feldman, znany historyk, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 253b1c906f

XIX w. / Podbój Afryki Północnej przez Francję

Pogromca Algierii



Piotr Semka

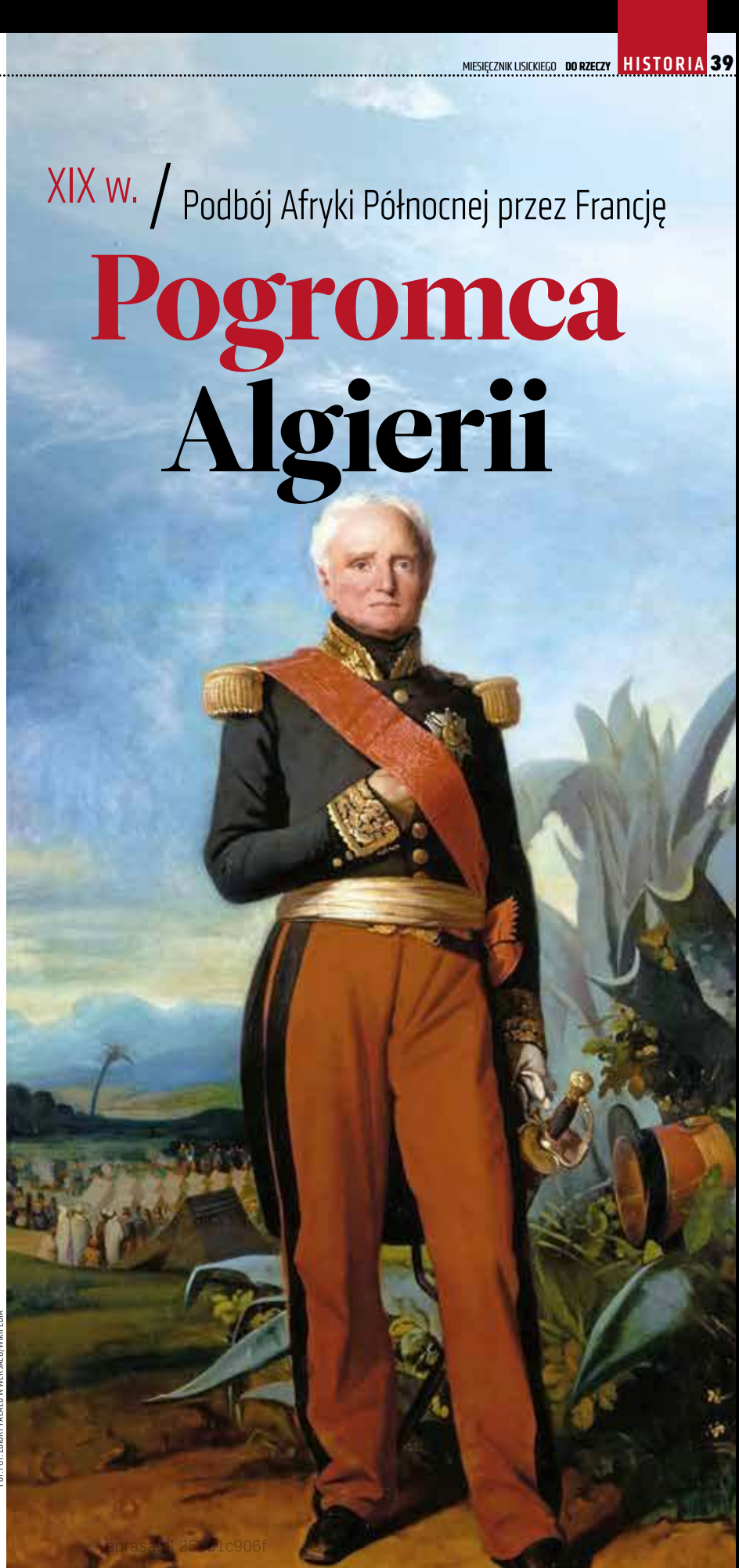
Thomas Bugeaud spacyfikował Beduinów. Dziś brutalna taktyka marszałka przedstawiana jest jako przykład zezwierzęcenia kolonializmu

W popularnym filmie francuskim „Pépé le Moko" francuska policja kolonialna biedzi się z pojmaniem groźnego przestępcy. Przybyły z Paryża komisarz proponuje: „Może lepiej niech arabską dzielnicę Kazbę oczyści wojsko". Odpowiedź czołowych urzędników policji jest szybka i gorzka: „Marszałek Bugeaud już raz oczyścił Algierię". Ta wymiana zdań, która dla większości polskich widzów jest niezrozumiała, nabiera sensu dopiero wtedy, gdy pozna się postać Thomasa-Roberta Bugeauda (1784–1849), pogromcy północnej Afryki.

Ten wybitny francuski dowódca był skuteczny, ale bezwzględny. Dziś w ramach antykolonialnej politycznej poprawności jego nazwisko powoli znika z ulic francuskich miast. Problemy, przed którymi stał marszałek, jednak nie znikają. Postać tego wojskowego przywoływana jest dzisiaj w kontekście dyskusji o sensie francuskich interwencji wojskowych na terenie Afryki.

Gwardzista cesarza i klawisz króla

Thomas Bugeaud wywodził się ze starej szlacheckiej rodziny z południa Francji – z regionu Périgord. Jego matka wniosła do rodu nieco egzotyki. Lady Françoise de Sutton de Clonard wywodziła się z arystokratycznej katolickiej rodziny z Irlandii. Bugeaud zaciągnął się do armii Napoleona w wieku 20 lat



FOT. FOT. ZBIORY PAŁACU W WERSALU/WIKIPEDIA



Bitwa nad rzeką Isly, 1844 r. Malował Horace Vernet FOT. ZBIORY PAŁACU W WERSALU/WIKIPEDIA

jako welita piechoty gwardii cesarskiej (formacja nawiązująca do lekkozbrojnych legionistów rzymskich). Szlify kaprala zdobył w bitwie pod Austerlitz, a w czasie kampanii w Polsce w latach 1806–1807 dosłużył się już stopnia podporucznika. Zdobył uznanie za swoje męstwo w bitwie pod Pułtuskiem 26 grudnia 1806 r. Następnie został skierowany do Hiszpanii, gdzie służył w korpusie armii marszałka Luisa Sucheta. Podobnie jak inni francuscy oficerowie walczący za Pirenejami musiał się nauczyć taktyki zwalczania partyzantki hiszpańskiej. Te doświadczenia przydadzą mu się w przyszłości.

Po upadku Napoleona przechodzi do obozu Ludwika XVIII, ale gdy tylko cesarz ucieka z Elby i wraca na kampanię stu dni, natychmiast melduje się pod sztandarami cesarza. Ta zmiana obozu uchodzi mu jednak jakoś płazem, gdyż skończyło się tylko na zwolnieniu z wojska.

Wydaje się, że pisany mu już został żywot hreczkosieja. Całą swoją uwagę skupia na unowocześnieniu gospodarstwa ziemskiego swojego ojca markiza de Faverolle. W 1825 r. zostaje wybrany na burmistrza miasteczka Excideuil. Kiedy wybucha kolejna wojna w Hiszpanii, próbuje wrócić do wojska, ale rząd odrzuca jego wniosek. „Spalony" w obozie Karola X zbliża się do liberalnej opozycji i czeka na zmianę politycznej koniunktury. Nowe polityczne wiatry zaczynają wiać po rewolucji lipcowej 1830 r. Na tron wkracza Ludwik Filip, który orientuje się na prężną liberalną burżuazję. Bugeaud zostaje wybrany na posła i mianowany przez nowego króla marszałkiem polnym.

Te fawory mają jednak swoją cenę. Ludwik Filip nakazuje mu, by został gubernatorem cytadeli w Blaye, w której przetrzymywana jest księżna Berry – uważana przez legitymistów za prawowitą władczynię. Funkcja nadzorcy młodej księżnej nie przynosi mu popularności. Złośliwie nazywany jest „klawiszem z Blaye". Gdy w trakcie jednej z dyskusji w parlamencie legitymiści wypominają mu to, marszałek odpowiada: „Posłuszeństwo jest pierwszym obowiązkiem żołnierza". Wtedy pada zjadliwa riposta François-Charles'a Dulonga: „Nawet jeśli ktoś prosi, by zostać więziennym klawiszem?". Te obraźliwe słowa są powodem pojedynku między Bugeaudem i Dulongiem. Los tego ostatniego dowodzi, że pojedynkowanie się z zawodowym wojskowym nie jest bezpieczne. 27 stycznia 1834 r. w trakcie pojedynku Dulong ginie od kuli w głowę. Honor Bugeauda zostaje uratowany.

Jednak król Ludwik Filip znów zatrudnia marszałka do brudnej roboty. Gdy w kwietniu 1834 r. wybucha w Paryżu lewicowe powstanie, Bugeaud zostaje dowódcą jednej z trzech brygad, które mają stłumić rebelię. W trakcie ataku wojsk rządowych na barykadę na rue Transnonain, z dachu jednego z domów zostaje zastrzelony oficer. W akcie zemsty żołnierze wkraczają do kamienicy, rozstrzeliwują 12 mieszkańców i ranią wielu innych przypadkowych cywili. Bugeaud dowodził na innym odcinku, ale ponieważ jest już w tym czasie ulubionym chłopcem do bicia lewicy, otrzymuje przydomek „człowiek z rue Transnonain".

Wielki pacyfikator

Monarchia Ludwika Filipa obserwuje z irytacją zbudowane przez Brytyjczyków gigantyczne imperium kolonialne, „nad którym nie zachodzi słońce". Francuzi z racji czterech dekad destabilizacji – od pierwszej rewolucji 1789 r. poprzez epopeję napoleońską do rewolucji lipcowej – nie mieli zbyt dużo sił do budowania własnego imperium kolonialnego. Teraz, gdy następują dosyć spokojne lata panowania Ludwika Filipa, Paryż chce wycinać własny kawałek z kolonialnego tortu. W 1830 r. Francja rozpoczyna podbój Algierii. Bezpośrednim impulsem jest to, że berberyjscy piraci paraliżują szlak na Morzu Śródziemnym. Francuska marynarka szybko radzi sobie z groźnymi, ale anachronicznymi korsarzami z Algieru. Aby utrwalić panowanie Francuzów, zapada decyzja o zdobyciu całego kraju.

Okazją do zdecydowanej akcji okazuje się bunt algierskiego możnowładcy Abd al-Kadera. Ten algierski przywódca plemienny daje się Francuzom mocno we znaki. Bugeaud podejmuje z nim walkę, którą na chwilę zawiesza tzw. traktat tafnameński. Bugeaud wraca do Francji, a w raporcie dla rządu przestrzega, że próba stworzenia na terenie Algierii kolonii, która ściągałaby kandydatów na kolonistów z całej Francji, będzie droga i niebezpieczna. Ostrzega, że Algieria

eprasa.pl 253b1c906f

może być „kosztownym prezentem", którego Francuzi za jakiś czas mogą chcieć się pozbyć. Proponuje, by podbite terytoria były patrolowane przez wojsko, ale by nie decydować się na bardzo kosztowną akcję kolonizacji Algierii przez Francuzów oraz kolonistów z Hiszpanii, Francji i Portugalii.

Rząd w Paryżu nie ma lepszego speca od Algierii, więc pomimo jego sceptycyzmu do budowania kolonii mianuje go tam w 1840 r. gubernatorem generalnym. Wszystko, co robi Bugeaud, jest zawsze rzeczowe, ale i nieznoszące sprzeciwu. Europejskim mieszkańcom Algierii wyjaśnia, że jest przeciwnikiem absolutnego podboju całego kraju, gdyż jego zdaniem ze względu na potrzeby ogromnej liczby ludzi z kontynentu i pieniędzy na ich zagospodarowanie kolonizacja będzie trudna. Ale jako wojskowy podkreśla, że niezależnie od swoich wątpliwości wypełni należycie wszystkie rozkazy. Przestrzega swoich oficerów, by nie ulegali złudzeniom. – Naszym celem nie może być odganianie Arabów, bo to nic nie da. Musimy ich ujarzmić i zmiażdżyć – mówi Bugeaud.

Ma do dyspozycji 100 tys. żołnierzy i zdolnych generałów. Przydają się doświadczenia marszałka walczącego z partyzantami podczas wojny w Hiszpanii. Marszałek wprowadza wiele udoskonaleń. Odciąża ekwipunek żołnierzy, zastępuje wozy z zaopatrzeniem zwierzętami jucznymi. Bardzo skuteczny okazuje się jego pomysł, by artylerię przenosić na grzbietach mułów. Wprowadza też bezwzględną taktykę spalonej ziemi. Stara się, by oddziały algierskich powstańców otaczała próżnia. Podpala wioski, przegania stada i dba o niszczenie zbiorów. Jak szczerze wyznaje oficerom: – Naszym celem nie jest bieganie za Arabami. Musimy skupić się na tym, by uniemożliwić Arabom sianie, zbieranie plonów i wypas stad. Co roku będziemy palić ich plony i z czasem wytępimy ich do końca.

Bardzo szybko do Francji docierają informacje o taktyce Bugeauda, który wykurza insurgentów z górskich jaskiń, podpalając je i czekając, aż podduszeni dymem Algierczycy będą musieli się poddać. Swoich oficerów instruuje: „Jeśli ci dranie wycofywać się będą do swoich jaskiń, to podpalajmy ich wyjścia, tak jak zwalcza się lisy w norach".
W Izbie Parów atakowany jest za swoją bezwzględność. Marszałek odpowiada adwersarzom: „Chcecie poszanowania zasad humanitarnych? Dobrze, ale wiedzcie, że wtedy wojna w Afryce może się przedłużać w nieskończoność".

W 1843 r. w uznaniu zasług dla Francji otrzymuje Krzyż Wielki Legii Honorowej. W tymże roku dokonuje ataku na Maroko, które czynnie pomaga algierskim powstańcom. W końcu udaje mu się przymusić władców marokańskich do wstrzymania pomocy dla lidera powstania Abd al-Kadera. Pozbawiony pomocy z zewnątrz Abd al-Kader zostaje zmuszony do kapitulacji w 1847 r. Bugeaud zaczyna koordynować akcję wojska z kolonizacją. „W Afryce armia jest wszystkim, to ona zniszczyła Algierię i to ona sama może ją odbudować".

Oprócz taktyki pejcza jest także i marchewka. Marszałek dba, aby utrzymano i rozbudowywano tradycyjne organy lokalnej władzy z udziałem Arabów, oczywiście tych lojalnych wobec Francji. W końcu premier Guizod, który nie przepadał za służbistą Bugeaudem, dopina swego. We wrześniu 1947 r. gubernator Algierii zostaje zastąpiony przez wysłannika z Paryża. Książę Aumare trafia na całkowicie podbity kraj. Sam Bugeaud nie rozdziera szat nad swoją dymisją. Uważa, że spełnił swój obowiązek i żadnej innej metody na wyniszczenie partyzantki beduińskiej nie widział. Gdy w lutym 1848 r. wybucha w Paryżu kolejna rewolucja, tzw. lutowa, liberalni powstańcy domagają się dymisji Bugeauda. To już jednak schyłek kariery byłego gubernatora Algierii. 10 czerwca 1849 r. wybitny dowódca umiera na cholerę.



Mapa Algierii z 1877 r. FOT. WIKIPEDIA

Na cenzurowanym

Przez całą epokę Napoleona III, a potem III Republiki Francja była dumna ze swojego dowódcy. Jego nazwiskiem uhonorowano wiele ulic w miastach francuskich, a w Algierze postawiono nawet jego pomnik. Ta tendencja zaczyna się odwracać od końca XX w., kiedy do głosu dochodzą przedstawiciele algierskich imigrantów. To oni wypisują na tabliczkach z nazwami ulic ku czci Bugeauda jaskrawe napisy: oprawca, morderca. Do symbolicznej zmiany dochodzi w Marsylii, gdzie miejscowe koszary, które uczczono nazwiskiem marszałka, zmieniły swoją nazwę na rzecz kapelana Ahmeda Litima, algierskiego strzelca, który zginął podczas walk w Marsylii w sierpniu 1944 r. Ale jednocześnie w szkole wojskowej w Saint-Cyr jeszcze w latach 1958–1960 kolejną promocję oficerską uczczono nazwą „Maréchal-Bugeaud". Pomnik byłego gubernatora Algieru wywieziono z miasta po odzyskaniu niepodległości przez Algierię w 1962 r. i zamontowano w jego rodzinnej wiosce Exideuil.

Dziś brutalna taktyka marszałka przedstawiana jest jako przykład zezwierzęcenia kolonializmu. Ale znajdują się i tacy obrońcy marszałka, którzy wskazują, że bez drastycznych działań marszałka wojna z Beduinami ciągnęłaby się całe długie dekady. Pacyfikacja Algieru uspokoiła sytuację dokładnie na 100 lat. Od 1956 r. antyfrancuska rewolta na nowo ulega zaognieniu. W 1962 r. Francuzi ostatecznie opuszczają ziemię podbitą przez marszałka, którego nazwiskiem algierskie matki straszyły swoje dzieci.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 253b1c906f



Serial HBO / Wojna Jom Kippur na ekranie

„Dolina Łez", czyli ośmiu pancernych i jeż

KADR Z SERIALU „VALLEY OF TEARS". FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Jakub Ostromęcki

Przebieg tej wojny przypominał pojedynek MMA. Oto sprowadzony do parteru i okładany pięściami zawodnik nagle przechodzi do kontrataku i, choć okrwawiony, zdobywa mistrzowski pas

Z punktu widzenia kina wybór zmagań z 1973 r. jako tła historycznego to strzał w dziesiątkę. Publiczność kocha takie widowiska. Dodajmy jeszcze, że w co drugim izraelskim domu ktoś ma krewnego czy znajomego będącego weteranem zmagań na Wzgórzach Golan lub na Synaju. Po 60 latach Izraelczycy odpowiedzieli na PRL-owskich „Czterech pancernych i psa". Serial z 2020 r. rozgrywa się w czasie pierwszych dni wojny Jom Kippur toczonej w roku 1973. Jednym z jego głównych wątków jest epopeja przetrzebionego plutonu czołgów Shot (czyli przerobionych brytyjskich centurionów) – stąd w tytule artykułu pancernych jest ośmiu, a nie czterech. O jeżu później.

„Jesteśmy imperium!", „Arabska dzicz nigdy więcej nam nie zagrozi!" – mawiano w Tel Awiwie i Jerozolimie po sukcesie roku 1967. Wielkie było zatem zdziwienie, gdy 6 października 1973 r. Egipcjanie sprawnie przeszli przez Kanał Sueski. Następnego dnia brygada pancerna Barak, choć walczyła heroicznie, została zmiażdżona na Wzgórzach Golan przez masy syryjskich czołgów, a izraelskie samoloty szturmowe jeden po drugim zestrzeliwane były przez sowieckiej produkcji SAM-y.

Czarne pantery

Autorzy scenariusza mają poglądy polityczne wyraziste jak fryzura Ben Guriona. Tezy wypowiadane przez niektórych bohaterów serialu kończą z reguły wszelkie dyskusje, zostawiając interlokutorów rozłożonych na łopatki, zakłopotanych swoją ignorancją.

Wśród pierwszoplanowych postaci mamy trzech spauperyzowanych Mizrachijczyków, czyli potomków Żydów przybyłych do Izraela z krajów arabskich. Pochodzący z Europy aszkenazyjczycy – twórcy izraelskiej niepodległości – traktowali ich w pierwszych dziesięcioleciach istnienia państwa jako obywateli drugiej kategorii, sprowadzając do roli klasy robotniczej i przesiedlając do blokowisk na peryferiach. Pewna część aszkenazyjskich elit nazywała ich „prymitywami", „pół-Arabami", „dzikusami" czy nawet – jak zrobił to pewien znany dziennikarz lewicowego, o zgrozo!, „Haaretz" – „oszalałymi pawianami".

Serialowi czołgiści Marco, Malachi i Alush to bojówkarze Czarnych Panter, czyli komunizującego, najbardziej

eprasa.pl 253b1c906f

radykalnego ze wszystkich ugrupowań Mizrachijczyków, zapatrzonego w ruch amerykańskich Murzynów o tej samej nazwie. Żołnierze ci prezentują rany i sińce zadane policyjnymi pałkami, opowiadają, jak zmuszeni byli kraść mleko, by ich dzieci mogły przeżyć, lub świeczki, by móc zorganizować Chanukę. Złorzeczą premier Goldzie Meir za to, że nazwała ich „nieprzyjemnymi ludźmi". Aszkenazyjczykom wymyślają od „panów" lub „białasów". Jakże wymowna jest scena, w której dowódca plutonu i jego zastępca, obaj zamożni kibucnicy (jeden z nich mający nawet przodków w Polsce), muszą przerwać snucie planów podróży po Europie i z nieskrywaną irytacją wysłuchać żalów Marco! Scenarzyści przypisali w ten sposób Czarnym Panterom główną rolę w reprezentowaniu interesów Mizrachijczyków. To nieporozumienie. Ruch ten miał wśród owej społeczności poparcie nikłe. Balansował na krawędzi i tak bardzo nisko ustawionego progu wyborczego, a bez wsparcia studentów aktywistów ich manifestacje nie miałyby dużego odzewu. Statystyczny Mizrachijczyk nie szukał jednak oparcia w skrajnej lewicy. O ile w latach 60. głosował na Partię Pracy – tę samą, która starała się go po europejsku asymilować, ze wszystkimi tego zaletami i wadami – o tyle już cztery lata po wojnie Jom Kippur poparł prawicowy Likud lub stojące jeszcze bardziej na prawo ugrupowania religijne.

Prawdziwy Malachi rzeczywiście mógłby być bywalcem jerozolimskiego MOPS-u, ale nawet jemu w Izraelu nie groził głód. Filmowy wątek kradzionego mleka odnosi się do akcji Czarnych Panter, których działacze pewnego dnia skradli pewną liczbę butelek sprzed jerozolimskich willi, zostawiając wymowne liściki: „Wasze koty i psy nie muszą dziś pić mleka. Nasze dzieci tak". Mleko to następnie rozdali biedocie. Ostatecznie jednak ruch musiał za skradzione mleko zapłacić. Słynny cytat Goldy Meir też został w filmie wyrwany z kontekstu; w oryginale Lwica Judy odniosła się jedynie do demonstrantów rzucających koktajle Mołotowa, nie do całego ruchu.

To jednak nie koniec zawoalowanej promocji ideologii w filmie. Jedną z ciekawszych, bardziej złożonych postaci serialu jest Meni Ben Dror. Dziennikarz, celebryta, sybaryta i – jak sam o sobie mawia – socjalista. Jest to lewicowiec starej daty, który wrażliwość społeczną



łączy z wyrafinowanym kosztowaniem grzechu. Ma tak liczne grono fanek, że zmuszony jest dogadzać im w parach. Oprócz tego jest weteranem trzech poprzednich wojen. Ostatnią zakończył jako dowódca czołgu, tak więc fabuła popchnie go ku Wzgórzom Golan do tego samego plutonu, który widzimy na początku serialu. „Byłeś plemnikiem, gdy pomykałem shermanem po pustyni" – zwykł mawiać do żołnierzy będących w wieku jego syna, sam nazywając się jednak pacyfistą. I on podobnie jak radykał Malachi bezlitośnie puentuje swoich rodaków – militarystów. Porucznik Dafna spuszcza wzrok po tym, jak Ben Dror wykazuje jej, że to sami Izraelici, nie Arabowie ponoszą winę za wojnę.

Cytuje przy tym Mosze Dajana, który miał rzec: „Lepszy Synaj bez pokoju niż pokój bez Synaju". I tutaj scenarzyści chybili, ponieważ to właśnie Mosze Dajan zaproponował Egipcjanom wycofanie się armii izraelskiej na pewną odległość od Kanału Sueskiego. Pomysł upadł – Sadat chciał odzyskać cały Synaj, Golda Meir nie chciała zrezygnować z łupu, który niczym wielki bufor oddzielał Izrael od egipskiego przeciwnika. Arabskie upokorzenie z 1967 r. mogła zmazać jedynie wygrana wojna z Żydami. Starcie było nieuniknione.

Gdy Syryjczycy przerywają front, por. Dafna wraz z resztą kobiet musi opuścić centrum dowodzenia w Nafekh. „Wiesz, co Arabowie robią ze schwytanymi kobietami" – mówi jej dowódca (i do tego były narzeczony). Dafna nie polemizuje – przed oczami przetaczają się jej wizje obleśnych, dyszących prymitywną żądzą Syryjczyków. W rzeczywistości ewakuacje te były po części dmuchaniem na zimne. Jak przekonuje Lilah Rosenberg-Frideman w artykule „Captivity and Gender: The Experience of Female Prisoners of War During Israel's War of Independence", izraelskie kobiety wzięte do arabskiej niewoli w zdecydowanej większości unikały gwałtu. Owszem, słyszały często takie groźby z ust złorzeczącego arabskiego tłumu lub przypadkowych żołnierzy, ale dopóki pozostawały pod eskortą, dopóty były względnie bezpieczne. Badaczka cytuje wspomnienia Izraelek, które relacjonowały, jak brali je w obronę syryjscy lub egipscy oficerowie lub przydzieleni do ich pilnowania szeregowcy. A mówimy wszak o wojnie z lat 1948–1949, która charakteryzowała się największą erupcją etnicznej nienawiści – i to po obu stronach – ze wszystkich wojen izraelsko-arabskich.

Dużo gorszy los zgotowano jednak w wojnie Jom Kippur jeńcom mężczyznom – i tu film nie przesadza. Syryjczycy straszą schwytanych Izraelczyków „prętem", czyli bliskowschodnim odpowiednikiem sienkiewiczowskiego „palika". Na pogróżkach kończą, ale za to serwują bicie pięściami i rażenie prądem. Takie same tortury pojawiają się bardzo często w relacjach izraelskich jeńców, którzy przetrwali arabską niewolę. Wachlarz cierpienia zgotowanego jeńcom był jeszcze szerszy niż ukazany w filmie, bo obejmował też bicie kijem po stopach, wbijanie noża w kark czy zrywanie paznokci. Tortury te miały na celu uzyskanie informacji wywiadowczych.

Bitwa o Hermon

Góra Hermon to najwyższe wzniesienie Izraela. W 1973 r. na jednym z wierzchołków masywu stacjonowała jednostka odpowiedzialna za nasłuch, wywiad i obserwację przeciwnika. Na filmowym Hermonie służy kpr. Avinoam z wywiadu wojskowego, jedna z barwniejszych postaci serialu. Zna biegle arabski, prowadzi więc nasłuch syryjskich komunikatów wojskowych i prywatnych rozmów. W żadnym wypadku wojownik, raczej neurotyczny, choć pozytywny ekscentryk i intelektualista, skrywający do tego jakąś tajemnicę obyczajową. Jego najbliższym przyjacielem jest jeż albinos. Avinoam nie rozstaje się z nim nawet w najbardziej niebezpiecznych sytuacjach.

Losy wywiadowcy i jego jeża splotą się z wkrótce ze wspomnianymi

eprasa.pl 253b1c906f



Upamiętnienie walk na wzgórzach Golan

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

wyżej pancernymi. Avinoam bije na alarm, ostrzega, że Syryjczycy wnet zaatakują, ale w bazie wszyscy mają go za rozdygotanego panikarza i natręta. Wywiadowca ma oczywiście rację, ale jest już za późno na ewakuację bazy – już wali w nią syryjska artyleria, już słychać nadlatujące helikoptery.

Pora wyjaśnić zatem, w jakim stopniu Izraelczycy byli zaskoczeni arabskim atakiem. Na górze Hermon zaskoczenie było faktycznie duże – mało kto spodziewał się, że leżący na uboczu kraju posterunek będzie dla Syryjczyków na tyle istotny, by go szturmować. Inaczej sprawa się miała na Synaju i Wzgórzach Golan, gdzie stan permanentnego napięcia trwał od wojny sześciodniowej. Do sytuacji tej Izraelczycy byli przyzwyczajeni, podobnie jak do ogłaszanych przez Egipcjan i Syryjczyków kolejnych mobilizacji. Jednostki armii regularnej stały w pełnej gotowości – nie można ich żołnierzom zarzucić bagatelizowania zagrożenia.

Takich Avinoamów w Izraelskiej armii było wielu – jednym z nich był ojciec jednego ze scenarzystów. Ich meldunki nie utkwiły wcale na najniższych szczeblach dowodzenia. Weźmy wyjazd rodzin sowieckich doradców, który tak zaniepokoił Avinoama. O tym fakcie wiedzieli w Izraelu wszyscy zainteresowani na kilka dni przed wojną – zinterpretowali go jednak tak: Sowieci wyjeżdżają, bo albo pokłócili się z Arabami, albo chcą w ten sposób odwieść Arabów od wojny. W żadnym wypadku nie oznacza to ataku. Była to oczywiście nieprawda. Izraelczycy otrzeźwieli 6 października na kilka godzin przed arabskim atakiem. Mosze Dajan, bojąc się reakcji międzynarodowej, nie chciał jednak kolejnego ataku wyprzedzającego. Stwierdził, że Izrael da sobie radę jednostkami regularnymi wspartymi częściową mobilizacją. Zaskoczenie było zatem większe w gabinetach i sztabach niż w polu.

Scenarzyści, tworząc własną historię bitwy o Hermon, nie chcieli zapewne jątrzyć ran izraelskiego społeczeństwa, ukryli więc pewien fakt. Wywiadowcy, personel radaru, technicy nie zostali wcale wysłani przez dowódcę obrony bazy w głąb bunkra, aby czekali na rozstrzygnięcie boju. Załamani psychicznie wycofali się tam na własną rękę. Piechota wielokrotnie wzywała ich na pomoc – bez skutku. Samotna, wstrząsająca peregrynacja Avinoama i porucznika Yoava Mazoza wynika z kolei z logiki fabuły – w rzeczywistości z posterunku na Hermonie uratowało się nie dwóch, a jedenastu żołnierzy i dość szybko natknęli się oni na izraelski patrol pancerny.

Shot vs. T-55

Gra komputerowa tudzież symulator czołgu pozwala tak ustawić realia, aby walka stała się łatwa dla adepta wojsk pancernych. W takim wirtualnym świecie, siedząc w wieży czołgu, rozkoszujemy się kolejnymi zniszczonymi maszynami przeciwnika, sami pozostając bezpieczni. Pierwsze sceny batalistyczne serialu, rozgrywające się na Wzgórzach Golan, zbudowano na bazie podobnego scenariusza. Obrazy te, jakkolwiek podejrzanie wyglądają, są jednak bardzo bliskie prawdzie. Na jeden zniszczony Shot w październiku 1973 r. przypadało faktycznie kilka, czasem kilkanaście T-55.

Na izraelską przewagę składało się wiele czynników: przemyślnie skonstruowane i rozmieszczone rampy ziemne skrywające sylwetki izraelskich czołgów, wyszkolenie strzeleckie, zgranie załóg, tempo obsługi przyrządów i układów maszyny, kąty podniesienia lufy shota, jakby specjalnie przystosowanej do strzelania z dołów, rowów, zza wałów. I pamięć o odwodach, choćby złożonych z jednego czołgu, aby móc elastycznie reagować na ruch przeciwnika. Scenarzyści rzetelnie potraktowali ten element wojny.

W filmie zadbano także o pokazanie mocnych stron Syryjczyków. Mamy więc piechotę wyposażoną w granatniki przeciwpancerne podkradającą się do pozycji izraelskich oraz potęgę ognia przeciwlotniczego. Jedyny występujący w filmie samolot izraelski zostaje zestrzelony przez syryjską rakietę ziemia-powietrze. Na marginesie – zestrzelony pilot nosi imię i nazwisko bardzo podobne do największego asa powietrznego izraelskiego lotnictwa – Giory Epsteina.

Wymagania fabuły kazały reżyserowi zbudować jakiś azyl, centrum dowodzenia i zarazem szpital polowy, gdzie będą splatać się losy bohaterów, gdzie nie sięgnie żaden syryjski pocisk. Miejscem tym stał się Nafekh, leżący w samym środku płaskowyżu otaczającego Wzgórza Golan. Jednak w czasie prawdziwej wojny baza ta stała się epicentrum wielkiej bitwy pancernej. „Pod Nafekh czołgi stały chyba z 10 metrów od siebie i waliły do siebie nawzajem. Przypomniał mi się wtedy opis bitwy pod Kurskiem – tylko że teraz byłem tam osobiście" – wspominał Alex Dancyg, izraelski spadochroniarz polskiego pochodzenia.

Filmy wojenne i fantastyczno-naukowe mają pewną wspólną cechę. Gdzieś w kulminacyjnym momencie, gdy bohaterowie starają się wyjść z matni, przychodzi czas na wykład. W filmach science fiction jeden z bohaterów za pomocą kartki i ołówka objaśnia reszcie załogi, zupełnie nieświadomej, a złożonej przecież z naukowców, czym jest zaginanie czasoprzestrzeni. W „Dolinie Łez" takim wykładowcą staje się kapral Melachi. Doświadczonym czołgistom tłumaczy podniecony, dlaczego dowódca czołgu powinien wychylać się z wieży i dlaczego warto wjeżdżać między syryjskie szyki, prowadząc ogień z bliska. Wzmocniona tą wiedzą załoga rusza do dalszej walki. Przemowy takie, i to z ust kaprala, w rzeczywistości byłyby kompletnym absurdem, manewry przećwiczono bowiem już dawno. Sceny takie służą widowni, dla której zagadnienia batalistyczne są przecież całkowicie obce.

Niech widzów nie zdziwi pokazane w filmie specyficzne podejście izraelskich żołnierzy do kwestii formalnych. Do oficerów mówi się tu po imieniu i nazwisku, wszyscy noszą rozchełstane bluzy mundurowe, a beret chowają pod pagonem. Widać gęste długie brody, czupryny daleko wychodzące spod hełmów czy modne dyskotekowe baczki. Tak w istocie wygląda izraelska armia – sąsiad wspiera tu sąsiada lub współtowarzysza z kibucu. W taki sposób dyscyplina formalna ustępuje merytorycznej.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 253b1c906f



eprasa.pl 253b1c906f

Wywiad / Z ks. dr. Javierem Oliverą Ravasim, autorem książki „La Contrarrevolución Cristera”



Cristeros – Chrystusowscy, katoliccy rebelianci
FOT. DOMENA PUBLICZNA

rozmawia Piotr Włoczyk

Meksyk krwawego ateizmu

PIOTR WŁOCZYK: W 2016 r. papież Franciszek kanonizował 14-letniego José Sancheza del Rio. Co takiego zrobił ten chłopiec, że Kościół uznał go za świętego?

KS. JAVIER OLIVERA RAVASI: Święty José Sanchez del Rio to jeden z największych meksykańskich męczenników. Ten chłopiec był jednym z Cristeros („Chrystusowców”), czyli katolików, którzy w latach 1926–1929 walczyli o wolność z ateistycznymi władzami Meksyku. W 1928 r. podczas potyczki z wojskami federalnymi jeden z generałów Cristeros stracił konia. José, który był chorążym, oddał generałowi własnego konia, po czym sam wpadł w ręce wroga. Był torturowany, żołnierze zdarli mu skórę ze stóp, a następnie zmusili do przejścia

– Brutalne mordy miały zastraszyć wiernych i zmusić ich do odcięcia się od Cristeros – powstańców walczących o Kościół. Skrajnie lewicowe władze dbały o to, by te okrucieństwa były odpowiednio nagłaśniane w meksykańskiej prasie – mówi ks. dr Javier Olivera Ravasi

eprasa.pl 253b1c906f

na cmentarz, gdzie miała się odbyć jego egzekucja. José stanął nad wykopanym dla siebie grobem… Chłopak został następnie dźgnięty nożem. Zdążył jeszcze krzyknąć: „Viva Cristo Rey!" („Niech żyje Chrystus Król!"), po czym został zastrzelony.

Nie musiało jednak do tego dojść. Wojskowi, którzy go zabili, dali mu wybór.

José Sanchez del Rio mógł uratować swoje życie, gdyby wyparł się wiary. Wystarczyło, że dokonałby apostazji. Chłopak jednak do końca był wierny Chrystusowi, więc decyzja papieża Franciszka była tylko potwierdzeniem tego, co cały Meksyk wiedział od wielu dekad.

Nie ma wprawdzie zdjęć z egzekucji José Sancheza del Rio, ale w Internecie pełno jest fotografii przedstawiających makabryczne sceny z okresu Cristiady. Jednym z najbardziej wstrząsających jest zdjęcie pokazujące słupy telegraficzne wzdłuż torów kolejowych, na których powieszono powstańców.

Tak brutalne mordy miały zastraszyć wiernych i zmusić ich do odcięcia się od powstańców walczących o Kościół. Skrajnie lewicowe władze dbały o to, by te okrucieństwa były odpowiednio nagłaśniane w meksykańskiej prasie. Nie brakuje też zdjęć przedstawiających ostatnie chwile prześladowanych katolików. Tak było np. z egzekucją jezuity o. Miguela Agustína Pro, rozstrzelanego w 1927 r. za udział w akcji charytatywnej na rzecz powstańców. Ojciec Pro został fałszywie oskarżony o przygotowywanie zamachu. Przed śmiercią – jak miało to miejsce wielokrotnie w przypadku mordowanych meksykańskich katolików – o. Pro głośno wybaczył swoim oprawcom mierzącym do niego z karabinów.

Niemal równolegle Związek Sowiecki toczył swoją bezwzględną walkę z religią. Tyle tylko że państwo bolszewickie nie nagłaśniało swoich zbrodni na duchownych i wiernych.

Meksykański rząd nie robił jednak takich wizerunkowych kalkulacji. Prezydent Plutarco Elías Calles stwierdził, że publiczne obnoszenie się z brutalnością wobec katolików sprawi, iż porzucą oni Kościół i ugną się przed ateistycznym państwem.

Jaki był efekt takiej polityki?

Skutek był oczywiście zupełnie przeciwny do zamierzonego. Meksykańscy katolicy jeszcze bardziej zwarli szeregi i z tym większą determinacją stawiali opór ateistycznym władzom centralnym.



RYS. JACEK GRAMBURG

Na wstępie musimy wyjaśnić kluczową rzecz – jak to się stało, że w tak katolickim kraju do władzy doszli ludzie, którzy chcieli kompletnie zniszczyć Kościół?

System wyborczy w Meksyku był bardzo skomplikowany, wielu ludzi było pozbawionych prawa do głosowania, a nade wszystko wyniki wyborów były fałszowane. Zdecydowana większość przywódców Meksyku kompletnie nie reprezentowała ludności pod względem wiary.

Tak naprawdę antyreligijna polityka władz centralnych Meksyku nie zaczęła się w 1926 r. Już w XIX w. kolejne rządy, poczynając od prezydenta Benita Juáreza, wprowadzały przepisy ograniczające prawa Kościoła i wiernych. W okresie długich rządów Porfirio Díaza (1876–1880 i 1884–1910), mimo że był on masonem, Kościół i wierni mogli nieco odetchnąć, ponieważ antykatolicka polityka zelżała. W 1910 r. wybuchła jednak tzw. rewolucja meksykańska, której jednym z celów była kompletna pacyfikacja wpływów Kościoła i odebranie praw wiernym. W 1917 r., gdy rozpoczął się przewrót bolszewicki, w Meksyku zwycięzcy rewolucjoniści uchwalili nową konstytucję. Jej zapisy były skrajnie antykatolickie: m.in. wyrugowanie edukacji katolickiej, zakaz kultu poza kościołami, nacjonalizacja majątku Kościoła, zakaz działalności kapłanów urodzonych w innych krajach. Początkowo jednak zapisy te nie były wdrażane w życie. Wszystko zmieniło się w 1926 r., gdy władzę przejął prezydent Plutarco Elías Calles (wybrany w 1924 r.).

Pod względem stosunku do religii wydaje się, że Callesa można spokojnie nazywać meksykańskim Leninem.

Bez wątpienia. Calles był prominentnym członkiem masonerii, chciał w Meksyku przeprowadzić wielki eksperyment, którego efektem miała być totalna laicyzacja kraju. Dzięki konstytucji z 1917 r. miał już narzędzia prawne, więc po prostu postanowił z nich skorzystać. W 1926 r. Calles wprowadził prawo, które wdrażało w życie antykościelne zapisy konstytucji. Do historii przeszło ono jako „prawo Callesa". Było to drakońskie uderzenie w prawa katolików.

Jak wyglądała odpowiedź meksykańskich wiernych?

Najpierw próbowali oni stworzyć presję polityczną, by zablokować te przepisy. Zbierano podpisy pod petycją do władz. W ciągu dwóch tygodni zebrano 2 mln podpisów (w Meksyku mieszkało wówczas ok. 15 mln ludzi). To jednak nie powstrzymało prezydenta. Kolejnym krokiem był bojkot. Nie kupowano produktów, których sprzedaż dawała duże dochody budżetowi. Katolicy powstrzymywali się też od jazdy koleją czy autobusami, a nawet unikali zużywania energii elektrycznej. Widomym znakiem bojkotu był czarny ubiór katolickich kobiet, które „opłakiwały" w ten sposób atak na swoją wiarę.

eprasa.pl 253b1c906f

Nic to jednak nie dało.

Władze były nieugięte. Mimo strat rząd uparcie dążył do tego, by od 1 sierpnia 1926 r. „prawo Callesa" zaczęło obowiązywać w całym kraju. Kościół uciekł się więc do drastycznego kroku. Biskupi ogłosili, że jeżeli to prawo nie zostanie powstrzymane, to w Meksyku zawieszona zostanie oficjalna działalność Kościoła. 31 lipca był więc ostatnim dniem sprawowania kultu publicznego. W ramach protestu wszystkie nabożeństwa i sakramenty udzielane były odtąd „prywatnie".

1 sierpnia 1926 r. budynki parafialne i wszelkie inne kościelne nieruchomości przeszły na własność państwa, a duchowni zostali właściwie wyjęci spod prawa. W związku z tym katolicy zaczęli sięgać po coraz ostrzejsze środki, by bronić kościołów i księży. Sytuacja coraz bardziej eskalowała, tym bardziej że siły rządowe przystąpiły do krwawych pacyfikacji. Nie było dla nich żadnych świętości. Żołdacy potrafili dokonywać masakr wewnątrz świątyń.

Początek powstania Cristeros podobny był do tego, co było widać wcześniej w czasie rewolucji francuskiej. Bliźniacze wydarzenia rozgrywały się też dekadę później w trakcie wojny domowej w Hiszpanii.

Przede wszystkim widać tu jednak olbrzymie podobieństwa do sytuacji katolików we Francji pod koniec XVIII w. Natomiast faktycznie dekadę później hiszpańscy rewolucjoniści weszli na tę samą drogę. Wspólnym mianownikiem w przypadku każdego z tych trzech krajów jest prześladowanie większości katolickiej przez skrajnie lewicowe władze.

Na początku opór zbrojny ograniczał się głównie do doraźnego przepędzania sił rządowych egzekwujących „prawo Callesa". Przywódcy katolickiego ruchu oporu z Krajowej Ligi Obrony Wolności Religijnej szybko jednak sięgnęli po profesjonalistów, którzy stanęli na czele armii Cristeros. Szefem powstańczego sztabu został generał (w stanie spoczynku) Enrique Gorostieta.



JAVIER OLIVERA RAVASI „LA CONTRAREVOLUCION CRISTERA"
EDICIONES KATEJON

W głośnym filmie „Cristiada" gen. Gorostietę gra Andy García. Przedstawiony jest on tam jako ateista, który dołącza do katolickiej rebelii z powodu chęci obrony wolności obywatelskich, ale przede wszystkim robi to dla żony, która jest gorliwą katoliczką.

Tak się zwykło przedstawiać gen. Gorostietę, ale w rzeczywistości był on katolikiem. W młodości flirtował wprawdzie z masonerią, nie praktykował wiary, ale jednak wraz z upływem lat to się zmieniło. Nie mogę za bardzo winić twórców tego filmu – miał on premierę w 2012 r. – ponieważ dopiero cztery lata temu światło dzienne ujrzały listy gen. Gorostiety do jego żony. To wzruszająca lektura. Pokazują one, że już gdy obejmował dowództwo nad armią Cristeros, był człowiekiem wierzącym.

Co zmieniło pojawienie się profesjonalnego dowództwa wojskowego po stronie katolickich powstańców?

To była zupełnie nowa jakość. Cristeros zaczęli wygrywać bitwę za bitwą. Rząd szybko zauważył tę zmianę, bo zaczął przegrywać na wszystkich frontach.

Jakiego wsparcia udzielali Cristeros biskupi meksykańscy i Watykan?

Biskupi meksykańscy byli w tej sprawie podzieleni. Niektórzy otwarcie popierali wojnę z rządem, inni uważali, że sięgnięcie po broń jest błędem. Najważniejsze jednak, że zbrojny opór popierał papież Pius XI. Nie wyraził tego wprawdzie w sposób bezpośredni, ponieważ musiał się tu zachować trochę jak polityk, ale nikt nie miał wątpliwości, że papież sprzyja powstańcom. Kilkakrotnie napisał w sposób „okrągły" w kontekście wydarzeń w Meksyku, że opór zbrojny jest w niektórych sytuacjach legalny, a w innych jest wręcz obowiązkiem.

Cristiada to również historia oporu kobiet.

Truizmem jest stwierdzenie, że kobiety odgrywają w wojnach dużą rolę. W powstaniu Cristeros ich rola była jednak wyjątkowa. 25 tys. kobiet zaangażowało się w działalność tajnej organizacji Brigadas Femeninas de Santa Juana de Arco (hiszp. Brygady Żeńskie Świętej Joanny d'Arc). Nie tylko zapewniały one opiekę medyczną i pożywienie, dostarczały informacji o wrogich wojskach, lecz także pełniły funkcję łączniczek między oddziałami oraz przemycały amunicję i broń, a nawet walczyły z bronią w ręku! Narażały się w ten sposób na tortury i śmierć. Wojska rządowe znane były z tego, że sprzyjające powstańcom kobiety masowo gwałcili. Nie oszczędzali przy tym nawet zakonnic, co dekadę później zostało powtórzone przez hiszpańskich rewolucjonistów. W szerokim gronie męczenników wywodzących się z szeregów Cristeros nie brakowało kobiet.

Ilu księży chwyciło wówczas za broń?

Wiadomo o pięciu duchownych, którzy tak zrobili.

Wśród nich był José Reyes Vega, który kierował dużym oddziałem. W kwietniu 1927 r. jego ludzie napadli na pociąg przewożący rządową gotówkę. W strzelaninie zginął brat ks. Vegi, co miało tragiczny skutek dla pasażerów pociągu. Wściekły ks. Vega rozkazał bowiem podpalić skład. W wyniku tej zbrodni zginęło kilkadziesiąt osób. Trudno było chyba o lepszy prezent dla propagandy Callesa?

Niestety tak właśnie było. Od razu trzeba podkreślić jedną rzecz: to było powsta-



Rewolwer Colt 1873 w skórzanej, ozdobnej kaburze FOT. ETSY.COM

eprasa.pl 253b1c906f



Cristeros powieszeni na słupach telegraficznych przez wojska rządowe FOT. DOMENA PUBLICZNA

nie katolików, a nie świętych. Po stronie armii rebeliantów zdarzały się niestety zbrodnie. Były one jednak wyjątkami i nie można na ich podstawie wysnuwać wniosków odnośnie do całości sił powstańczych. W ich szeregach zbrodnie były marginesem, natomiast w armii rządowej terror i mordy były głównym elementem strategii zwalczania katolików. To jest kluczowa różnica.

Spalenie pociągu wraz ze znajdującymi się w środku ludźmi jest faktem, nie sposób tego negować. Rząd federalny robił wszystko, by przez pryzmat tego barbarzyńskiego wydarzenia postrzegani byli wszyscy Cristeros. Do dziś wrogowie Kościoła w Meksyku, którzy nie znają dobrze historii tego konfliktu, pokazują zbrodnię Vegi jako coś reprezentatywnego dla całego ruchu Cristeros.

Jak duża była armia Cristeros?

Siły powstańcze były rozproszone, w znacznej mierze były to oddziały partyzanckie, trudno więc tu podać konkretną liczbę. Nieco łatwiej przychodzi nam oszacowanie liczby ofiar tego konfliktu.

Najniższe szacunki mówią o 90 tys. zabitych.

Z kolei górna granica tych szacunków to 250 tys. i wszystko wskazuje na to, że właśnie ta liczba jest bliższa prawdzie. Co ciekawe, zdecydowana większość tych ofiar to siły rządowe.

To chyba spore zaskoczenie dla ludzi, którzy nie rozumieją specyfiki tamtego konfliktu.

Cristeros byli zdeterminowanymi bojownikami i byli lepiej dowodzeni od tzw. federales. Z armii federalnej nieustannie uciekały tysiące dezerterów, którzy zasilali szeregi Cristeros. To była wojna, której rząd nie mógł wygrać, ponieważ ludność cywilna na prowincji w ogromnej mierze popierała powstańców.

Koniec Cristiady wygląda pozornie na kompromis. Jak ten układ został przyjęty przez zwykłych Cristeros?

Po trzech latach doszło do kompromisu pomiędzy państwem a Kościołem. Jego postanowienia były bardzo krytykowane przez Cristeros. Do porozumienia w tej formie dążył ambasador USA w Meksyku. Amerykanie mieli swoje interesy z Callesem i robili wszystko, by strona rządowa wyszła na tym układzie jak najlepiej. Z drugiej strony hierarchia kościelna chciała jak najszybciej zakończyć rozlew krwi i przywrócić w miarę normalne życie religijne. 21 czerwca 1929 r. zostały podpisane tzw. arreglos, czyli „układy". Stwierdzały one, że „prawo Callesa" pozostanie w mocy.

To brzmi jak ponury żart.

Dlatego nie powinniśmy się dziwić, że wielu Cristeros odbierało to jako zdradę. Rząd obiecał jednak wspaniałomyślnie, że prawo to pozostanie w mocy jedynie na papierze – władze federalne nie będą wprowadzały go w życie. Cristeros mieli w związku z tym złożyć broń. Państwo obiecało, że nie będą oni prześladowani.

Jak wyglądała rzeczywistość?

Ponieważ Kościół zagroził Cristeros ekskomuniką w przypadku kontynuowania dalszego zbrojnego oporu, ci złożyli broń. I o ile faktycznie rząd nie realizował w praktyce „prawa Callesa", o tyle jednak Cristeros byli później prześladowani. Przede wszystkim dotyczyło to przywódców ruchu. Ci ludzie byli prześladowani przez kolejne 30 lat! Wielu z nich wysłano do więzienia na wyspach Marias, leżących 100 km od wybrzeża stanu Nayarit. Warunki panujące w tym zakładzie przypominały sowiecki łagier. W kolejnych latach zamordowano setki ludzi z kierownictwa ruchu Cristeros i tysiące szeregowych byłych powstańców. Ponieważ prześladowania były rozciągnięte w czasie na trzy dekady, wielu byłych Cristeros zapamiętało ten czas jako bardziej krwawy i nieznośny od samego powstania.

Z perspektywy katolików twórcy filmu „Cristiada" bez wątpienia zrobili kawał dobrej roboty. To w końcu całkiem sprawnie opowiedziana historia dramatu meksykańskich katolików.

Ten film szczególnie potrzebny był Meksykanom.

Dlaczego? W Meksyku przecież ta historia musiała być doskonale znana.

Nic z tych rzeczy. Po niesławnych „arreglos" w Meksyku zapanowała w tej sprawie zmowa milczenia między państwem i Kościołem. Obie strony umówiły się, by nie wracać do tego tematu. Trwało to pół wieku. Tłumaczono to chęcią zabliźnienia ran, ponieważ – jakkolwiek na to patrzeć – była to wojna domowa, nierzadko pomiędzy braćmi. Archiwa dotyczące Cristiady były w związku z tym zamknięte i temat ten nie był badany profesjonalnie przez historyków. I dlatego kolejne pokolenia Meksykanów wiedziały na ten temat bardzo niewiele. Film „Cristiada" był bardzo potrzebny Meksykanom, niestety był on pokazywany w tamtejszych kinach zaledwie przez dwa tygodnie.

Jak to możliwe?

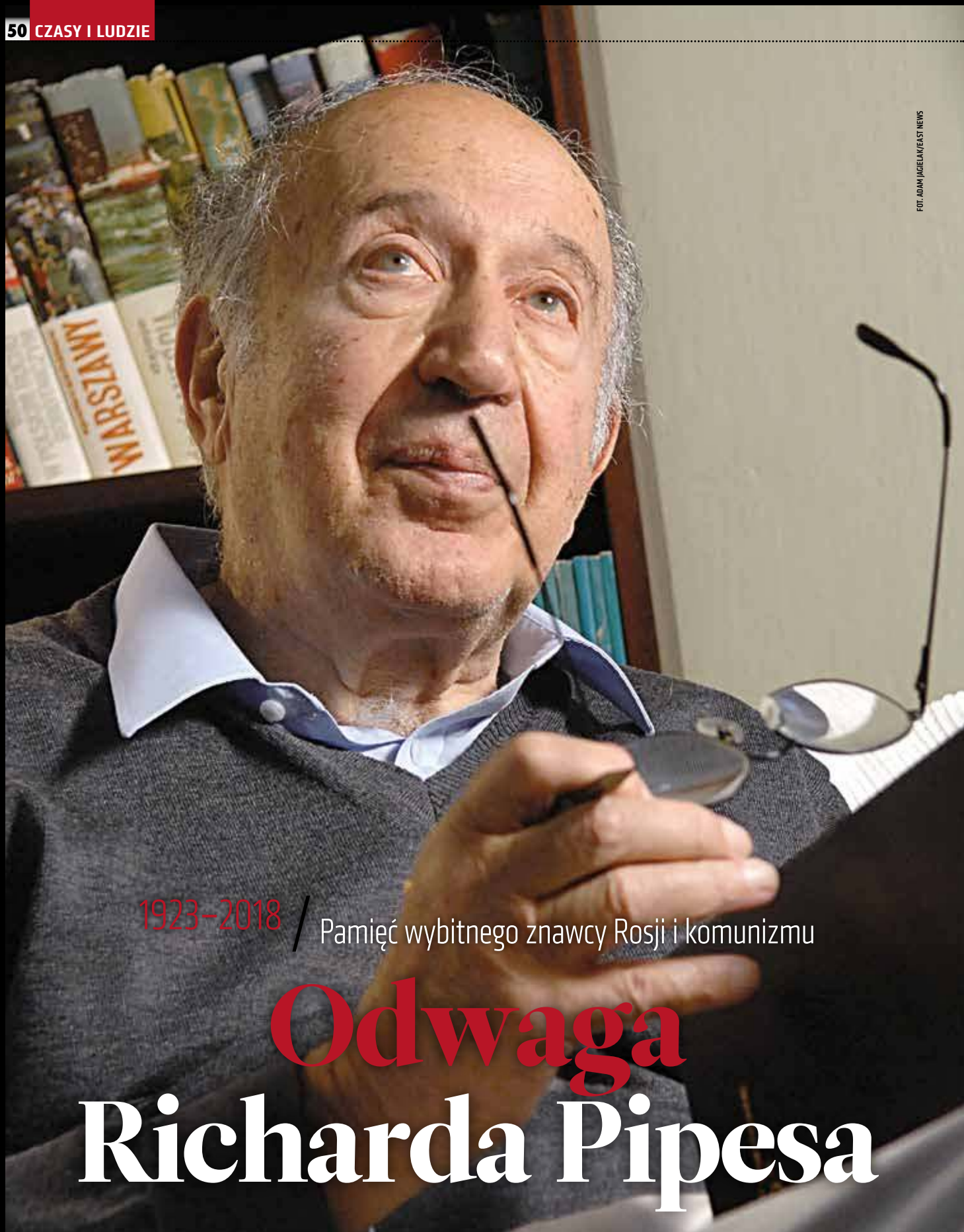
Rząd federalny naciskał na dystrybutorów, by jak najszybciej zakończyli jego promocję. Jak powszechnie wiadomo, meksykańska demokracja jest wciąż mocno niestabilna, dochodzi tam więc do takich nadużyć władzy. Film ten, mimo że twórcy nie ustrzegli się pewnych błędów, zrobił jednak bardzo wiele dobrego dla nagłośnienia heroicznej walki Meksykanów o wolność do wyznawania wiary w Jezusa Chrystusa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Ksiądz doktor Javier Olivera Ravasi jest argentyńskim kapłanem, historykiem specjalizującym się w tematyce prześladowania chrześcijan. W 2016 r. w księgarniach ukazała się jego książka pt. „La Contrarrevolución Cristera" opisująca historię powstania meksykańskich katolików w latach 1926–1929.

eprasa.pl 253b1c906f



FOT. ADAM JAGIELAK/EAST NEWS

1923–2018 / Pamięć wybitnego znawcy Rosji i komunizmu

Odwaga Richarda Pipesa

eprasa.pl 253b1c906f



Marek Gałęzowski

Jako jeden z niewielu historyków nie uległ silnej presji, by zbrodnie komunizmu potraktować wymijająco czy w jakikolwiek sposób je usprawiedliwiać...

Najważniejszym skutkiem Holokaustu w mojej psychice było przeżywanie każdego dnia życia tak, jakby zostało mi ono darowane [...]. Czułem i odczuwam to do dziś, że zostałem oszczędzony nie po to, by zmarnować życie na folgowaniu sobie lub na dążeniu do własnej wielkości, lecz po to, żebym szerzył przesłanie moralne, posługując się przykładami z historii, pokazując, jak złe idee prowadzą do złych konsekwencji. Ponieważ badacze napisali już wiele o Holocauście, pomyślałem, że moją misją jest ukazanie prawdy o tym na przykładzie komunizmu" [ten i pozostałe cytaty, o ile nie zaznaczono inaczej, za: Richard Pipes, „Żyłem. Wspomnienia niezależnego", tłum. Władysław Jeżewski, Warszawa 2008]. W ten sposób wyjaśniał źródło swojego powołania naukowego zmarły w 2018 r. amerykański historyk Richard Pipes, jeden z najwybitniejszych znawców Rosji ostatnich carów i komunizmu.

Legiony Polskie i warszawskie Łazienki Królewskie

Autor „Rewolucji rosyjskiej" nie był jednak rodowitym Amerykaninem. Urodził się w Cieszynie, w rodzinie polskich Żydów. Jego ojciec, Marek, pochodził ze Lwowa, ale młodość spędził w Wiedniu. W czasie pierwszej wojny światowej był żołnierzem Legionów, I i III Brygady, przeszedł cały szlak bitewny strzelców Józefa Piłsudskiego. Richard Pipes pisał o tym okresie życia ojca w przedmowie do książki, poświęconej Żydom – żołnierzom Legionów Polskich: „Od najmłodszych lat zdawałem sobie sprawę z tego, że ojciec spędził wojnę w Legionach, ale wiedziałem niewiele więcej, ponieważ ojciec, tak jak większość tych, którzy doświadczyli bezpośredniego udziału w walce na śmierć i życie, nigdy na ten temat nie rozmawiał. W latach trzydziestych widywałem go często w towarzystwie byłych legionistów, a jeden z nich pracował z ojcem jako wspólnik w prowadzeniu przedsiębiorstwa założonego w 1937 r. w Gdyni. Kluczową rolę w naszym życiu odegrał ambasador Polski we Włoszech, dawny legionista, gen. Bolesław Wieniawa-Długoszowski, który pomógł nam osiedlić się we Włoszech pół roku po tym, jak w październiku 1939 r. uciekliśmy z okupowanej przez Niemców Polski. Jego również znał ojciec z Legionów".

W międzywojniu Marek Pipes był przedsiębiorcą, współwłaścicielem fabryki czekolady Dea w Cieszynie, później filii wiedeńskiej fabryki czekolady Pischinger & Co. W 1929 r. przeniósł się do Warszawy, gdzie prowadził firmę importującą owoce z Hiszpanii i Portugalii. W domu Pipesów rozmawiano w języku polskim lub niemieckim, ale Marek do syna zwracał się wyłącznie po niemiecku, zatrudniał też niemieckojęzyczne nianie. Ryszard uczył się polskiego od towarzyszy dziecięcych zabaw i chociaż w Polsce spędził tylko pierwsze 16 lat, językiem polskim władał bardzo dobrze do końca życia.

W Warszawie uczęszczał do gimnazjum, gdzie uczył go znakomity polski historyk pochodzenia żydowskiego Marian Małowist, dobry duch chłopca, który jak wielu zdolnych uczniów o własnych zainteresowaniach niezbyt dobrze czuł się poddany rygorom szkolnym. Los dał im szansę spotkania po wielu latach, w 1975 r. na Uniwersytecie Harvarda, i wówczas Pipes, już sam będąc profesorem, mógł wręczyć staremu nauczycielowi zaległe sprawozdanie ze znanej książki Williama H. Prescotta „Podbój Peru". „Odpisał mi – już z Polski – że łzy popłynęły mu z oczu, kiedy pomyślał o tym, że czternastoletni chłopiec potrafił przed wojną napisać esej historyczny na dużo wyższym poziomie niż znakomita większość powojennych studentów uniwersytetu".

Czas pozaszkolny Pipes spędzał chyba bardziej ambitnie niż typowy nastolatek z dość dobrze sytuowanej rodziny. Wśród miejsc, w których bywał, poza kinem



Panorama Cieszyna, rodzinnego miasta Richarda Pipesa FOT. NAC

eprasa.pl 253b1c906f

i basenem Legii Warszawa, znalazły się i Filharmonia Warszawska i Biblioteka Publiczna przy ul. Koszykowej, i Szkoła Angielskiego Metodystów przy pl. Zbawiciela (wszystkie istnieją do dzisiaj). Dodajmy jeszcze, że wizyty w bibliotece były powodowane rozbudzonym zainteresowaniem historią sztuki. To, jak napisze po latach, „wczesne gorące umiłowanie sztuki miało [...] korzystne i trwałe skutki: uodporniło mnie na wszelkie ideologie".

Nie zabrakło mu jednak także innych wzruszeń. Zimą 1939 r. poznał w Krynicy-Zdroju starszą o dwa lata Wandę Edelman. Po wielu latach wspominał: „Sądząc po zapiskach w moim dzienniku, byłem w niej do szaleństwa zakochany, lecz po latach myślę, że nie była to prawda: kiedy opuściłem Polskę, mało, przykro to mówić, o niej myślałem. Ale spędziliśmy razem wiele szczęśliwych godzin, przeważnie wiosną 1939 r., w kawiarniach i na spacerach pod kwitnącymi kasztanowcami w parku Łazienkowskim".

Ucieczka przed Zagładą

Kilka miesięcy później nie było już mowy o romantycznych spacerach pod kasztanami w Łazienkach. „O 6.30 rano, w piątek 1 września, obudziła mnie seria grzmotów, dochodzących z oddali. W pierwszej chwili pomyślałem, że rozpętała się burza. Ubrałem się i pobiegłem na dwór, ale była piękna pogoda. Wysoko na niebie ujrzałem formacje srebrnych samolotów lecących w kierunku Warszawy: samotny dwupłatowiec, wyglądający na drewniany, wzbił się ostro w górę na spotkanie nadlatujących eskadr". Tydzień później Niemcy podeszli pod Warszawę.

Ryszard przeżył oblężenie stolicy, w tym straszliwe bombardowanie niemieckie 25 września 1939 r. W pisanym wówczas dzienniku zanotował: „Bomba za bombą spadała na bezbronne miasto jak ulewa. Domy waliły się w gruzy, przygniatając tysiące ludzi lub roznosząc pożar na całe ulice [...]. Lotnicy niemieccy, najgorsze bestie, jakie chodzą po świecie, specjalnie zniżali lot, by razić ludzi na ulicach ogniem z karabinów maszynowych. Nad wieczorem cała Warszawa stała w płomieniach, przypominając piekło dantejskie. Z jednej strony granicy miasta do drugiej – tylko łuny, które czerwieniły niebo".



Prezydent Ronald Reagan i Richard Pipes, jego doradca FOT. ARCHIWUM BIAŁEGO DOMU

Kilka dni później oddziały niemieckie wkroczyły do Warszawy. Ryszard wspominał, że właściwie nie wie, dlaczego ojciec nie chciał przebywać pod władzą Niemców. „Nie zgadzał się na perspektywę przetrwania pod niemiecką okupacją, czym zadowalała się większość Żydów. Prawdopodobnie powodowała nim duma: ojciec był człowiekiem pełnym godności, nie tolerował nawet myśli, że może być potraktowany jak parias. Nie podzielał żadnych, dominujących wówczas złudzeń i prawidłowo oceniał to, co nastąpi".

Dlatego już w pierwszych dniach października 1939 r. zaczął czynić starania o wyjazd z kraju. Zakończyły się one powodzeniem. Uzyskał paszport jednego z krajów południowoamerykańskich i wyruszył wraz z żoną i synem pociągiem do Rzymu. W stałej obawie przed zatrzymaniem przez Niemców wszyscy szczęśliwie dotarli do Wiecznego Miasta. To właśnie tam uzyskali wspomnianą już pomoc ambasadora polskiego, gen. Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego, dzięki której w lipcu 1940 r. opuścili Włochy, by następnie z Portugalii popłynąć do Stanów Zjednoczonych.

Ryszard zmienił się w Richarda, ukończył studia na Uniwersytecie Harvarda, w 1950 r. otrzymał tam doktorat i zaczął pracę naukową, ale wykładowcą tej uczelni został dopiero osiem lat później, pozostając nim aż do emerytury w 1996 r. Tak spełniło się jego marzenie: „[...] wyobrażałem sobie szczęście jako możliwość poświęcenia się pracy naukowej przez całą resztę życia. Kiedy taka możliwość została mi dana, osiągnąłem trwałe szczęście".

Jako wybitny historyk, znawca dziejów Rosji i Związku Sowieckiego w pierwszej połowie lat 80. dołączył do grona najbliższych doradców prezydenta Ronalda Reagana, którego politykę podsumował w ten sposób: „Polityczne i ekonomiczne poglądy Reagana były niewątpliwe nazbyt uproszczone [...]. Mimo to nie da się zaprzeczyć, że Reagan był bardzo skutecznym prezydentem, który w dużym stopniu przyczynił się do upadku Związku Sowieckiego i rozpadu jego imperium [...]. Jak to się stało, że ten człowiek, uważany przez inteligencję za sympatycznego matołka, pojął, że Związek Sowiecki toczy śmiertelna choroba, podczas gdy niemal wszyscy licencjonowani lekarze twierdzili, że cieszy się on doskonałym zdrowiem? Reagan miał niezwykłą umiejętność trafnej oceny sytuacji politycznej. Instynktownie rozumiał, tak jak inni wielcy mężowie stanu, co się liczy, a co nie, co jest dobre, a co złe dla jego kraju. Tej umiejętności nie sposób się nauczyć: trzeba się z nią urodzić".

Rosja i bolszewizm

W odróżnieniu od znacznej części amerykańskiego środowiska intelektualnego Pipes nigdy nie miał złudzeń co do polityki Związku Sowieckiego i komunizmu. Na podstawie przenikliwej analizy jej celów wychodził z założenia, że kompromis z tym państwem nie jest możliwy z zasadniczego powodu: „Byliśmy ich wrogami nie za to, co robiliśmy, a za to, czym byliśmy. Agresywność była

eprasa.pl 253b1c906f

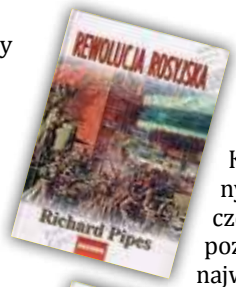
nieodłączną cechą sowieckiego systemu". Opinie sowieckie na swój temat („zażarty wróg ZSRS" pełen „patologicznej nienawiści do Związku Sowieckiego") przyjmował z dumą. Podobne jak opinie amerykańskie, przedstawiające go jako zwolennika zimnej wojny – nie spełnił oczekiwania, że z powodu nadania mu takiego miana będzie się „rumienił ze wstydu i prosił o przebaczenie".

Poglądy dotyczące istoty sowieckiego totalitaryzmu uzasadnił w swoich znakomitych książkach, dotyczących rewolucji rosyjskich z lat 1905–1917 i pierwszych lat budowy komunizmu w Rosji. Wyróżnić wśród nich należy „Rewolucję rosyjską", którą dedykował – jej Ofiarom. To jedno słowo można uważać za uzasadnienie przekonania Pipesa, że naukowiec „musi zajmować moralne stanowisko: jeżeli tego nie czyni w odniesieniu do historycznych zbrodni, to staje się ich wspólnikiem".

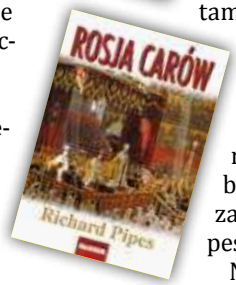
Te słowa dotyczyły wszystkich, którzy przechodzili do porządku nad milionami ofiar komunizmu, nie tylko zwolenników tzw. nurtu rewizjonistycznego: „Tym, co zawsze zdumiewało mnie u wyznawców tej szkoły, była ich całkowita niewrażliwość na zbrodnie – zbrodnie tak wyraźnie odzwierciedlone w źródłach z epoki i zajmujące tak ważne miejsce w literaturze dotyczącej narodowego socjalizmu. Postanowiwszy sobie, że będą postępować naukowo, unikali ocen moralnych i nie interesowali się losami jednostek [...]. Pisali bezkrwiste rozprawy o czasach, w których krew płynęła strumieniami, czasach masowych egzekucji i pogromów dokonywanych przez nową dyktaturę. To, co dla Rosjan było straszliwym kataklizmem, dla nich było szlachetnym, choć w końcu nieudanym eksperymentem".

Wiedza o zbrodniach komunistycznych nabyta w czasie pracy nad „Rewolucją rosyjską" wpłynęła zresztą na Pipesa niezwykle przygnębiająco, jak pisał, wręcz „wyczerpała nerwowo". Depresję pogłębiała bezradność wobec bezmiaru ludzkiej krzywdy i obojętności wobec niej na Zachodzie, pobłażliwe zbywanie prawdy o niej lub wręcz jej zaprzeczanie: „Kiedy studiowałem szczegóły czerwonego terroru, który istniejąca literatura albo minimalizowała, albo pomijała (jak to zrobił Carr w swojej wielotomowej historii), czułem ogromne przygnębienie i miałem kłopoty ze snem".

Wyjaśnijmy, że przywołany historyk to Edward H. Carr, autor wielotomowej historii Rosji sowieckiej. W wyborze publicystyki Leopolda Łabędzia szkic dotyczący jego osoby i dokonań słusznie zaliczono do części zatytułowanej „Fałszywi prorocy". Jak pisał ten znakomity polski politolog, Carr „utożsamiał perspektywę historyka z perspektywą władcy [...], taką tendencję jego prace przejawiały od początku". Łabędź przywołuje liczne tego dowody, jak chociażby taką wypowiedź: „Pokojowe penetrowanie świata zachodniego przez idee emanujące ze Związku Sowieckiego jest i prawdopodobnie pozostanie najdonioślejszym i najbardziej widocznym przejawem ekspansji Wschodu na Zachód. Ex Oriente Lux".







Warto podkreślić, że jedną z licznych zasług Pipesa w demaskowaniu istoty systemu komunistycznego było obalenie często spotykanego, nieprawdziwego poglądu o Włodzimierzu Leninie, którego rzekomo szlachetne idee i tworzone wedle nich dzieło ponoć wypaczył Józef Stalin. Pipes twardo dowodził, że bolszewicy pod osobistym kierownictwem Lenina od początku budowali w Rosji totalitaryzm, i to właśnie ich przywódca był największym orędownikiem likwidacji wszelkich wolności obywatelskich oraz stosowania powszechnej przemocy wobec wszystkich arbitralnie uznanych za przeciwników komunistycznego reżimu. To Lenin był gorącym zwolennikiem i kreatorem czerwonego terroru, który od lata 1918 r. zaciążył nad mieszkańcami Rosji, a swoją skalą przewyższył wszelkie znane wcześniej okrucieństwa.

W swoich książkach Pipes uzasadniał pogląd, że bolszewizm czerpie z instytucji i praktyki politycznej Rosji carów. Według niego, dwudziestowieczny totalitaryzm komunistyczny, mimo nieporównywalnie większej skali represji i ingerencji we wszystkie dziedziny życia społecznego, był wzorowany na instytucjach wytworzonych wcześniej w Rosji carskiej, a nie stworzony pod wpływem filozofii i koncepcji politycznych, pochodzących z kultury zachodnioeuropejskiej.

Było to stanowisko zgodne z tezą, sformułowaną przez Jana Kucharzewskiego w jego słynnym dziele „Od białego caratu do czerwonego" (które zresztą Pipes poznał dopiero po napisaniu swoich najważniejszych książek), a w opozycji do poglądów m.in. Martina Malii, Aleksandra Sołżenicyna czy Józefa Mackiewicza, którzy uważali, że marksizm, stworzony na Zachodzie, został stamtąd importowany do Rosji. Jak zauważał Pipes, zwolennicy tego poglądu nie odpowiadali jednak, jak to się stało, że akurat ta doktryna znalazła tam sprzyjające warunki rozwoju w swojej skrajnej postaci, pozwoliła zbudować totalitarne państwo, gdy na Zachodzie pozostała zjawiskiem marginalnym. Na pytanie, czy bolszewizm był instytucjonalnie i mentalnie zakorzeniony w dawnej Rosji, Pipes odpowiadał więc twierdząco.

Niewątpliwie władze carskie przez narzucony społeczeństwu duch bezprawia, żeby użyć określenia Jana Kucharzewskiego, tworzyły wzorce dla przyszłego totalitaryzmu. Przy czym Rosja carska w stosunku do własnych obywateli nie posługiwała się masowym terrorem czy odpowiedzialnością zbiorową, którą powszechnie wprowadzili komuniści, rozciągając swoje barbarzyńskie zwyczaje, bo przecież nie prawo, na rodziny aresztowanych, czy to w czasie wojny domowej, czy później, w okresie tzw. wielkiego terroru lat 30. XX w. Aresztowanych, o których wiadomo, że żadnej winy nigdy nie popełnili.

Wybitną zasługą Richarda Pipesa jest to, że jako jeden z niewielu, nie ulegając złudzeniom wobec systemu, który swoim wrogiem czynił przede wszystkim zwykłego człowieka, nie uległ silnej presji, by zbrodnie komunizmu potraktować wymijająco czy w jakikolwiek sposób je usprawiedliwiać. Wykazał tym samym cywilne męstwo w czasach, kiedy „w błędzie tkwiła cała inteligencja, zwłaszcza pracownicy nauki, którzy w rozmaitym stopniu sympatyzowali z komunistycznym eksperymentem".

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN, profesorem Uczelni Łazarskiego.

eprasa.pl 253b1c906f



Maciej Rosalak

Zwrot ten w słowiańskim uchu brzmi bardzo ostro, nieprzyjemnie. Nie bez przyczyny...

Niemiecka ekspansja na wschód dotknęła Europę Środkową we wczesnym średniowieczu. Akurat rodziły się wtedy i dojrzewały państwa obecnej Grupy Wyszehradzkiej. Po doświadczeniach wielu wieków powstał w Polsce termin „Drang nach Osten", oznaczający nieustanną agresję Niemców, w których widziano odwiecznego, zaborczego, aroganckiego i bardzo niebezpiecznego wroga. W dosłownym tłumaczeniu termin ten oznacza „napór na wschód", ale w słowiańskim uchu brzmi jak „drągiem w kość". W każdym razie – bardzo nieprzyjemnie...

O haśle „Drang nach Osten" prof. Maria Wojtczak, literaturoznawczyni z UAM pisała, że jako pierwszy użył go polski historyk i polityk Julian Klaczko w 1849 r. Rozczarowany rewolucją roku 1848 w Niemczech i negatywnymi postanowieniami parlamentu frankfurckiego w kwestii polskiej, skierował list otwarty do niemieckiego historyka i polityka Georga Gervinusa. List sprawie polskiej nie przyniósł większych korzyści, natomiast termin „Drang nach Osten" spopularyzował na początku lat 60. szanowany historyk Karol Szajnocha oraz najwięksi pisarze polscy drugiej połowy XIX wieku – Henryk Sienkiewicz, Bolesław Prus, Józef Kraszewski, Maria Konopnicka. I tak hasło owo weszło trwale do powszechnego użycia (według: Maria Wojtczak, „Drang nach Osten", za: polska-niemcy-inerakcje.pl).

Historia i propaganda

Pojęcie Drang nach Osten – pisane w ekspresyjnym brzmieniu niemieckim – przejęli od nas Czesi, a także Rosjanie, odnosząc je do niemieckiego militaryzmu obu wojen światowych. Natomiast w niemieckiej historiografii określenia tego używało się i używa w odniesieniu do osiedlania się Niemców – ale też np. Flamandów i Walonów, Fryzów i Zelandczyków – na ziemiach polskich, czeskich i węgierskich w wiekach XII–XIV. Nie kłóci się to zresztą, choć tematu nie wyczerpuje, z wynikami wnikliwych badań naszych historyków.

Benedykt Zientara (1928–1983), przedwcześnie zmarły, znakomity mediewista, profesor UW w wyjątkowo trudnym politycznie 1968 roku, tak oceniał to zjawisko: „Niemiecka ekspansja wschodnia związana była częściowo z podbojami politycznymi. Prowadzący je w XII i XIII w. książęta mieli drogę częściowo utorowaną od X w. przez królów i cesarzy z dynastii saskiej, którym udało się podporządkować na stałe niemieckiej administracji państwowej i kościelnej ziemie zamieszkane przez Słowian między Sławą a Bobrem i Kwisą oraz utrzymać silniejsze lub słabsze zwierzchnictwo nad ziemiami Słowian północno-zachodnich, Czech i Moraw, a nawet akcentować pretensje do zwierzchnictwa nad Polską i Węgrami. W tym sensie politykę wschodnią królów i cesarzy niemieckich X–XI w. uważać można za przygotowania ekspansji XII w. – ale nie można jej z nią utożsamiać" (B. Zientara, „Drang nach Osten", „Przegląd Historyczny"", 59/2, 1968).



Sclavinia, Germania, Galia i Roma niosą dary cesarzowi Ottonowi III FOT. DOMENA PUBLICZNA

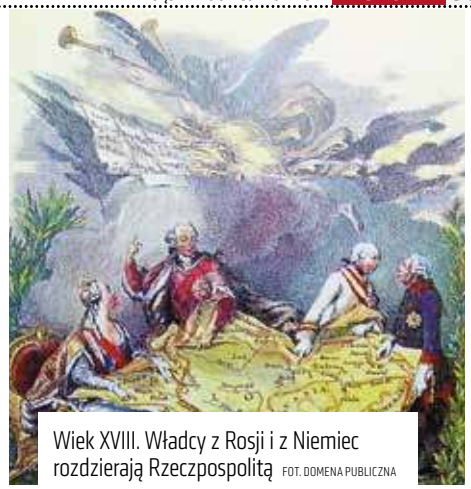
X–XX w. / Niemcy a Czechy, Węgry i Polska

Drang nach Osten

eprasa.pl 253b1c906f



Zjazd w Wiedniu (1515), gdzie Habsburgowie pogodzili się z Jagiellonami. Obraz Jana Matejki FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE



Wiek XVIII. Władcy z Rosji i z Niemiec rozdzierają Rzeczpospolitą FOT. DOMENA PUBLICZNA

W sprowadzaniu księży i zakonników, następnie rycerzy, a wreszcie kolonizacji miast i wiosek na prawie magdeburskim zainteresowani byli przede wszystkim piastowscy książęta dzielnicowi. Przybysze pomagali wzmocnić strukturę kościelną i przynosili wiedzę (duchowni), stanowili militarne oparcie dla Piastowiczów (rycerze), rozwijali handel i wytwórczość w miastach oraz zwiększali plony w rolnictwie (chłopi). Zientara pyta: „Czego szukali chłopi i mieszczanie na wschodzie? Nie znajdziemy w żadnym źródle wzmianki o pragnieniu zdobywania przez nich nowych obszarów dla »ojczyzny« czy »języka« niemieckiego. […] Koloniści nie szukali celów politycznych, ale lepszego i swobodniejszego bytowania, jak to określali w swej pieśni Flamandowie, pionierzy całego ruchu, którzy zapoczątkowali go w XII w.”. Z czasem wszystkie grupy kolonistów asymilowały się. Wyjątkiem pozostał niestety Śląsk, na którym to większość gałęzi książęcego rodu Piastów asymilowała się z przybyszami, czyli – mówiąc po prostu – niemczyła się już w XIII–XIV w.

Oczywiście rodziła się też niechęć do obcych, stanowiących silną konkurencję dla miejscowego duchowieństwa, rycerstwa czy rzemiosła. Najsilniej widać to w Czechach, gdzie wykształciła się najsilniejsza tożsamość narodowa. Ale „kiedy kronikarz czeski z początków XIV w. wzywał rodaków do jednoczenia się w obronie języka czeskiego przed wspólnym wrogiem, kiedy w okresie husyckim pojawiła się nawet idea wspólnoty słowiańskiej, przeciwstawiającej się niemczyźnie, nie widzimy żadnej podobnej ideologii po stronie przeciwnej”. Natomiast „pierwsi źli Niemcy” w Polsce — to raubritterzy, ściągani przez Bolesława Rogatkę na Śląsk […], którzy przyczynili się do przekształcenia przez księcia walki politycznej w napady zbójeckie”. Rywalizacja w żadnym wypadku nie stała się „powstaniem” żywiołu niemieckiego przeciwko państwu polskiemu, jakby to wynikało z niektórych interpretacji.

Miecz i krzyż

Za sprawcę Drang nach Osten w ujęciu geopolitycznym uważa się króla, a następnie pierwszego cesarza niemieckiego – Ottona I. Ma to ścisły związek z jego walnym zwycięstwem nad Madziarami, odniesionym w 955 r. na Lechowym Polu (niem. Lechfeld).

Wojownicze plemiona węgierskie dotarły w drugiej połowie IX w. ze wschodu nad środkowy Dunaj i plądrowały bliższe oraz dalsze europejskie kraje z Bawarią na czele. Pasmo ich zwycięstw trwało nieprzerwanie do 933 r., kiedy to Henryk I Ptasznik z rodu Ludolfingów – książę Saksonii od 912 r. i król Niemiec od 919 r. – pokonał najeźdźców nad rzeką Unstrutą w Turyngii, niedaleko Merseburga. Wojsko obwołało go wtedy ojcem ojczyzny, a plemiona niemieckie zaczęły się integrować wokół dynastii saskiej. Przegrana nad Unstrutą bynajmniej nie przerwała jednak węgierskich najazdów. Miał tego dokonać syn Henryka I – Otton I, który został elekcyjnym królem Niemiec w 936 r., mając 24 lata. Koronował się w Akwizgranie u grobu Karola Wielkiego, jakby wskazując drogę, którą chce podążyć. Z teutońską konsekwencją podbijał ziemie Słowian połabskich, a granice zakładanych przezeń marchii dotarły do Odry. Triumf na Lechowym Polu zwiększył prestiż i znaczenie Ottona I zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz Niemiec. W latach 60. uzależnił on Czechy, Włochy i Danię, a niewykluczone, że pobierał też trybut od Mieszka I.

Prowadził w Italii wojny z cesarstwem bizantyjskim i w latach 70. skłonił je do uznania jego praw do tytułu cesarza. Bizantyjczycy postawili warunek, że Otton nie będzie nazywał się cesarzem „rzymskim”. Koronacji na cesarza rzymskiego dokonał jednak wcześniej – 2 lutego 962 r. w Rzymie – papież Jan XII. I ta data wyznacza początek Świętego Cesarstwa Rzymskiego, potocznie zwanego Starą lub Pierwszą Rzeszą. Państwo to formalnie istniało do 1806 r. W historiografii używana jest często całkowicie nieformalna nazwa Święte Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego (pierwszy raz pojawiła się w piśmiennictwie w 1441 r., ale wcześniej i potem nigdy w dokumentach urzędowych), bardziej odpowiadająca stanowi faktycznemu.

Natomiast pokonani – a ściślej biorąc ród Arpadów, który przejął władzę nad plemionami Madziarów – po niemal 20 latach poszli po rozum do głowy i w 973 r. książę Gejza wysłał posłów do cesarza z prośbą o pokój i pomoc we wprowadzeniu chrześcijaństwa. Pomocy udzielili czescy duchowni i niemieccy rycerze, którzy przybyli do Węgrów wraz z Gizelą bawarską, z okazji jej ślubu z następcą tronu – księciem Vajkiem (kilka lat młodszym od Bolesława Chrobrego). Gdy został ochrzczony, przybrał imię Stefana – Świętego od 1083 r. Jego wychowawcą został Wojciech Sławnikowic, późniejszy święty trzech narodów – Polaków, Czechów i Węgrów właśnie.

Od tego drugiego Arpada Węgry stały się krajem w pełni chrześcijańskim, cywilizowanym i silnym, o tak dużych osiągnięciach wewnętrznych i zewnętrznych, że cesarz Otton III zgodził się, aby jego przyjaciel papież Sylwester II posłał Stefanowi wspaniałą złotą koronę zwieńczoną krzyżem apostolskim, a wraz z nią list, w którym oficjalnie uznawał władcę

eprasa.pl 253b1c906f



Niemiecki cesarz Wilhelm II w otoczeniu swych generałów podczas manewrów wojskowych

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Madziarów za katolickiego króla Węgier. Koronacja odbyła się albo w Dzień Narodzenia Pańskiego – 25 grudnia 1000 r., albo w Nowy Rok – 1 stycznia 1001 r.

Wcześniej – bo w marcu 1000 r. – cesarz przybył w pielgrzymce do grobu św. Wojciecha w Gnieźnie. Tam powitał go z wielkim przepychem piastowski książę Bolesław Chrobry. Wydarzenie to – zwane zjazdem lub synodem gnieźnieńskim – tak opisywał zdecydowanie nieprzychylny Bolesławowi biskup merseburski Thietmar w swej kronice: „Trudno uwierzyć i opowiedzieć, z jaką wspaniałością przyjmował wówczas Bolesław cesarza i jak prowadził go przez swój kraj aż do Gniezna. Gdy Otto ujrzał z daleka upragniony gród, zbliżył się doń boso ze słowami modlitwy na ustach. Tamtejszy biskup Unger [biskup poznański] przyjął go z wielkim szacunkiem i wprowadził do kościoła, gdzie cesarz zalany łzami, prosił świętego męczennika o wstawiennictwo, by mógł dostąpić łaski Chrystusowej. Następnie otworzył zaraz arcybiskupstwo [...]. Po załatwieniu tych wszystkich spraw cesarz otrzymał od księcia Bolesława wspaniałe dary i wśród nich, co największą sprawiło mu przyjemność, trzystu opancerzonych żołnierzy”.

Otton nałożył też na głowę Piastowicza diadem królewski i wręczył mu kopię włóczni św. Maurycego (będącej symbolem władzy cesarskiej, z gwoździem z Krzyża Pańskiego), a sam otrzymał od księcia relikwię – ramię męczennika. Bolesław – zapewne z wielką wdzięcznością – przychylił się do planów Wielkiego Cesarstwa, opierającego się o cztery królestwa: Sclavinię (z władcą gnieźnieńskim na czele), Germanię, Galię i Romę. Czterej królowie mieli składać hołd cesarzowi, ale zwraca uwagę, że nie tylko Galia (Francja) i Roma (Italia), lecz także Germania (Niemcy) były równorzędne wobec wiodącej wśród Słowian przyszłej Polski. A Wielkie Cesarstwo Ottona III wygląda jak zarodek... Unii Europejskiej powstałej tysiąc lat później.

Faktem o doniosłym znaczeniu stało się wtedy utworzenie arcybiskupstwa gnieźnieńskiego. Owa pierwsza metropolia kościelna w Polsce podległa wyłącznie papieżowi – z bratem św. Wojciecha Radzimem Gaudentym jako arcybiskupem – obejmowała też nowe biskupstwa: sufraganię krakowską (bp Poppon), kołobrzeską (bp Reinbern) i wrocławską (bp Jan). Misyjne biskupstwo poznańskie – utworzone prawdopodobnie już w 968 r., podległe bezpośrednio papieżowi –pozostało poza metropolią gnieźnieńską do śmierci bp. Ungera.

Może zaskakiwać, że Czesi – którzy wiarę chrześcijańską przyjęli wcześniej od nas i mieli kraj bardziej od księstwa Piastów rozwinięty – pierwsze biskupstwo (praskie) otrzymali w 973 r., a archidiecezję dopiero w 1344 r. Wcześniej podlegali diecezji ratyzbońskiej w ramach metropolii mogunckiej. Pierwszym królem czeskim został w 1085 r. Wratysław II, ale do początku XIII w. Czechy były lennem cesarstwa. I oto w 1212 r. książęta czescy dzięki Fryderykowi II Hohenstaufowi stają się dziedzicznymi królami – pierwszym został Przemysł Ottokar I. Natomiast za panowania cesarza Karola IV Luksemburskiego (1316–1378, Przemyślida po matce) król Czech stawał się jednym z czterech dziedzicznych elektorów świeckich, dokonujących wyboru cesarza rzymskiego.

Niestety, cesarz Otton III zmarł niespełna dwa lata po zjeździe gnieźnieńskim, a papież Sylwester II przeżył go tylko o rok.

Ku Mitteleuropie

W ciągu następnego tysiąclecia nic podobnego do zjazdu gnieźnieńskiego A.D. 1000 się nie zdarzyło. Przeciwnie. Przynajmniej do Fryderyka I Barbarossy, a więc niemal po kres XII stulecia cesarze niemieccy ingerowali w wewnętrzne sprawy Polski, potem – za Luksemburgów i pierwszych Habsburgów – konsekwentnie stawali po stronie Krzyżaków, niemieckiego zakonu rycerskiego, który zabierał nam ziemie, odcinał je od Bałtyku, i dopiero wspólnym wysiłkiem z Litwą został na początku XVI wieku pokonany. Pozostał po nim jednak zarodek kolejnej odsłony Drang nach Osten – czyli księstwo Hohenzollernów, którzy do początku XVIII wieku stopniowo uniezależniali się od słabnącej Rzeczypospolitej, pozbywając się zależności lennej i w końcu uzyskując status królestwa. W połowie tego stulecia król pruski Fryderyk II Wielki uczynił z niego liczącą się w Europie siłę.

Od wschodu wyrosła druga złowroga dla Polski potęga – Rosja cara Piotra I Wielkiego i jednej z jego następczyń, carycy Katarzyny II Wielkiej. Odtąd dwa czarne orły szarpały polsko-litewskie państwo, aż je rozszarpały. (Zauważmy, że przydomkiem „Wielki” Niemcy i Rosjanie obdarzali naszych największych

eprasa.pl 253b1c906f

wrogów). Oto kilka umów między tymi ościennymi mocarstwami skierowanych przeciw Polsce: od porozumienia trzech czarnych orłów w 1732 r. poczynając, poprzez układy rozbiorowe 1772–1795, kongres wiedeński 1815, pruską armię obserwacyjną 1830–1831, konwencję Alvenslebena 1863, układy w Rapallo 1922 i Locarno 1925, pakt Hitler-Stalin 1939, aż do dwóch rur gazowych na dnie Bałtyku w XXI wieku.

Butne spojrzenie rzucił na wschód Europy najsilniejszy z graczy na kontynencie końca XIX wieku – II Rzesza Niemiecka cesarza Wilhelma II Hohenzollerna. Utworzona tuż po zwycięstwie Prus nad Francją (1871), obudziła w Niemcach drzemiące od wieków poczucie siły i agresji…. Jak pisze Piotr Eberhardt o genezie niemieckiej koncepcji Mitteleuropy („Przegląd Geograficzny", 2005): „powstały w Niemczech liczne teorie i pseudoteorie geopolityczne, nawiązujące do takich pojęć i idei jak »przestrzeń życiowa« (Lebensraum), konieczność »ekspansji na wschód« (Drang nach Osten), »naród pozbawiony przestrzeni« (Volk ohne Raum), »władza i przestrzeń« (Macht und Raum) czy idea »wielkiej przestrzeni« (Die grossraum Idee) – koncepcje wzywające do połączenia wszystkich Niemców w jednym państwie (Ein Volkein Staat), wykorzystujące doktrynę »krwi i ziemi« (Blut und Boden), »dopasowywania przestrzeni« (Raumanpassungsart) oraz zależności między »terytorium narodowym a kulturowym« (Volksboden und Kulturboden) itp.

Pojęcia Mitteleuropa (środkowa Europa) pierwszy użył wprawdzie austriacki polityk Feliks zu Schwarzenberg w okresie Wiosny Ludów (1848), ale do jego upowszechnienia przyczynił się geograf niemiecki Joseph Partsch, wydając w 1904 r. książkę „Mitteleuropa". Pojęcie podchwycili nie tylko liczni geografowie i historycy oraz autorzy publikacji popularnych, lecz także znaczące osoby z kręgów politycznych i wojskowych. Ich koncepcje krystalizowały się po wybuchu pierwszej wojny światowej, usprawiedliwiając wojnę jako skuteczną drogę osiągnięcia celów politycznych i sięgały do głoszonych publicznie haseł dominacji narodu niemieckiego w Europie. Szczególnie właśnie w Europie Środkowej, na ogół w pasie od północnych krain nadbałtyckich do wybrzeża czarnomorskiego.

Za podstawę planów posłużyła przede wszystkim książka byłego duchownego i polityka niemieckiego Friedricha Naumanna „Mitteleuropa" (1915), w której postulował on stworzenie pod egidą Niemiec związku państw środkowoeuropejskich, mających – łącznie z Niemcami i Austro-Węgrami, a także z najbliższymi sąsiadami Rzeszy na zachodzie – potencjał wystarczający dla dominującego mocarstwa. Sam Naumann nie był zwolennikiem brutalnej agresji, etnicznej przemocy, przymusowej germanizacji czy „głodzenia" słabszych nacji – jak np. Polacy – niszczącą ich polityką gospodarczą. Nawet przestrzegał przed takimi praktykami, które w polskim przypadku mogły wywołać efekt odwrotny do zamierzonego.

Dokładnie jednak takie konkrety dostrzegli pod hasłem Mitteleuropa butni nacjonaliści i generałowie. Poza całkowitą, polityczną i militarną dominacją II Rzeszy Niemieckiej i drenowaniem słabszych krajów korzystnymi dla niej umowami gospodarczymi, przewidywano też aneksje terytorialne, osadnictwo niemieckie oraz przymusowe germanizowanie ludności. Polska oddałaby na przykład Niemcom „pas przygraniczny" w środku kraju z Częstochową i Kaliszem oraz na północnym Mazowszu – z Płockiem i Mławą. Wysiedlono by polską i żydowską ludność.



Polskie dzieci wywiezione do KL Auschwitz z Zamojszczyzny

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Wynik pierwszej wojny światowej przekreślił te plany, ale błyskawicznie zbliżała się druga wojna światowa, której wybuch umożliwił sojusz Hitlera ze Stalinem. W żadnym kraju podbitej Europy nie doszło do takich zbrodniczych działań dwóch okupantów naraz i każdego z osobna, jak w Polsce – szczególnie w eksterminacji warstw przywódczych ujarzmianego narodu. Masowe rozstrzeliwania Polaków w Puszczy Kampinoskiej trwały w tym samym czasie, gdy w Katyniu mordowano oficerów polskich.

Największe ludobójcze plany hitlerowskich Niemiec powstały w 1941 r. Sukcesy na froncie wojny z ZSRS wydawały się im wtedy ukoronowaniem podboju całej Europy, umożliwiającym zarówno zagospodarowanie „przestrzeni życiowej" (niem. Lebensraum) na wschodzie, jak i zlikwidowanie „problemu żydowskiego" (niem. Judenfrage). U podstaw obu planów tkwiło przekonanie o wyższości rasowej Niemców, dającej im pełne prawo do wymordowania przynajmniej 100 mln ludzi: Słowian i Żydów, wobec których czuli nienawiść i pogardę. Generalny Plan Wschód (niem. Generalplan Ost) miał zapewnić im Lebensraum kosztem narodów mieszkających na wschód od granic III Rzeszy po Ural, i od Jeziora Ładoga na północy po Morze Czarne na południu. Mieli zniknąć stamtąd (czytaj: stracić życie od razu bądź na Syberii) wszyscy Żydzi, 80–85 proc. Polaków, 50 proc. Czechów, 65 proc. Ukraińców, 75 proc. Białorusinów oraz bliżej nieokreślona część Rosjan i Tatarów.

Co ciekawe, plany te powstały w chorej głowie Adolfa Hitlera długo przed wojną, a opisał je w 1928 r. w niewydanej za jego życia „Drugiej książce" („Das zweite Buch", będącej kontynuacją „Mein Kampf"). Zrodziły się one, jak pisze prof. Maria Wojtczak, „z narodowosocjalistycznej idei Lebensraum, a także z przekonania o niemieckiej »rasie panów« (Herrenvolk, Herrenrasse) oraz z hitlerowskiej interpretacji idei Drang nach Osten".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 253b1c906f



Krzysztof Masłoń

Mam nadzieję, że dość liczni rodacy tęsknią do prawdziwego teatru: mądrego i pięknego. Takiego, z którym utożsamiał się jeden z największych dramaturgów w dziejach polskiej sceny: Jerzy Szaniawski

Był autorem 16 sztuk scenicznych, czterech słuchowisk radiowych, jednej małej powieści, tomu nowel, wydał jeszcze zbiór szkiców teatralnych i drugi – pisanych do „Przekroju" opowiadań, które nieoczekiwanie zrobić miały karierę, głównie dzięki telewizji. W sumie nie tak wiele, a przecież to Jerzy Szaniawski był przed Sławomirem Mrożkiem jedynym polskim dramatopisarzem, który odniósł sukces nie tylko w kraju, lecz także poza granicami, bo np. jego „Adwokat i róże" znany był w Europie, grany w Londynie, Trieście, Rydze, Bratysławie.

Tę samą sztukę grano w przedwojennej Warszawie 180 razy, świetnie przyjęto również „Fortepian". Autor wszedł w skład Polskiej Akademii Literatury. Po Wyspiańskim i Fredrze był chyba najczęściej granym twórcą sztuk teatralnych. Jego „Żeglarz" zainspirował Boya do wszczęcia sławnej kampanii antybrązowniczej. Z uznaniem pisał o nim Karol Irzykowski, natomiast kręcił nosem na jego dramaty Antoni Słonimski („gdy siedzę na sztuce Szaniawskiego, mam zawsze uczucie, że ktoś mnie buja i mistyfikuje" – wyznawał po premierze „Fortepianu"; w ponurym okresie stalinowskim, kiedy skazano Szaniawskiego na milczenie, Adam Ważyk, jeden z literackich prokuratorów odmawiających mu prawa do uprawiania literatury, też bredził o „mistyfikacji", która rzekomo zastępowała w jego sztukach „mistykę"). Na ile podobna krytyka zajmującego się teatrem Słonimskiego rzeczywiście



FOT. NAC

eprasa.pl 253b1c906f



1886–1970 / Twórca „Żeglarza", „Mostu", „Dwóch teatrów"...

Zwierciadło Jerzego Szaniawskiego

odbijała jego poglądy, a na ile dochodziła tu do głosu autorska rywalizacja, bo w końcu ten skamandryta też pisał na potrzeby sceny, trudno orzec.

Nie od rzeczy będzie też w tym miejscu wspomnieć, że gdy Szaniawski w 1945 r. wysłał do Teatru Polskiego w Warszawie oryginał swego najważniejszego powojennego dzieła – „Dwóch teatrów", odesłano mu go – do Krakowa, gdzie wtedy mieszkał – z adnotacją kierownika literackiego teatru: „Sztuka nie nadaje się do wystawienia". Tak zadecydował wówczas... Jarosław Iwaszkiewicz (prapremiera odbyła się w roku 1946 w Teatrze Powszechnym im. Żołnierza Polskiego w Krakowie). Ale też nie należy zapominać, że ten sam Iwaszkiewicz niejednokrotnie o twórczości autora „Żeglarza" wyrażał się z uznaniem, wspominając choćby w „Życiu Warszawy" w 1966 r.: „Należałem jeszcze do zespołu Reduty, gdy Osterwa rozpoczął próby z »Papierowego kochanka«. Niezapomniane to były chwile. I odtąd niezmienne przywiązanie do tego pisarza towarzyszyło mi przez wiele lat, przez »Lekkoducha«, »Adwokata i róże« aż do sztuki »Kowal, pieniądze i gwiazdy«, której baśniowa piękność urzekła mnie prawdziwie".

Pogoda ducha tarczą obronną

Urodził się Jerzy Szaniawski w 1886 r., a jako autor opowiadań zadebiutował publikacją w roku 1912. Pierwszą jego sztukę – był to „Murzyn" – Teatr Polski w Warszawie wystawił w 1917 r. W innym świecie! W osobie Szaniawskiego łączą się różne epoki i style, poczynając od Młodej Polski, a kończąc na egzystencjalizmie. W tym wszystkim, co pisał na scenę, przeplatały się realizm z baśniowością, jawa ze snem, a i śmierć z życiem.

Pochodził z zamożnej rodziny, co pozwoliło mu na niezależność twórczą, którą zachował do ostatnich dni, choć po wojnie żył w nędzy, a ziemiańska genealogia była mu kulą u nogi. Ale młodość miał przynajmniej spokojną i beztroską. Pierwszy raz dworek zegrzyniecki opuścił, gdy rodzice posłali go do gimnazjum w Warszawie. Ukończył je w 1908 r., rozwijając w tym czasie dwie swoje pasje: teatralną i muzyczną. Ciekawe jednak, że na studia wyjechał do Szwajcarii, by w Lozannie uczyć się... chemii rolniczej. Ale też jako wolny słuchacz uczęszczał na wykłady z historii sztuki.

Po powrocie do kraju współpracuje z satyrycznym pismem „Sowizdrzał". Po wielu latach, w 1955 r., w warszawskim Domu Literatury powie: „Zaczynałem działalność pisarską jako humorysta. Kończę także jako humorysta". Jeśli przyjmiemy te słowa za dobrą monetę, to ten późny humor był mocno zaczerniony. Jakże zresztą mogło być inaczej, skoro wrodzona pogoda ducha twórcy „Ptaka" musiała mu wystarczyć za tarczę obronną przeciw skomasowanym atakom tych, którzy chcieli w nim widzieć „kułaka znad Narwi", „wielkiego pana gnębiącego ubogich chłopów", „poplecznika sił reakcji" itd., itp. Co gorzej, za tymi słowami szły czyny. Piotr Kuncewicz napisze później, że Szaniawski „był w obłędny sposób sekowany, także przez władze lokalne". O tym jednak potem.

Na razie cofnijmy się do złotych lat jego twórczości. Sławnym uczyniła go krakowska prapremiera jego „Papierowego kochanka", już w roku 1920. Ugruntowały ją następne sztuki, do czego przyczyniła się legendarna Reduta, wystawiając po „Papierowym kochanku" także „Ewę" i „Lekkoducha". To w Reducie zaprzyjaźnił się – a do nawiązywania bliższych kontaktów nie był skory – z Osterwą i Jaraczem. Także Aleksander Zelwerowicz uczynił wobec niego wyraźny gest, grając w „Papierowym kochanku", chociaż z Redutą było mu nie po drodze. A i sam Szaniawski nie akceptował bezwarunkowo tej sceny i żałował, że Zelwerowicz grał „tylko" w pięciu jego sztukach, a nie we wszystkich, „rozumiał on bowiem, jak mało kto, cechy mego pisarstwa: nie ściszał mnie, nie rozwlekał, nie »przesubtelniał«. A chodziło to

eprasa.pl 253b1c906f

za mną w ciągu wielu lat, jak nieszczęście".

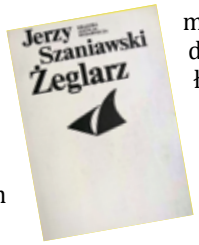
Grane na wielu scenach jego sztuki ściągały widzów do teatrów, pozycja autora rosła z każdym rokiem, on sam jednak trzymał się na uboczu, nie wiązał z żadnym opiniotwórczym tytułem, żadną koterią, nie zabiegał o przychylność krytyki. Niechętnie ruszał się ze swej posiadłości, którą ojciec na kilka miesięcy przed śmiercią w roku 1929 zapisał jemu, przekazując bratu Jerzego – Władysławowi – kupiony majątek w Stoczku i dożywotnią pensję. W 1945 r. Władysław, wracając z Serocka po oblodzonej Narwi, utopił się. Siedem lat później ta sama rzeka – uwieczniona w jego pisarstwie – odbierze życie najbliższemu przyjacielowi Jerzego Szaniawskiego, Leonowi Pietrzykowskiemu.











Proszę się nie wtrącać

Nazywano Jerzego Szaniawskiego samotnikiem, podkreślając jego małomówność. Wojciech Natanson wspominał, że w 1955 r. podczas uroczystości w Domu Literatury, w krótkim wystąpieniu pisarz powiedział: „Słusznie uchodzę za człowieka, który nie jest wymowny, nie umie mówić. Niektórzy nawet twierdzą, że w ogóle nie mówię".

Zdawał sobie sprawę ze swojej, powiedziałbym, osobności i pykając fajkę z humorem tę milkliwość kultywował. Świadczy o tym znamienna scena rozmowy dyrektora teatru z autorem pochodząca z „Dwóch teatrów", w której ten pierwszy zniecierpliwiony maksymalnie lakonicznymi odpowiedziami rozmówcy na jego pytania, wybucha w końcu: „Czy pan nigdy nie powie więcej niż jedno słowo?". Na co tamten rzecze z godnością: „Nigdy".

To, co dobre w życiu Jerzego Szaniawskiego, kończy się we wrześniu 1939 r. Niemcy wysiedlają go z Zegrzynka, który znalazł się w Reichu. Pisarz zamieszkuje w Warszawie, w mieszkaniu swoich przyjaciół, Wandy i Jerzego Natolskich. W 1943 r. zostaje razem z Natolskim aresztowany i wywieziony na Pawiak. Przyjaciel ginie; on sam, po chorobie, dzięki wstawiennictwu Niemca – teatromana, cztery miesiące przed wybuchem Powstania Warszawskiego zostaje zwolniony. Po Powstaniu przeszedł obóz w Pruszkowie, o powrocie do Zegrzynka nie było jednak mowy. Dwór został zdewastowany, doszczętnie ograbiony. Dramaturg znalazł miejsce dla siebie w Krakowie, w małym pokoju sławnego Domu Literatów przy ulicy Krupniczej. Mimo trudnych warunków to tam powstały „Dwa teatry", a w 1946 r. autor otrzymał nagrodę literacką miasta Krakowa. Pieniądze włożył natychmiast w odbudowę (nigdy nie doprowadzoną do pierwotnego stanu) zniszczonego dworku, dokąd wprowadził się w 1951 r. wraz z towarzyszącą mu, jego dobrą duszą, Wandą Natolską. Była jego opiekunką, gospodynią, naprawdę – jak o niej mówiono – „Dobrą Panią", choć dystans między nimi podkreślała wizytówka na drzwiach jej pokoju: „Sublokatorka". Zmarła w roku 1960, dziesięć lat później odszedł Jerzy Szaniawski.

Ostatnie jego lata, włącznie z fatalnym post scriptum w postaci tragicznego w skutkach pożaru dworku w Zegrzynku, powracały w dramatach Władysława Terleckiego, m.in. w „Idź na brzeg, widać ogień", także w monodramie „Uwaga, złe psy!" Remigiusza Grzeli, o dramatycznej starości twórcy „Dwóch teatrów" pisała Joanna Iwaszkiewicz (m.in. „W pobliżu snu… tajemnica Jerzego Szaniawskiego"), jak również Joanna Siedlecka w „Wypominkach".

Jeszcze w 1929 r. poznał Jerzy Szaniawski krakowską malarkę, z pochodzenia Włoszkę, Carlottę Bologna, sportretowaną następnie w „Dwóch teatrach" jako Lizelottę. Ich przyjaźń trwała latami, była na pewno dobrym duchem pisarza, gdy jednak po śmierci Wandy Natolskiej, w maju 1961 r. poprosił ją, by została z nim na zawsze – odmówiła, czemu absolutnie dziwić się nie można. Nieoczekiwanie, już dwa miesiące potem Szaniawski ożenił się z młodszą od siebie o dwadzieścia lat Wandą Anitą Szatkowską, która już i tak ciężkie życie pisarza uczyniła nieznośnym. „Podobno biła Szaniawskiego, głodziła, zamykała w chlewiku – cytuję Joannę Siedlecką – nigdy jednak nie próbował nikomu się skarżyć, powodowany być może dumą i ambicją lub też zdając sobie sprawę, że trudno już teraz dla niego o inne wyjście.

– To moja żona, proszę się nie wtrącać – mówił zawsze. Nigdy też nie zgodził się, jak mu radzono, na jej psychiatryczne leczenie. VanAnita natomiast twierdziła, że gdyby nie mieszkała w pięknym [? – K.M.] dworku, nikt by się jej zdrowiem psychicznym nie interesował. Była na pewno osobą niekonwencjonalną, ekscentryczną, psychicznie niezrównoważoną, ale czy »wariatką«, jak pisano? Bez lekarskich diagnoz trudno o tak jednoznaczny wyrok".

Pozostańmy przy takim, połowicznym, rozpoznaniu. VanAnita do Tworek trafi dopiero w 1977 r. po pożarze dworku, w którym poniosło śmierć dwóch młodych mężczyzn. O podpalenie powszechnie oskarżano wdowę po pisarzu, która z pruszkowskiego szpitala jednak uciekła i po kilkuletniej włóczędze po kraju czy – jak kto woli – ukrywaniu się, w końcu dokonała żywota w 1991 r. w domu opieki społecznej w Krakowie.

Grubo wcześniej, bo już trzy lata po śmierci pisarza sąd w Nowym Dworze Mazowieckim odebrał jej prawo własności do majątku po pisarzu, pozwalając jedynie mieszkać w coraz bardziej niszczejącym dworku. Użytkownikiem i opiekunem majątku – bo ona już była tylko lokatorką – został z ramienia Skarbu Państwa Zakład Ziemniaka w Jadwisinie, późniejszy Instytut Doświadczalny Ziemniaka. To on przejął liczące 26 hektarów gospodarstwo, a po spaleniu dworku pozbył się zmartwienia w postaci stale sprawiającej kłopoty VanAnity i rudery, o której nie chciano pamiętać, że figurowała w rejestrze zabytków…

Przejaw publicznej amnezji

W okresie wszechwładzy socrealizmu Szaniawski praktycznie nie istniał. Teatry przed nim zamknięto, uznano go

eprasa.pl 253b1c906f



Scena z przedstawienia „Ptak" Jerzego Szaniawskiego w Teatrze Miejskim im. Słowackiego w Krakowie FOT. NAC

za przeżytek epoki, niedostosowany do trendów czasu. Żył wtedy, sprzedając jaja, jabłka i ziemniaki na targu w Serocku.

Triumfalnie powrócił na scenę wraz z tzw. odwilżą. Przyjmowano go owacyjnie, jeszcze np. 4 stycznia 1958 r. na prapremierze „Latającego chłopca" w Teatrze Polskim w Warszawie. Niemniej od lat 60. jego sztuki stopniowo znikały z repertuarów, przypomnieć jedynie warto, że konsekwentnie pokazywała je Telewizja Polska, a niektóre realizacje przeszły do historii Teatru Telewizji (z kreacjami Kazimierza Opalińskiego w „Zegarku" i Jana Świderskiego w „Żeglarzu").

Błyskotliwą karierę zrobiły też jego opowiadania o Profesorze Tutce drukowane w latach 50. w tygodniku „Przekrój" (jedynym, który zdobył się w najtrudniejszym czasie na odwagę publikowania utworów obłożonego oficjalną anatemą twórcy). W następnej dekadzie powstał na ich podstawie serial „Klub profesora Tutki" z niezapomnianym Gustawem Holoubkiem w roli tytułowej, w reżyserii Andrzeja Kondratiuka z oprawą muzyczną Krzysztofa Komedy i Tomasza Stańki.

„Gdyby profesor Tutka zechciał dzisiaj wybrać się do teatru na sztukę Jerzego Szaniawskiego – napisał niedawno Tomasz Miłkowski – dowiedziałby się ze zdumieniem, że to niemożliwe. Co więcej, zauważyłby z niedowierzaniem, że nie może również obejrzeć w Warszawie żadnej (albo prawie żadnej) sztuki Witkacego, ongiś jego wielkiego, choć niedocenianego rywala. Zasępiłby się zapewne srodze, ale po chwili opowiedziałby przyjaciołom melancholijną historyjkę, przypominającą gawędę o architekcie, który miał lewy bok po prawej stronie. Daremnie próbowano architekta uleczyć, a profesor Tutka uważał, że kwestia, po której stronie ma bok ów architekt, to jego sprawa osobista, skoro nie czyni nikomu nic złego. Być może trudniej byłoby profesorowi zdobyć się na taką wyrozumiałość wobec teatru, który rezygnując z boków, by trzymać się Tutkowej opowieści, czyli bez Szaniawskiego i Witkacego, nie może się tłumaczyć, że to sprawa osobista. To raczej przejaw publicznej amnezji".

Teatr przeżywa obecnie absolutnie wyjątkową zapaść, Szaniawskiego więc możemy sobie co najwyżej poczytać, o co też nie jest łatwo, bo np. w opasłej dwutomowej „Antologii dramatu polskiego 1945–2005" w wyborze i opracowaniu Jana Kłossowicza autor ten nie istnieje. Powód nieobecności „Dwóch teatrów" wyjaśnił Kłossowicz we wstępie, jednak ta absencja dramaturga – w swoim czasie uważanego za jednego z najważniejszych dla polskiego teatru XX w. – jest jednak tak czy inaczej wyjątkowo przykra. Niezależnie od tego, że twórczością przynależy Szaniawski bardziej do okresu międzywojennego niż powojennego. Jestem jednak pewny, że „Żeglarz" i „Most", „Adwokat i róże" oraz „Dwa teatry" wrócą kiedyś na polską scenę. Przekonuje o tym lektura tych utworów – po latach zaskakująco świeżych.

Robert Żebrowski określił go jako tego, „który dzięki swym dramaturgicznym wizjom ukształtował niegdyś obywatela Drugiej Rzeczypospolitej – a w Trzeciej pozostał nieobecny". Ale dylematy dyrektora teatru Małe Zwierciadło z „Dwóch teatrów" wciąż są aktualne, a pytanie o możliwość realizacji jego programu – wciąż otwarte. Podobnie przynajmniej niektórzy z nas – mam nadzieję, że dość liczni – tęsknią do prawdziwego teatru: mądrego i pięknego. Takiego, z którym utożsamiał się ten jeden z największych dramaturgów w dziejach polskiej sceny: Jerzy Szaniawski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 253b1c906f



„Archanioł Michał" – obraz, który ok. 1636 r. namalował Guido Reni (1575–1642), ceniony malarz z Bolonii – znajduje się w Santa Maria della Concezione w Rzymie FOT. ARCHIVE.ORG

Książka miesiąca / Reżyseria samozagłady

Blog szatana

Papieża Leona XIII poruszyła 13 października 1884 r. szczególna mistyczna wizja. Podczas dziękczynienia po Mszy Świętej usłyszał szatana, który zapowiadał Chrystusowi, że w ciągu stu lat zniszczy Jego Kościół, jeśli otrzyma taki czas i więcej władzy. Jezus odpowiedział: – Będziesz miał ten czas i władzę. Które stulecie wybierasz? Czart wybrał nadchodzące wówczas stulecie – wiek XX. Wstrząśnięty papież natychmiast ułożył wtedy modlitwę do św. Michała Archanioła, którego wezwał, aby „szatana i inne duchy złe, które na zgubę dusz ludzkich po tym świecie krążą, mocą Bożą strącił do piekła".

Do owego wydarzenia nawiązuje Paweł Lisicki w swej najnowszej książce „System diabła". Autor ponad 20 tomów teologicznych, filozoficznych i historycznych tym razem wybiera zaskakującą, pozornie „niepoważną" formę blogu, w którym szatan spisuje kolejne swoje przedsięwzięcia prowadzące do władzy nad światem ludzkich dusz. W miarę lektury śmiech, który być może z początku czytelnika ogarnie, z wolna zamiera. Szatan notuje w blogu słowa, którymi rzekomo zwrócił się do Zbawiciela: „Na nic twoja męka i krzyż. Nikt nie będzie o tobie pamiętał. Dawno temu założyliśmy się o Hioba, wygrałeś. Na krzyżu wygrałeś. Do trzech razy sztuka, powiedziałem. Szlus teraz".

I oto przesuwają się upiorne obrazy destrukcji chrześcijańskiej cywilizacji, której w minionym stuleciu dokonali sami ludzie. Czy jednak rzeczywiście sami? „Zbliża się najważniejszy moment w historii świata. Nieubłaganie nadchodzi moje zwycięstwo. Zaczynam więc robić notatki z moich działań, aby służyły pomocą w diabelskich uczelniach. To jest blog wszech czasów. [...] idziemy do boju nie po to, żeby było jak dawniej. Zanim pojawiła się małpa zwana człowiekiem". Nienawiść do rodzaju ludzkiego wynika z zawiści, że Bóg pokochał nie szatana, lecz stworzonego na swój obraz i podobieństwo człowieka, któremu dał szansę wiecznego życia w rajskim Jeruzalem.

Chyba tylko istnieniu diabelskiej reżyserii można przypisać trudny do wytłumaczenia proces człowieczej samozagłady w XX w. Metodą szatana jest wykorzystywanie ludzkich słabości, odwracanie pojęć i zachowanie anonimowości. Sobór Watykański II, który przyniósł rezygnację Kościoła z przyjętego przed setkami lat stanowiska w wielu kluczowych sprawach, w poprzedniej książce Pawła Lisickiego („Dogmat i tiara") był przedmiotem obszernej, krytycznej analizy, tu wraca w iście szatańskim blogu. Hierarchowie i teologowie przestają wierzyć w istnienie demonów, a z czasem również – w samego Boga. W ponad 30 rozdziałach widzimy etapy destrukcji – z niszczeniem wiary, tradycji, podstawowych więzów międzyludzkich, z zabijaniem nienarodzonych dzieci nazywanym prawem do wolności, z komunizmem niosącym – zamiast równości i szczęścia – ludobójstwo.

Szatan tak sumuje pod koniec raporty napływające od wysyłanych na cały świat diabłów: „Niszczę naturę i szerzę chaos. Z mężczyzn robię zniewieściałych gejów, z kobiet smutne lesby. Z jednych i drugich płynne obojnaki, hermafrodyty rozpaczy. Odbieram rodzicom radość, a dzieciom niewinność. Krzewię pożądanie i rozkosz, tak by nie byli zdolni miłować i czcić. Starców pogrążam w samotności i zachęcam do śmierci, a w młodych budzę pragnienie pozbycia się ich...". Smutny to obraz. Ale prawdziwy. W przewrotnym monologu księcia ciemności jaśniej to widać, być może, niż w „poważnej", konserwatywnej publicystyce. Nie zdradzę tu epilogu, powiem tylko, że nieodżałowanej pamięci Jean Raspail też nie pozostawił profetycznego „Obozu świętych" bez podnoszącego jednak na duchu zakończenia. ©℗

Maciej Rosalak



PAWEŁ LISICKI
„SYSTEM DIABŁA. BLOG Z PIEKŁA RODEM"
FRONDA

eprasa.pl 253b1c906f

Sprany mózg i pusty żołądek

Ludziej u nas mnogo". Oto dewiza dowództwa Armii Czerwonej. Na czele z samym głównodowodzącym generalissimusem Józefem Stalinem. Życie szeregowego żołnierza nie miało dla sowieckich komandirów najmniejszej wartości. Sprawiało to, że Armia Czerwona podczas drugiej wojny światowej ponosiła wręcz kolosalne straty.

Czerwoni dowódcy – prawdziwi dyletanci sztuki wojennej – rzucali masy sołdatów wprost pod karabiny maszynowe Niemców. Często na trzech ludzi przypadał jeden karabin. Ocalały podnosił z ziemi broń poległego. Żołnierze przed samobójczymi szturmami byli pojeni wódką. O wycofaniu się nie było mowy, bo za plecami nacierających posuwały się oddziały zaporowe NKWD. Krok w tył – kula w łeb.

Koszmar rozgrywał się nie tylko na polu bitwy. Żołnierze Armii Czerwonej w koszarach i w okopach byli szykanowani przez swoich dowódców. Dawano im głodowe racje żywnościowe, stare, dziurawe mundury i popsuty sprzęt. Wszędzie czaili się donosiciele i oprawcy ze Smierszu, którzy bezwzględnie tropili „wrogów ludu" w szeregach wojska.

Tragedię młodych ludzi, którzy zostali wcieleni do sowieckiego wojska w latach 1941–1945, przedstawia przejmująca książka „Wańka trep" Aleksandra Szumilina. Autor był frontowcem i w swoich wspomnieniach przedstawia prawdziwy, a nie propagandowy obraz Wielkiej Wojny Ojczyźnianej.

System komunistyczny, który miał być systemem powszechnej równości, w rzeczywistości był systemem powszechnej niesprawiedliwości. Bolszewiccy politrucy, aparatczycy i inni dekownicy żyli jak pączki w maśle.

„Od sytych i zadowolonych z życia pułkowych naczelników do wszawych tyłowników o nalanych mordach – wszyscy żywili się kosztem żołnierzy z okopów.

– Po co napychać brzuchy żołnierzom?

– Rani się w brzuch, zaraz zakażenie krwi się zrobi.

– Transzeje zasrają łachudry tak, że potem nie da się oddychać!

Żołnierz powinien mieć sprany mózg i pusty żołądek!".

Pasjonująca i jednocześnie bezbrzeżnie smutna książka. Ale – tak było. ©℗

Piotr Zychowicz



ALEKSANDER SZUMILIN
„WAŃKA TREP"
FUNDACJA HISTORIA.PL

Niemcy, zbrodnie i sąd

Sądy komunistycznej Polski skazywały na śmierć nie tylko Żołnierzy Wyklętych i innych polskich patriotów. Wśród straconych byli m.in. Amon Göth, zbrodniarz ukazany przez Stevena Spielberga w „Liście Schindlera", i Joseph Bülher, prawa ręka Hansa Franka, uczestnik konferencji w Wannsee. 21 lipca 1946 r. na stoku poznańskiej cytadeli, w ostatniej publicznej egzekucji w Polsce, przy wiwatach tysięcy ludzi powieszono namiestnika kraju Warty Arthura Greisera. Czy te procesy były uczciwe? Kim byli sędziowie? Jak zachowywali się podsądni? Co sądziła opinia publiczna? Odpowiedzi – w pasjonującej monografii IPN. ©℗ ***Piotr Zychowicz***



JOANNA LUBECKA
„NIEMIECKI ZBRODNIARZ PRZED POLSKIM SĄDEM"
IPN



JERZY ALTER
„POWSTANIE"
REBIS

ZWYCIĘSKIE POWSTANIE

Od 27 grudnia 2021 r. obchodzimy Narodowy Dzień Zwycięskiego Powstania Wielkopolskiego. To dobry krok, bo naród powinien czcić swoje zwycięstwa, a nie klęski. Tematykę zrywu Wielkopolan przybliża tymczasem wciągająca powieść „Powstanie" pióra Jerzego Altera. Ludzkie losy na tle wielkiej historii. Czyta się świetnie. ©℗ ***(p.z.)***



TOMASZ DANILECKI
„SYBERYJSKA GORĄCZKA"
MUZEUM PAMIĘCI SYBIRU

SYBERIA – ZIEMIA OBIECANA

Syberia stała się celem i marzeniem wielu polskich chłopów na przełomie wieków XIX i XX. Otrzymywali tam dużo więcej ziemi, niż posiadali, ułatwienia i przywileje od władz carskich. Przed pierwszą wojną światową istniało na Syberii prawie 60 polskich wsi. Ich mieszkańcy stali się w 1937 r. ofiarami „akcji polskiej" NKWD. Dziś ludność siedmiu wsi wciąż przyznaje się do polskich korzeni. ©℗ ***(t.s.)***

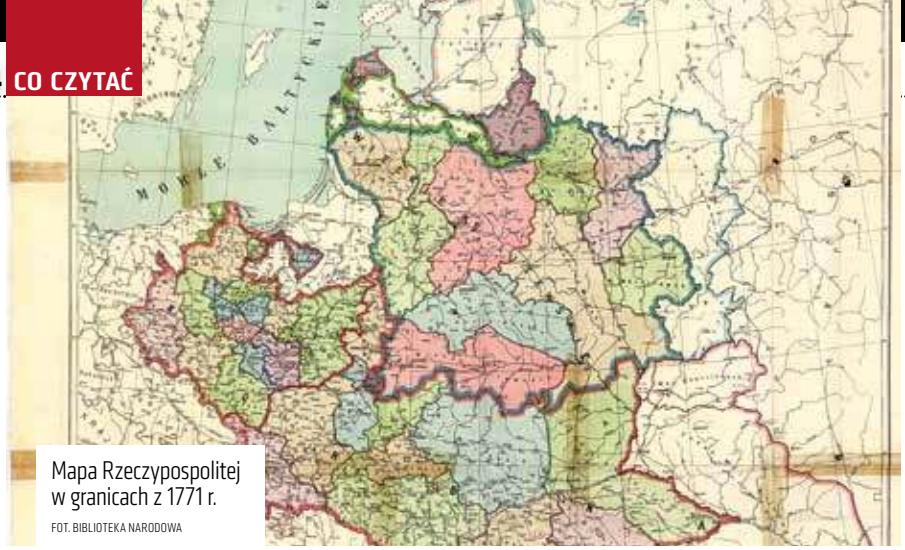


JOHN MAXWELL COETZEE
„PÓŹNE ESEJE (2006–2017)"
KARAKTER

OD DEFOE DO HERBERTA

Ostatnie eseje literackie noblisty z 2003 r. (RPA) zawierają – obok analiz literackich, filozoficznych i psychologicznych – także frapujące strzępy historii. Spotykamy np. kalwinistę Daniela Defoe zakutego w dyby w anglikańskiej Anglii i ucisk Zbigniewa Herberta w PRL. Samuela Becketta – piszącego po francusku i tłumaczącego swe teksty na angielski. Zapiski wodza mieszańców namibijskich Witbooia w walce z Niemcami (początek XX w.)... ©℗ ***(m.r.)***

eprasa.pl 253b1c906f



Mapa Rzeczypospolitej w granicach z 1771 r.
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Polska między morzami

Eugeniusz Romer jest znany kilku pokoleniom Polaków jako autor szkolnych atlasów. Ten wybitny geograf i kartograf służył swoją wiedzą podczas konferencji pokojowej w Wersalu, gdzie decydowała się także sprawa polskich granic. „Pisma geopolityczne" Romera zawierają zbiór jego tekstów poświęconych właśnie geopolityce i wpływie warunków geograficznych oraz ukształtowaniu powierzchni Ziemi na dzieje państw oraz narodów.

Uwagę zwraca w tym tomie polemika Eugeniusza Romera z Wacławem Nałkowskim, który uważał, że Polska nie ma określonego, właściwego sobie charakteru fizyczno-geograficznego, a wręcz przeciwnie – ma charakter przejściowy. To zaś decyduje o niestabilności i przejściowości kolejnych polskich państwowości. Wpływa na to również „płaski ustrój powierzchni" – niedający mniejszym państwom i narodom oparcia geograficznego – na którym toczą się zacięte walki, a słabsze, mniej wytrwałe narody znikają.

Romer polemizował z Nałkowskim, uznał, że jego „gmach myśli zbudowany jest na rozpaczy". Wywodził, że Polska ma jak najbardziej uzasadnienie w budowie fizycznej Europy („podstawy przyrodzone"), a ziemie polskie są silnie spojone naturalnym drogami dolin rzek.

Wskazywał, że układ rzek determinuje osadnictwo i ekspansję terytorialną: „Wisła, swym Sanem i Narwią, prze ku Rusi Czerwonej i na Polesie, zaprasza do unii z Litwą". Oba te kierunki ekspansji zmierzały ku morzom. Romer zaś twierdził, że każde państwo dąży ku morzu jako otwartej drodze na cały świat.

Romer nie zgadzał się z tezą Nałkowskiego, że Polska jest geograficzną krainą przejściową między Europą Zachodnią a Wschodem (Rosją). Uważał natomiast, że Polska ma położenie pomostowe, lecz na innym kierunku. „Polska przeznaczona jest na to, by być pośrednikiem między morzami północy i południa, pomiędzy Bałtykiem a Morzem Czarnym. Jeśli się tak nie stanie, to będzie jedynie państwem buforowym o słabej budowie i zależnym od obcych mocarstw". Nie można, czytając tych słów Romera, pisanych wiele dziesięcioleci temu, nie myśleć o współczesnej inicjatywie Trójmorza, bloku państw tworzących pomost pomiędzy krajami północy i południa Europy Środkowej. I o tym także, że jeśli nie uda się jej zrealizować, to wszystkie one będą zmarginalizowane w polityce europejskiej. ©℗ *Tomasz Stańczyk*



EUGENIUSZ ROMER
„PISMA GEOPOLITYCZNE"
WYDAWNICTWO NOWEJ KONFEDERACJI

Sekrety wielkich artystów

Jeśli książka nosi tytuł „Wielkie sekrety arcydzieł sztuki", to ujawnienie ich w jej omówieniu pozbawiłoby czytelników przyjemności z lektury. Wystarczy zatem powiedzieć, że autorzy biorą pod lupę dzieła takich twórców jak Edvard Munch, Antoni Gaudi, Vincent van Gogh, Hieronim Bosch, Sandro Botticelli, Stanisław Wyspiański. Katedra w Barcelonie, powstająca od ponad 100 lat według projektu Gaudiego, to jedna z najbardziej fascynujących budowli świata. Dlaczego architekt postanowił, że będzie o pół metra niższa niż wzgórze, z którego czerpano kamień na budowę? Czy Hieronim Bosch malował „Ogród rozkoszy ziemskich" pod wpływem środków psychoaktywnych? A może to, co pokazał na tym obrazie, miało związek z jego udziałem w sekcie?

Mało kto wie, że słynna chińska terakotowa armia znajduje się w ukrytej we wzgórzu piramidzie-grobowcu cesarza Qin Shi. Dlaczego władze chińskie nie pozwalają archeologom zajrzeć do jej wnętrza? Czy boją się klątwy? Otton III podczas wizyty w Gnieźnie wręczył Bolesławowi Chrobremu kopię włóczni św. Maurycego. A może także podarował mu złoty tron Karola Wielkiego? A jeśli tak, to być może jest on ukryty gdzieś w Polsce, w Gieczu lub na Ostrowie Lednickim. Na te i wiele innych fascynujących pytań odpowiadają autorzy książki. ©℗ *(t.s.)*



JOANNA ŁENYK-BARSZCZ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ
„WIELKIE SEKRETY ARCYDZIEŁ SZTUKI"
FRONDA

eprasa.pl 253b1c906f

Zbrodnie Selbstschutzu

W cieniu Einsatzgruppen" przybliża działalność Volksdeutscher Selbstschutz w latach 1939–1940, czyli niemieckich formacji paramilitarnych złożonych z volksdeutschów zamieszkujących Pomorze, Wielkopolskę, Śląsk i centralną Polskę. Zbrodnie przez nie popełnione są główną kanwą wspomnianej pracy. Spośród zaprezentowanych w niej tekstów najciekawszy wydaje się artykuł dr. Grzegorza Bębnika, przedstawiający działalność Selbstschutzu, a w zasadzie niemieckich jednostek nieregularnych, występujących pod różnymi nazwami na Górnym Śląsku.

Autor zwrócił uwagę, że pierwsze egzekucje w Katowicach miały miejsce 4 września 1939 r., a więc w dniu zajęcia miasta przez Niemców. Wtedy też doszło do ostrzelania wkraczających do górnośląskiej stolicy żołnierzy Wehrmachtu, a wraz nimi – wiwatujących na ich cześć – niemieckich cywilów. O otworzenie ognia z karabinu maszynowego oskarżono wówczas Józefa Olejniczaka, właściciela drogerii usytuowanej przy ul. Mickiewicza 8. W konsekwencji rzekomy sprawca został natychmiast rozstrzelany. Miejscem licznych egzekucji w Katowicach było podwórze znajdujące się przy ul. Zamkowej 5. Rezydował tam w lokalu na parterze w Wyszynku Wódek i Piwa pochodzący z Zabrza funkcjonariusz NSDAP i agent Abwehry Ewald Wulfen. I to on najpewniej kierował dokonywanymi przez członków Sonderformation Ebbinghaus rozstrzeliwaniami. Tego dnia zginęło co najmniej 16 osób (liczba zarejestrowanych z różnych przyczyn zgonów tego dnia wynosiła 30).

Innym miejscem, gdzie doszło do równie tragicznych wydarzeń jak w Katowicach, było miasteczko Orzysz. 3 września 1939 r. przechodząca przez nie kompania sanitarna z 28. Infanterie Division zwróciła się o zgodę na podpalenie domów, z których w kierunku jednostki padły strzały. Oficer sztabu VIII Korpusu ppłk Bernhard Steinmetz nie wyraził na to zgody. Do zaprowadzenia „porządku" skierowano do Orzysza pododdział Sonderformation Ebbinhaus pod dowództwem Hansa Ramdohra. Przy pomocy miejscowych Niemców dokonano selekcji zatrzymanych polskich mężczyzn. Ostatecznie następnego dnia 23 z nich zostało rozstrzelanych w lesie zwanym Pasterniokiem.

Jeszcze bardziej makabryczny wymiar miały wypadki, które rozegrały się w Nowym Bytomiu, gdzie przybył oddział pod wodzą funkcjonariusza SA z Gliwic, Karla Rollego. Jego grupa zaczęła 4 września 1939 r. „oczyszczać" teren miasta z powstańców. Sztab oddziału ulokowany został w gospodzie u Wiktora Boryczki, a w piwnicy stworzono areszt dla zatrzymanych. Do nadzoru nad nimi wyznaczono zbiegłego do Niemiec przed wojną Emanuela Donitzkę, kilkakrotnie w przeszłości karanego za kradzieże. Piwnica gospody za jego sprawą przemieniła się w katownię.

Po południu 8 września przed oblicze Donitzki trafił były powstaniec Herman Kubica. Niemiec na początku bił go pałką, a potem tłukł go po głowie cegłówką, w wyniku czego Kubica poniósł śmierć. Podniecony wypitym alkoholem Donitzka scyzorykiem rozpruł swej ofierze brzuch i wyciągnął fragmenty wnętrzności. Tę makabryczną „zabawę" kryminalisty zakończył przybyły oficer Freikorpsu. Krwawe wyczyny Donitzki nie znalazły uznania w oczach katowickiego sądu specjalnego, przed którym stanął w 1940 r: „Krwawy czyn oskarżonego na więźniu Kubicy został popełniony z tak nieludzką surowością i okrucieństwem, że nie wymaga bliższego wyjaśnienia to, iż jest on w najwyższym stopniu odrażający". Sondergericht Kattowitz skazał Donitzkę na karę śmierci, którą wykonano. Na terenie Górnego Śląska w ostatnich miesiącach 1939 r. w egzekucjach śmierć poniosły 383 osoby. ©℗

Arkadiusz Karbowiak



GRZEGORZ BĘBNIK
„SELBSTSCHUTZ NA GÓRNYM ŚLĄSKU"
Z TOMU: „W CIENIU EINSATZGRUPPEN. VOLKSDEUTSCHER SELBSTSCHUTZ W OKUPOWANEJ POLSCE 1939–1940"
WYDAWNICTWO IPN

HISTORYCZNE BITWY

Zaolzie

Znaczną część polskiego w większości Śląska Cieszyńskiego – wbrew umowie z miejscowymi Czechami o plebiscycie – straciliśmy po zdradzieckim uderzeniu wojsk czeskich (1919) i dyktacie aliantów podczas konferencji w Spa (1920), gdy Tuchaczewski parł na Warszawę. Przypomnieniu tej sprawy posłużył ogromny dorobek śp. prof. Marka Kazimierza Kamińskiego. Jednak prawdy nigdy za dużo. To dobrze, że Bellona przypomina przebieg walk, użyte siły, alianckie wsparcie dla rządu w Pradze. Również francuskie, choć przywykliśmy uważać, że Francja w tym czasie (powstanie wielkopolskie, potem śląskie!) pomagała tylko nam. Autor krytykuje dowództwo skromnych sił rodzącej się polskiej siły zbrojnej za braki naszego wojska pod Cieszynem. Jak gdyby zapomina, że kto mógł, to już walczył: z Ukraińcami o Lwów, z Niemcami o Wielkopolskę, a od początku stycznia 1919 r. z bolszewikami o Wilno.

Jesienią 1938 r. odebraliśmy sąsiadom Zaolzie podczas ich monachijskiej tragedii, kierując do nich osobne ultimatum i organizując demonstrację zbrojną. Autor – poza tym bardzo krytyczny wobec władz RP – słusznie podkreśla pominięcie Polski podczas konferencji monachijskiej oraz pokojowe stany kilku jednostek WP wysłanych za Olzę. Polska opinia publiczna (w tym A. Bocheński, Cat-Mackiewicz i W. Studnicki) jednomyślnie chwaliła ministra Becka za wyrównanie krzywdy wyrządzonej nam 20 lat wcześniej. Wszystko odbyło się lege artis (jak wtedy w Spa), ale odium – podsycane przez rzeczywistych winowajców na Zachodzie – pozostało. ©℗ ***Maciej Rosalak***



LECH WYSZCZELSKI
„ZAOLZIE 1919, 1938"
BELLONA

eprasa.pl 253b1c906f

Geopolityka / Okupanci kontra terroryści



Jacek Bartosiak



Piotr Zychowicz



RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

Czy Izrael przetrwa na Bliskim Wschodzie

eprasa.pl 253b1c906f

Żydzi nadal mają przewagę technologiczną nad Palestyńczykami. Arabów jest jednak znacznie więcej, są zmotywowani i coraz bogatsi

PIOTR ZYCHOWICZ: Kiedy to się zaczęło?

JACEK BARTOSIAK: W 1948 r. Wtedy ład na Bliskim Wschodzie został znacząco zmieniony. Mam oczywiście na myśli proklamację niepodległości Dawida Ben Guriona i powstanie państwa Izrael. Początkowo bardzo słabego, wycinkowego, bardzo biednego. Otoczonego przez morze wrogich państw, narodów i ludów. Od tej pory trwa nieustająca wojna między Izraelczykami a Palestyńczykami o przestrzeń życiową. Nie będę udawał, że umiem rozstrzygnąć, kto ma rację w tym konflikcie.

No cóż, obie strony – jak zawsze w wypadku wojen – mają swoje racje. Jest to klasyczny konflikt o ziemię, bo państwo Izrael powstało przecież kosztem ludności palestyńskiej. Aby mogły powstać izraelskie miasta i kibuce, Żydzi wypędzili setki tysięcy Arabów.

To sprawia, że ten konflikt jest nierozwiązywalny. To jest gra o sumie zerowej. Amerykanie w 2003 r. uruchomili kaskadę zdarzeń, które doprowadziły do destabilizacji regionu. Ale do tej gry natychmiast zasiedli inni. Bliski Wschód destabilizują wzrastające w siłę Turcja i Persja, ale również Rosjanie, w ostatnich latach niezwykle aktywni w tej części świata. Izraelczycy, którzy mają bardzo małe państwo, by zapewnić sobie bezpieczeństwo, również destabilizują swoje otoczenie, w tym strefy buforowe: południowy Liban, Synaj, Strefę Gazy i Wzgórza Golan. Także w Syrii wciąż panuje chaos – zdestabilizowana strefa sięga tam niemal do Damaszku. Przez długi czas Izrael kontrolował Jordanię, a są tacy, którzy twierdzą, że za pośrednictwem swych tajnych służb kontroluje Jordanię do dziś.

Tu muszę zaprotestować w imieniu jordańskiego monarchy króla Abdullaha II. On tak łatwo kontrolować się nie da [śmiech]. Izraelsko-jordańska współpraca wywiadowcza to fakt, ale ten układ opiera się na pragmatycznej wspólnocie interesów. Wróćmy jednak do początków Izraela…

Żydzi przyjeżdżali na Bliski Wschód w ramach kolejnych fal osadniczych od końca XIX w. Wspomniany Ben Gurion przyjechał jeszcze przed pierwszą wojną światową. Na początku stanowili skromną mniejszość i byli raczej biedniejszymi mieszkańcami tego obszaru, który nazywamy Palestyną.

Dodajmy mały rys historyczny: Palestyna przez stulecia należała do imperium osmańskiego. Po pierwszej wojnie światowej – w której Turcja wzięła udział po stronie państw centralnych – jej posiadłości zostały podzielone przez zwycięskich aliantów. Palestyna, w formie terytorium mandatowego, przypadła Wielkiej Brytanii.

Ale to było rozwiązanie tymczasowe. Do terytorium tego rościli sobie bowiem prawo zarówno Żydzi, jak i Arabowie, którzy żyli tam obok siebie. I żyją obok siebie do dziś. Bo nie wszyscy Arabowie uciekli lub zostali wypędzeni. Ktoś, kto był w Tel Awiwie, wie, że jeśli się przejść plażą na południe, to dociera się do Jaffy, a to jest miasto arabskie.



RYS. JACEK GRAMBURG

To samo w Jerozolimie. Miasto jest podzielone na pół. W Jerozolimie Zachodniej mieszkają Żydzi, w Jerozolimie Wschodniej – Arabowie. Dopiero potem jest mur i zaczyna się Zachodni Brzeg Jordanu.

Gdy w 1948 r. doszło do proklamowania państwa żydowskiego, Żydów było po prostu mniej. Byli biedniejsi, bardzo słabo uzbrojeni. Na dodatek przeciwnikami Żydów w okresie powstawania państwa byli nie tylko Arabowie, lecz także Brytyjczycy. Podziemne organizacje niepodległościowe przeprowadzały zamachy terrorystyczne wymierzone w żołnierzy brytyjskich. Najsłynniejszy i najbardziej krwawy z nich to wysadzenie hotelu King David w Jerozolimie w lipcu 1946 r. Zginęło wtedy 91 osób.

Tak, Irgun i Lechi, potocznie zwana Gangiem Sterna. Te dwie podziemne grupy rzeczywiście były ekstremistyczne i terrorystyczne. Wywodziły się z ruchu syjonistyczno-rewizjonistycznego, którego spadkobiercą jest partia Likud wielokrotnego premiera Beniamina Netanjahu. Prowadzi to do osobliwego paradoksu. Otóż izraelska prawica uważa wspomniane zamachy terrorystyczne za słuszne, a ich sprawców za bohaterów narodowych i męczenników. Jednocześnie zaś takie same zamachy dokonywane obecnie przez Hamas uważa za akty „azjatyckiego barbarzyństwa dzikich Arabusów". Jak widać, punkt patrzenia zależy od punktu siedzenia.

Tak jest. Pamiętajmy, że Niemcy o żołnierzach polskiej konspiracji niepodległościowej też mówili jako o bandytach i terrorystach. Z kolei Rosjanie mówili tak o Czeczenach…

… a Amerykanie o Irakijczykach i Afgańczykach. Oczywiście tylko wtedy, kiedy Afgańczycy podkładali bomby Amerykanom. Bo wcześniej – gdy podkładali bomby Sowietom – Amerykanie uważali ich za bojowników o wolność.

To wszystko były konflikty asymetryczne. Terror jest po prostu bronią słabszego używaną wobec silniejszego. Tak jest od zawsze, jak świat światem. Żydzi zresztą stosowali te metody, i to skutecznie, już przeciw armii rzymskiej w I stuleciu. Od tego zaczęła się przecież cała historia z wypędzeniem Żydów z Ziemi Obiecanej, z Jerozolimy. Mowa o wojnie żydowskiej, którą tak pięknie opisuje Józef Flawiusz. Nawiasem

eprasa.pl 253b1c906f



Izraelski patrol na terenie Autonomii Palestyńskiej, 2002 r. FOT. WIKIPEDIA

mówiąc, to niesamowita książka, pełno w niej niebywałych szczegółów. Jeden z nich sprawdziłem po dwudziestu wiekach, gdy przyjechałem do Jerozolimy. Okazało się, że Józef Flawiusz precyzyjnie opisał pewne schodki w Świętym Mieście. Wracając do meritum: profesjonalne armie zawsze uznają walczących z nimi amatorów za terrorystów.

Dla mnie sprawa jest prosta. Bojownikiem o wolność jest ten, kto zabija żołnierzy wroga. Terrorystą jest ten, kto zabija niewinnych cywilów. Dla izraelskiej prawicy terrorystą jest zaś ten, kto zabija Żydów. To dość specyficzna logika.

Gdy już wspomniałeś o Irgunie, warto przypomnieć, że szef tej organizacji, Menachem Begin, to przecież dezerter z armii gen. Andersa. Armia ta bowiem po opuszczeniu Związku Sowieckiego przez Iran dotarła do Palestyny. I tam część żołnierzy żydowskiego pochodzenia nagle się ulotniła i wsiąkła w struktury miejscowego podziemia.

Formalnie Begin zdezerterował, ale Anders tak naprawdę przymknął na to oko. Pozwolił żydowskim żołnierzom opuścić szeregi i przystąpić do syjonistycznej konspiracji. I słusznie – nic na siłę.

Irgun ma pewne zasługi. Ale warto pamiętać, że w czasie wojny o niepodległość Izraela w 1948 r. organizacja ta dopuściła się czynów, które doprowadziły do wspomnianego przez ciebie wielkiego exodusu ludności arabskiej z obszaru, który obecnie zajmuje Izrael. Do tej pory te masakry arabskich wiosek – najgłośniejsza miała miejsce w Dajr Jasin – są przedmiotem dyskusji historyków. Czy to było celowe czy niecelowe? Czy chodziło o to, żeby przestraszyć resztę Arabów i skłonić ich do ucieczki, żeby zrobili miejsce dla Żydów? Zresztą Menachem Begin był premierem w czasie inwazji na Liban w 1982 r. i wówczas doszło z kolei do wielkiej masakry w obozach dla palestyńskich uchodźców, w Sabrze i Szatili.

Tak, to było wielkie ludzkie nieszczęście. Mordercami byli chrześcijańscy bojówkarze z paramilitarnej „Falangi", ale do masakr doszło za przyzwoleniem izraelskiego wojska, które kontrolowało teren.

Historia Izraela – tak jak każdego państwa, ze Stanami Zjednoczonymi włącznie – zawiera rozmaite opowieści, także obrzydliwe z punktu widzenia słuszności, moralności. Ale wielka polityka i geopolityka oczywiście nie kierują się takimi prawidłami i nasze rozmowy tego nie zmienią. Takie są po prostu strukturalne zasady, tak to się właśnie odbywa.

Oczywiście, nie zmienimy tego. Ludzie mordowali swych bliźnich od zarania wieków. Przemoc jest naturalnym elementem polityki. Ale należy o tym wszystkim mówić otwarcie, bez przemilczeń i cenzury. A nie udawać, że są na świecie państwa, które kierują się wyłącznie dobrem i wzniosłymi ideałami. Liczą się tylko interesy.

Izrael jest w tym bardzo skuteczny. W 1948 r., mimo dysproporcji sił, wygrał wojnę o niepodległość. Potem przyszedł rok 1956 i wojna z Egiptem o Kanał Sueski, ciężkie zmagania na wyczerpanie na półwyspie Synaj. Później wojna sześciodniowa w 1967 r. Spektakularne, błyskawiczne zwycięstwo Izraelczyków nad Egiptem, Jordanią i Syrią. Nawiasem mówiąc, to bardzo pouczająca lekcja dla Polaków. Izrael był wówczas znacznie słabszy od swych arabskich sąsiadów. Teraz państwo żydowskie ma oczywiście nad Arabami znaczącą przewagę w drabinie eskalacyjnej, w rozwoju technologicznym. Tak jednak nie było w 1967 r. Wówczas miało znaczącą niedowagę liczebną i wyjątkowo niekorzystny przebieg granic. Ale zaatakowało z zaskoczenia. Miało lepsze dowodzenie, lepszy pomysł, inicjatywę. Żołnierz izraelski był lepiej wyszkolony niż arabski. Rok 1967 to był wielki triumf izraelskiej sztuki wojennej. Ale – z drugiej strony – wtedy też zaczęły się te problemy, od których zaczęliśmy dzisiejszą rozmowę. W wyniku tej wojny Izrael zajął bowiem to, co dziś nazywane jest „terytoriami okupowanymi". Zachodni Brzeg Jordanu, wschodnią Jerozolimę, Wzgórza Golan i Strefę Gazy. Od tego zaczęła się ta nowa, „imperialna" epoka w dziejach Izraela.

Rok 1967 to również przełom w psychice Izraelczyków.

Izrael z dnia na dzień stał się siłą okupacyjną. Poborowi izraelskiej armii (wtedy służba wojskowa trwała trzy lata dla mężczyzn i dwa dla kobiet) nagle znaleźli się w zupełnie nowej roli. Do tej pory byli armią „bojowników o wolność", wzorowaną na armii żydowskich powstańców walczących z Rzymianami w I w. Przecież przysięgę na wierność państwu Izrael żołnierze składają w Masadzie. Raptem nastał rok 1967 i Izraelczycy znaleźli się w sytuacji moralnie dwuznacznej. Stali się okupantami, a nie ofiarami.

Wspomniałeś, że dużo rozmawiałeś ze starymi Izraelczykami. W jakich okolicznościach?

Tu muszę wprowadzić wątek osobisty. Otóż w latach 90. i później wielokrotnie spędzałem wakacje w Izraelu. Wynikało to z tego, że moja prababcia w czasie wojny uratowała Żydówkę i miała tytuł Sprawiedliwej wśród Narodów Świata. Jedna z sióstr tej uratowanej pani wyjechała jako osadniczka do Palestyny jeszcze przed wojną. Mieszkała w kibucu między Afulą i Tyberiadą. Spędzałem więc mnóstwo czasu z lewicowymi Żydami. To był klasyczny socjalistyczny kibuc ze wspólną własnością środków produkcji, ze wspólnymi posiłkami. Rozmawiałem zarówno ze starymi Izraelczykami, jak i młodymi ludźmi, którzy akurat szli do wojska. Dręczyło ich napięcie moralne związane z rolą, którą Izrael odgrywał na Zachodnim Brzegu Jordanu.

eprasa.pl 253b1c906f



Milicjanci Hamasu podczas parady w Gazie

FOT. MAHMUD HAMS/GETTYIMAGES

Od 1967 r. minęły już 54 lata. A więc terytoria palestyńskie znajdują się pod okupacją Izraelczyków od ponad pół wieku! Cały czas napływają tam nawiedzeni żydowscy osadnicy ze Stanów i budują sobie otoczone drutem kolczastym domy. Najlepszym przykładem jest Hebron, gdzie garstka fanatyków religijnych żyje w twierdzy wciśniętej w wielkie arabskie miasto. Z każdym dniem, tygodniem, miesiącem i rokiem konflikt ten staje coraz bardziej nierozwiązywalny. Mówiłeś o asymetryczności tego konfliktu. Tę asymetryczność jaskrawo było widać podczas zeszłorocznej wymiany ognia między Izraelem a Hamasem. Zginęło 15 Izraelczyków i kilkuset Palestyńczyków.

To wynika z przewagi technicznej Izraela nad Palestyńczykami. Mówiliśmy o masakrach w Libanie, mówiliśmy o osadnikach, którzy przemocą zabierają ziemię na Zachodnim Brzegu Jordanu. Dodajmy do tego słynny mur, który Izraelczycy zbudowali na granicy z terytoriami palestyńskimi. Ten mur wygląda strasznie. Izraelczycy zresztą zdają sobie z tego sprawę i dlatego nazywają go security fence, „ogrodzenie ochronne", żeby nie kojarzył się z murami gett żydowskich. Klasyczna hipokryzja. Światem rządzi siła i Izrael tę siłę ma. Ale jest ona relatywna. I ta relatywność przejawia się oczywiście w bilansie ofiar przy kolejnej wymianie ciosów między Hamasem a Izraelem. Izraelczycy zdają się kontrolować tę drabinę eskalacyjną…

Ale…

… ale nie jestem pewien, czy w perspektywie długofalowej Izrael rzeczywiście wygrywa. Należy spojrzeć szerzej – na zmianę sytuacji na Bliskim Wschodzie. Iran coraz pewniej zmierza ku broni atomowej, Turcja jest coraz potężniejsza. W regionie pojawiają się Chińczycy. Amerykanie zaś, główny gwarant istnienia Izraela, drastycznie słabną. Do tego płonie Syria, bezpośrednie przedpole Izraelczyków. Używając polskiego porównania, to tak, jakby u nas płonęła Białoruś. Gdyby Izrael nie kontrolował Wzgórz Golan, to ten chaos, przemoc wojny domowej, już dawno by się rozlał na jego terytorium. Wszystkie te czynniki sprawiają, że Izrael tak naprawdę jest w głębokiej defensywie. Mimo swojej supertechniki to jest naprawdę mały kraj, w którym nie ma głębi strategicznej. Nie ma dużego potencjału demograficznego. Można mieć supernowoczesną broń, ale w ostatecznym rozrachunku na Bliskim Wschodzie rządzą ludzie. To oni podejmują decyzje. Hamas ma poparcie ludzi. I dlatego, mimo że na papierze jest znacznie słabszy niż Izraelskie Siły Obronne (IDF), od wielu lat skutecznie prowadzi swoją walkę. A co gorsza, na niekorzyść Izraela działają potężne siły strukturalne.

Na koniec pytania o przyszłość: Czy można wiecznie trzymać za gardło sąsiadów? Czy można wiecznie żyć w oblężonej twierdzy, w permanentnym konflikcie? Jakie są twoje przewidywania na temat przyszłości Izraela? Czy Izrael przetrwa na Bliskim Wschodzie czy też będzie krótkim – w skali dziejów świata – fenomenem?

Trendy są dla Izraela bardzo niekorzystne. Przede wszystkim z powodu demografii oraz działania sił strukturalnych. Po prostu mocarstwa Bliskiego Wschodu – takie jak Turcja czy Iran – są od niego znacznie potężniejsze. Do tego dochodzi zbrojąca się po zęby Arabia Saudyjska. Chociaż nam się wydaje, że Izrael jest potężnym państwem, to wcale tak nie jest. Ma mniejsze PKB niż Polska. Teraz Izraelczycy są górą, bo wciąż mają przewagę technologiczną. Ale jak będzie jutro? Wystarczy spojrzeć na mapę. Izrael naprawdę znajduje się w arabskim morzu.

A państwa arabskie rosną w siłę. Tam, gdzie 30 lat temu pasły się wielbłądy, dziś w niebo strzelają drapacze chmur.

Jedyną szansą dla Izraela jest to, że będzie zręcznie nawigował w bliskowschodniej grze. Jeżeli Izrael nie będzie umiejętnie balansował swymi atutami, to może skończyć jak bliskowschodnie państwa krzyżowców, Królestwo Jerozolimskie. Dziś nam się wydaje, że to tylko epizod, ale Jerozolima była w rękach krzyżowców 200 lat. Z punktu widzenia żyjącej w tych czasach jednostki była stałym elementem pejzażu geopolitycznego. A okazało się inaczej.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



FRAGMENT KSIĄŻKI JACKA BARTOSIAKA I PIOTRA ZYCHOWICZA „NADCHODZI III WOJNA ŚWIATOWA"

WYDAWNICTWO REBIS

eprasa.pl 253b1c906f



Rafał A. Ziemkiewicz

/ Felieton

O nieistnieniu kapitalizmu

W Internecie można znaleźć taką zabawę: bierze się piosenkę w obcym języku i podpisem na dole sugeruje podobnie do oryginału brzmiący tekst z polskich słów. Polak, spoglądając na ten tekst, słyszy nie to, co w swoim języku śpiewają wykonawcy, lecz polskie słowa, które czyta. Jeśli ktoś nie wierzy, niech sprawdzi – wystarczy wrzucić w wyszukiwarkę YouTube hasło: „ukryty polski".

To tylko drobny przykład tego, jak potężna bywa siła sugestii i jak bardzo umiejętna manipulacja słowem może zwichrować nasze myślenie. Niby każdy wie, że to nie wszystko jedno, czy mówimy „życie poczęte" czy „zygota" – ale na co dzień jakoś nie pamiętamy i dajemy się wpuszczać fałszywą terminologią w ślepą uliczkę.

Historycznie chyba najbardziej dobitnym przykładem takiego oszustwa jest pojęcie „kapitalizm". Za sprawą Marksa i jego następców cały świat uwierzył, że istotą gospodarczego cudu, który w wieku XIX spowodował niespotykany nigdy wcześniej rozwój gospodarczy i cywilizacyjny, windując cywilizację europejską ponad wszystkie inne, było pojawienie się kapitału.

A przecież nic podobnego – kapitał, jego inwestowanie i szukanie zysku to zjawiska stare jak cywilizacja. A już od wieku XVII, od pierwszych teorii tzw. merkantylizmu, kapitał znalazł się w centrum polityki mocarstw. Pod tym względem wiek XIX nie przyniósł niczego nowego.

Nowością i istotą tego, co nietrafnie nazwano kapitalizmem, było pojawienie się w alokowaniu kapitałów i czerpaniu z nich zysków poważnego ograniczenia: wolnej konkurencji, której przestrzegania pilnowała władza polityczna. Dotychczas ten, kto miał kapitał, mógł czerpać takie zyski, jakie był w stanie fizycznie z konsumentów wydusić. W rozkwicie czasów nowożytnych okazało się, że nie, ponieważ zyski mógł przechwycić ktoś inny, konkurent właśnie, dostarczający ten sam towar lub usługę po niższej cenie. I nie można było go, jak w czasach dawnych, zastrzelić, powiesić albo usunąć w inny tego rodzaju sposób, trzeba było się z tym faktem pogodzić i podjąć walkę na racjonalizowanie produkcji, szukanie lepszych, innowacyjnych technologii i cięcie kosztów – także na to, kto zadowoli się zyskiem mniejszym.

Dało to skutki na dwa rodzaje błogosławione. Po pierwsze, ludzie obracający kapitałem zostali zmuszeni do wysiłku i zaspokajania potrzeb społecznych jak najtaniej i jak najlepiej. Po drugie, sam kapitał się upowszechnił, zdemokratyzował – co w końcu spotęgował wynalazek kapitału akcyjnego i giełdy jako miejsca, gdzie posiadacz oszczędności szukający dla nich najwyższego „przebicia" spotykał się z tym, kto miał na to pomysł.

Krótko mówiąc, żeby rozumieć istotę sprawy, powinno się ten system nazwać „konkurencjonizmem". Używając natomiast nazwy wymyślonej przez komunistów, nie zauważamy, że ten błogosławiony, wolnorynkowy ustrój przestał już istnieć. Bo kapitał nadal istnieje, jest alokowany i mnożony, ale wolna konkurencja, prawdziwa esencja „kapitalizmu", została niemal całkowicie zniszczona przez sojusz wielkich korporacji i władzy politycznej, która wskutek degeneracji systemu tzw. demokracji liberalnej wyrwała się spod kontroli wyborców.

/ Wolna konkurencja, prawdziwa esencja „kapitalizmu", została niemal całkowicie zniszczona przez sojusz wielkich korporacji i władzy politycznej

A skoro tak – to żyjemy w ustroju zupełnie innym, neomerkantylnym czy wręcz neofeudalnym. I nie widzimy tego, zasugerowani nazwą. ©℗

eprasa.pl 253b1c906f



Piotr Semka

/ Felieton

Uczeń czarnoksiężnika

O tej śmierci niemieckie media powiadomiły z pewnym zakłopotaniem. Klaus Rainer Röhl był kiedyś bardzo znany. Wydawane przez niego w latach 60. pismo „Konkret" było katalizatorem wybuchu rewolty studenckiej 1968 r. w Niemczech. Na „Konkrecie" wychowywało się wielu dzisiejszych szefów niemieckich mediów. A jednak informacje o śmierci niemieckiego dziennikarza sprowadzały się do stosunkowo krótkich, oględnych faktów.

Röhl był poniekąd moim krajanem. Urodził się w 1928 r. w dzisiejszej Suchej Hucie koło Przywidza – małej miejscowości w okolicach Gdańska, w której spędzałem co roku wakacje. Należał do ostatnich roczników powoływanych u schyłku wojny do służby III Rzeszy. Podobnie jak Günter Grass – inny znany gdańszczanin – ukrywał przez wiele lat mało korzystne dla siebie szczegóły swojej biografii. Dla Röhla takim wstydliwym trupem w szafie była służba w charakterze strażnika w obozie koncentracyjnym Stutthof. Sławę zyskał jednak jako niemiecki pacyfista. Przez pewien czas działał w zachodnioniemieckiej Komunistycznej Partii Niemiec, ale po jej rozwiązaniu odsunął się od komunistów. Zaczął wydawać własne pismo pod nazwą „Studentenkurier".

I wtedy zainteresowała się nim NRD-owska Stasi. Akurat doszła do niej mniej stalinowska frakcja, która zaczęła rozumieć, że lepiej zachodnie Niemcy rozkładać od wewnątrz, niż z uporem tkwić w hasłach walki proletariatu z kapitalizmem. I trzeba przyznać, że postawili na dobrego konia. Röhl był dobrym dziennikarzem. Dobrze wyczuwał nowe tendencje i w 1957 r. zakłada miesięcznik „Konkret". Lansuje akcje przeciwko broni atomowej oraz promuje pacyfizm. Röhl często wybiera się do Berlina Wschodniego, gdzie odbiera spore sumy pieniędzy na wydawanie swojej gazety. Bardzo szybko w jego redakcji pojawia się Ulrike Meinhoff, przyszła ideolożka terroryzmu, która wtedy była jeszcze jedynie rozpolitykowaną pacyfistką.

> Röhl chciał być prowokatorem, **ale gdy już rozpętał demony, przestraszył się tego, w czym brał udział**

Röhl jest chciwy, ale nie głupi. Zaczyna powoli rozumieć, że coraz głębsze uzależnienie od NRD w roli tajnego sponsora może się skończyć nie najlepiej. Ale jego zerwanie ze Stasi miało też inny powód. NRD-owcy z Berlina Wschodniego chcą coraz mocniej wpływać na teksty magazynu, a Röhl właśnie odkrył, jaką potężną siłą może być mieszanka polityki i seksu. „Konkret" zyskuje popularność u studentów odległych od lewicy dzięki fotkom roznegliżowanych panienek. Pismo podejmuje hasła rewolucji seksualnej, w ramach której obalano kolejne tabu. W 1965 r. „Konkret" ma już 100 tys. sprzedanych egzemplarzy, a dwa lata później gazeta staje się nieformalnym organem pozaparlamentarnego ruchu studenckiego APO.

Powoli też rozchodzą się drogi Karla Röhla i jego żony Ulriki Meinhoff. Po tym, jak przyłapała ona Röhla na korzystaniu z uroków swobody seksualnej, przenosi się do Berlina Zachodniego ze swoimi córkami bliźniaczkami: Reginą i Bettiną. Szybko zaczyna traktować Röhla jako tchórzliwego konformistę, a sama staje się ideolożką terroru. Zaczyna tworzyć Frakcję Czerwonej Armii. Czar „Konkretu" powoli gaśnie. Zaczynają się spory między wydawcą a redaktorem naczelnym w sprawie linii politycznej. Nagły wysyp seksu na rynku medialnym sprawia, że „Konkret" przestaje być już liderem rewolucji obyczajowej. Kolejne lata to nieudane próby Röhla powtórzenia sukcesu „Konkretu" w postaci nowych pism. Żadne nie wykroczyło poza przeciętność. Pod koniec życia został konserwatywnym liberałem. W 2010 r. jedna z córek oskarżyła go o molestowanie seksualne w dzieciństwie. Klaus Rainer Röhl uparcie zaprzeczał oskarżeniom.

Przyglądając się kolejom losu wydawcy „Konkretu", można zadumać się nad wpływem na dzieje koniunkturalistów i łowców sensacji. Röhl chciał być prowokatorem, ale gdy już rozpętał rozmaite demony, przestraszył się tego, w czym brał udział. Kontestacja studencka zamieniła się w bandycki terror, a Röhl latami żył w lęku, że zostanie sprzątnięty przez swoich dawnych kolegów z redakcji. Gdy czerpał garściami pieniądze od Stasi, miał wszystko, czego chciał. Bogate życie i wyzwolone studentki dla osobistych podbojów. A gdy już rewolucyjny czar przygasł, został niemieckim prawicowcem w nie najlepszym stylu. Tyle że gdyby niemieccy publicyści pokolenia Röhla byli uczciwi, to powinni przyznać mu, jak mocno wpłynął na światopogląd generacji '68. Röhl był jednak przede wszystkim karierowiczem. Dlatego dziś mało kto chce się do niego przyznawać. Nie wiadomo, co lepsze. Hipokryzja czy wstyd za rewolucję sprzed 50 lat? ©℗

eprasa.pl 253b1c906f



Jeremi Mohyła. Fresk w monastyrze Sucevița, ufundowanym przez Mohyłów FOT. ALAMY/BEW

1552–1631 / Między Rzecząpospolitą a Turcją

Gry o tron (2)



Tomasz Stańczyk

Grek Jan II Heraklid był pierwszym z cudzoziemców, którzy rządzili w hospodarstwie mołdawskim

Opozycja bojarów wobec Stefana VI – drugiego syna Piotra Raresza – którego podejrzewali o chęć ściślejszego uzależnienia hospodarstwa od Turcji, spowodowała, że szukali przeciw niemu pomocy u hetmana polnego koronnego Mikołaja Sieniawskiego. Zwłaszcza że byli pełni obaw, iż zaproszenie przez hospodara na ucztę zakończy się ich wymordowaniem. Prosili więc hetmana, jak pisał XIX-wieczny historyk Mikołaj Malinowski, by „wojsko nad Dniestr pomknął, a wówczas po zgładzeniu ciemiężcy całe Wołochy [hospodarstwo mołdawskie – przyp. T.S.] przejdą pod panowanie Korony Polskiej". Bojarzy zawiązali spisek, którego ofiarą padł Stefan, gdy z nałożnicami „dla rozrywki Prutem płynął i otoczony był tylko siedemnastu zbrojnymi".

Sieniawski wsparł zbrojnie bojarów i zgodził się na ich propozycję, by nowym hospodarem został Aleksander (VI) Lăpușneanu – nieślubny syn Bogdana III, który uznał się za lennika Rzeczypospolitej. Zygmunt August był jednak niezadowolony z tej zmiany na tronie, gdyż obawiał się, że polska interwencja może spowodować, że Turcja wypowie wojnę. Ostatecznie obyło się bez konsekwencji dla Rzeczypospolitej, gdyż nowy hospodar ułożył się z także Turcją, która go zaakceptowała. Faktycznie więc hospodarstwo było kondominium polsko-tureckim. Ani Krakowowi, ani Stam-

eprasa.pl 253b1c906f

bułowi nie zależało wówczas na wojnie.

Grecki awanturnik

W tym czasie przy wojsku Zygmunta Augusta przebywał Grek, który podawał się za syna władcy greckich wysp Samos i Paros i przedstawiał się jako Jan Jakub Heraklid. W rzeczywistości był synem właściciela statku – lub marynarza – na którym podróżował ów władca, poetą i lekarzem. Zanim trafił do Polski, podobno pracował w Bibliotece Watykańskiej i kręcił się przy dworze cesarza Karola V.

Dowiedziawszy się o wydarzeniach w hospodarstwie mołdawskim, powziął zamiar zdobycia tronu tego państwa. Wybrał się więc do Suczawy i zaczął intrygować z bojarami niezadowolonymi z surowych tyrańskich rządów Aleksandra (VI) Lăpuşneanu. Hospodar spostrzegł niebezpieczeństwo i Grek musiał ratować się ucieczką do Siedmiogrodu. Tam, na dworze Izabelli Jagiellonki, królowej Węgier, poznał w 1559 r. dwudziestoparoletniego Olbrachta Łaskiego. Polski magnat postanowił zainwestować w wyprawę zbrojną, której celem było obalenie Aleksandra i wprowadzenie na tron Heraklida. Dla siebie Łaski rezerwował stanowisko hetmana mołdawskiego. Zaczęto werbować najemników, jak pisał Mikołaj Malinowski, „obozowych straceńców, doświadczonej odwagi, którzy byleby żołd pobierali i po bitwie mieli możność rabunku, nie wyglądali, dokąd ich prowadzą i za jaką sprawą narażają życie".

Jednak w drodze do hospodarstwa, podczas przejścia przez terytorium Rzeczypospolitej, najemnicy zostali zatrzymani i rozproszeni przez hetmana Sieniawskiego, chroniącego hospodara Aleksandra Lăpuşneanu, lennika Rzeczypospolitej. Łaski i Heraklid jednak nie zrezygnowali. Żeby wprowadzić w błąd hospodara i uspokoić go, że nic mu nie zagraża, urządzono w Kieżmarku, którym władał Łaski, fikcyjny i okazały pogrzeb Heraklida. Następnie nowy zaciąg „psów wojny", złożony z Polaków, Francuzów, Niemców i Węgrów, przedostał się do Mołdawii i pokonał wojska hospodara. Nowy – od 1561 r. – władca (pierwszy cudzoziemiec na tronie



Jan II Jakub Heraklid Despot FOT. WIKIPEDIA

mołdawskim), który przyjął imię Jana II, sprytnie postarał się o uznanie ze strony sułtana, oferując mu zamiast dotychczasowych 30 tys. czerwonych złotych haraczu – 40 tys., a do tego dorzucił podarki dla dostojników dworu w Stambule. Zygmuntowi Augustowi obiecał zaś, że dostarczy mu posiłków na wojnę z Moskwą, a zatem i król polski zaakceptował nowego hospodara. Rządy Heraklida zaczęły jednak budzić niezadowolenie, gdyż nałożył on duże podatki, chcąc wypełnić uszczerbek w skarbcu spowodowany wydatkami na haracz, otaczał się cudzoziemcami i faworyzował protestantów. Musiał też zwrócić Łaskiemu koszty wyprawy po tron. Doszło do sporu między nimi, gdyż polski magnat wyceniał swoje wydatki na 80 tys. czerwonych złotych, Jan II chciał mu wypłacić tylko 20 tys. Ponadto, gdy Olbracht Łaski wyjechał do Polski na sejm, hospodar odebrał mu nadany zamek w Chocimiu. Oburzony Łaski zbrojnie odebrał zamek. Tymczasem zaczęła narastać coraz większa opozycja wobec Heraklida, który jawnie lekceważył religię prawosławną i otaczał się cudzoziemcami. Spiskowcy ze Stefanem Tomżą na czele podstępnie wymordowali część członków gwardii hospodara i oblegli hospodara w Suczawie. Heraklid błagał Łaskiego o pomoc, obiecał mu następstwo po sobie.

Magnat jednak nie dał się przekupić. Zrażony do Jana II, poparł nowego pretendenta do tronu – księcia Dymitra Wiśniowieckiego. Ale bojarzy już obwołali hospodarem Stefana Tomżę. Podstępnie jednak zapewniali Wiśniowieckiego, że jest to wybór „dorywczy i warunkowy" i że Tomża odda mu władzę. Zaprosili go do obozu Tomży, po czym zdradziecko napadli na ludzi Wiśniowieckiego, a jego samego pozbawili wolności. „Okropny widok przeraził wzrok Wiśniowieckiego – pisał Malinowski. – Niewielka garstka schwytanych Polaków stała na stronie. Kat pastwił się nad nimi, pozbawiając ich nosów i uszu, tak skaleczonych pędzono nazad do Polski".

Tomża odesłał Wiśniowieckiego sułtanowi. Tam strącono go z wysokiej nadmorskiej wieży, nie wpadł jednak do wody, gdyż zawisł na jednym z haków „i przez trzy dni wśród najstraszliwszych męczarni umrzeć nie mógł". Turcy proponowali, że zdejmą go z haka, jeśli wyrzeknie się Chrystusa i przyjmie islam. W odpowiedzi Wiśniowiecki zaczął miotać obelgi na Mahometa, a wówczas został zabity strzałami z łuku.

Hospodar Jan II Heraklid tkwił w Suczawie. Proponowano mu, by wymknął się do zamku w Chocimiu, będącego ponownie w ręku Łaskiego. Hospodar nie zdecydował się na to. Zawiódł się jednak na lojalności Węgrów stanowiących załogę Suczawy, którzy spiskowali z oblegającymi, a wśród nich byli też ich rodacy. Wówczas Heraklid „złotą koronę połamawszy na części, rozdał wierniejszym sługom" i postanowił zdać się na łaskę Stefana Tomży. Jednak nie opuściła go duma i nie chciał oddać mu pokłonu. „Bo ciebie za pana mojego nie znam, ale za podłego zdrajcę" – powiedział Tomży, a ten zadał mu cios buławą w głowę, jego ludzie dobili Jana II i ucięli mu głowę.

Tomża też skończył nie lepiej. Stambuł odmówił mu swego uznania, zdecydował się więc na ucieczkę do Polski. Nie był to dobry wybór, winiono go przecież za wydanie w ręce tureckie Wiśniowieckiego i za jego śmierć. Został więc uwięziony. Jego śmierci domagał się Aleksander Lăpuşneanu, który powrócił na tron przy aprobacie sułtana. W rezultacie Stefan Tomża został ścięty we Lwowie w 1564 r., a Zygmunt August – w imię pokoju z Turcją – poprosił Łaskiego, by zrzekł się zamku w Chocimiu. Hospodar Lăpuşneanu rozprawił się krwawo z bojarami zwolennikami obalonego hospodara, ale w 1568 r. sam umarł gwałtowną śmiercią – najprawdopodobniej otruty.

Jan Srogi, hospodar od 1572 r., należał, jak pisał Janusz Demel, autor „Historii Rumunii", do wybitniejszych, bardziej interesujących władców i był osobą tajemniczą. „Nikt nie znał jego przeszłości [...]. Przypisywano mu pochodzenie

eprasa.pl 253b1c906f



Olbracht Łaski FOT. WIKIPEDIA

to polskie, to ormiańskie, najpewniej był synem nieślubnym któregoś z hospodarów". Poniósł klęskę w walce z Turcją. „Legenda utrzymuje, że Jan zginął rozszarpany żywcem wielbłądami".

W 1577 r. objął mołdawski tron Kozak Iwan Podkowa (ponoć był tak silny, że łamał podkowy), który zdobył Jassy, nową stolicę hospodarstwa, i wygnał Piotra V Kulawego – syna hospodara wołoskiego – prawnuka Vlada Palownika (Drakuli). Podkowa rządził zaledwie miesiąc. Usunął go od władzy wojewoda siedmiogrodzki Krzysztof Batory, brat króla Stefana Batorego. Podkowa uciekł do Polski, ale źle trafił. Na żądanie sułtana został ścięty. Przed egzekucją we Lwowie w 1578 r. powiedział:

„Panowie Polacy, idę na śmierć, nie wiem za co, ponieważ nie pamiętam, abym w życiu moim uczynił co zasługującego na taki koniec. To wiem dobrze, że zawsze biłem się mężnie i po rycersku przeciwko nieprzyjaciołom imienia Chrześcijańskiego, i żem pracował zawsze na pożytek i dobro kraju; z mocnym postanowieniem być dla niego murem i warownią przeciw niewiernym; tak aby oni w granicach swoich pozostali, i nie mogli przebyć Dunaju. [...] Nic więcej nie wiem, tylko że mam umierać, ponieważ Turek, pies poganin, rozkazał to waszemu Królowi, a swojemu poddanemu; a wasz Król, temu rozkazał".

Mohyłowie i szwagrowie

W końcu XVI w. Rzeczpospolita postanowiła przechylić szalę wpływów w hospodarstwie mołdawskim na swoją stronę i powstrzymać ambicje nie tylko Osmanów, lecz także Habsburgów dotyczące tego państwa.

Korzystną dla tych planów sytuację stanowiła groźba opanowania przez Turcję hospodarstwa mołdawskiego i zamienienia go na jedną z prowincji imperium osmańskiego. Stambuł chciał w ten sposób zareagować na antyturecki sojusz hospodara mołdawskiego Arona Tyrana z hospodarem wołoskim Michałem Walecznym, a następnie sojusz Walecznego z Zygmuntem Batorym, księciem Siedmiogrodu. Ten ostatni osadził na tronie Stefana Rozwana, mahometanina z rodziny cygańskiej.

Hetman wielki koronny Jan Zamoyski wyprawił się w 1595 r. do Mołdawii z pretendentem do jej tronu, bojarem spokrewnionym z rodem Muszatowiczów – Jeremim Mohyłą, który miał polski indygenat. Zamoyski, wybitny wódz, kierował zwycięską obroną obozu pod Cecorą, atakowanego przez wojska turecko-tatarskie. Następnie pokonał hospodara Stefana Rozwana, którego Mohyła kazał wbić na pal. Jeremi Mohyła złożył hołd królowi polskiemu na ręce Zamoyskiego. Idąc za ciosem, Zamoyski pokonał hospodara wołoskiego, Michała Walecznego, jego miejsce zajął na dwa lata brat Jeremiego – Szymon Mohyła. „Sposób wprowadzenia nowego hospodara na tron – pisał historyk Dariusz Milewski – nie pozostawiał złudzeń co do charakteru jego stosunków z Janem Zamoyskim, a przez to Mołdawii z Rzecząpospolitą. Niemniej, wobec zagrożenia turecko-tatarskiego z jednej strony, i siedmiogrodzkich aspiracji do zupełnego zdominowania Mołdawii z drugiej, związanie się z Polską musiało wydać się bojarom mołdawskim najlepszym rozwiązaniem dla zabezpieczenia ich interesów". Nadal jednak hospodarstwo było polsko-tureckim kondominium, gdyż Mohyła płacił haracz sułtanowi.

Hospodar Jeremi Mohyła zmarł śmiercią naturalną, co już było pewną osobliwością. Swoje córki wydał za polskich magnatów: Katarzynę za Samuela Koreckiego, Rainę (Reginę) za Michała Wiśniowieckiego (była matką słynnego księcia Jeremiego i babką króla Michała I), a Marię za Stefana Potockiego.

Nic więc dziwnego, że mężowie Mohylanek zaangażowali się w spawy mołdawskie, interweniując w kłótnie o tron między Mohyłami. Schedę po Jeremiaszu przejął jego brat Szymon i przekazał ją w testamencie synowi – Michałowi. To bardzo się nie spodobało synowi Jeremiego – Konstantemu. Z pomocą szwagra Stefana Potockiego obalił Michała w 1607 r. i panował przez cztery kolejne lata, aż obalił go lennik Turcji Gabriel Batory, książę siedmiogrodzki. „Upadek Konstantego dotknął do żywego jego szwagrów – pisał historyk Zdzisław Spieralski. – Skłoniony przez Potockich król Zygmunt III, nie zważając na trwającą jeszcze wojnę z Rosją, zgodził się na interwencję w Mołdawii". Wojsko Potockiego poniosło jednak klęskę pod Sasowym Rogiem w 1612 r., pokonane przez hospodara Stefana Tomżę II i Tatarów, a sam Potocki trafił do tureckiej niewoli, podobnie jak Konstanty.

Nie zrażało to Wiśniowieckiego i Koreckiego, mężów Mohylanek, którzy wbrew opinii hetmana Żółkiewskiego zmontowali nową wyprawę do Mołdawii w 1615 r. Tym razem wynieśli na tron Aleksandra (V) Mohyłę, syna Jeremiasza, a pokonany hospodar Stefan Tomża II został wbity na pal.

Turcja była rozgniewana tym obrotem rzeczy, tym bardziej że Zygmunt III zawarł sojusz z Habsburgami, z którymi walczyła. Interweniowała więc zbrojnie, usuwając Aleksandra Mohyłę, który trafił do niewoli. Znalazł się w niej także Korecki. Wypadki zmierzały ku wojnie polsko-tureckiej, a krytyczny okazał się rok 1618. Wówczas to Turcja odzyskała swobodę ruchów w Europie, zawierając

eprasa.pl 253b1c906f

pokój z Persją, a w tym samym roku wybuchła wojna trzydziestoletnia, w której Rzeczpospolita opowiedziała się po stronie Habsburgów, czego wyrazem była walka lisowczyków z księciem Siedmiogrodu, lennikiem Turcji. Rok później zakończyła się wojna Rzeczypospolitej z Moskwą, tak więc i strona polska mogła zaangażować się na południu i poparła hospodara Kacpra Grazzianiego (z pochodzenia podobno Istrorumuna, z ziem chorwackich), który skonfliktował się z Turcją. Kroplą, która przelała czarę, były dalsze łupieżcze wyprawy Kozaków na porty tureckie. Stambuł zażądał od Warszawy natychmiastowego ich poskromienia.

W odpowiedzi hetman wielki koronny Żółkiewski wkroczył do Mołdawii jesienią 1620 r. Nie wrócił z tej wyprawy. Poległ na początku października, podczas odwrotu spod Cecory, zginął także hospodar Grazziani. Wynikiem udanej obrony Chocimia przez Polaków w 1621 r. stał się w 1624 r. traktat pokojowy polsko-turecki, przewidujący m.in. zwolnienie jeńców z tureckiej niewoli. Turcy jednak nie przebaczyli Koreckiemu i go zamordowali.

W 1626 r. objął tron Miron Barnowski, po kądzieli Mohyła, by utracić go trzy lata później. Sprzyjał bowiem Kozakom oraz Mehmetowi III Girejowi, któremu Turcy wydali wojnę, a chan w niej zginął. W latach 1630–1631 hospodarem był Mojżesz Mohyła syn Szymona. Dwa lata później władcą Mołdawii został ponownie Miron Barnowski. Jednak sułtan nie przebaczył mu zdrady i gdy hospodar pojechał po zatwierdzenie do Stambułu, został tam zamordowany.

Pisząc o Mohyłach, nie można nie wspomnieć o najwybitniejszym z nich: Piotrze Mohyle, prawosławnym metropolicie kijowskim, nawołującym do zgody międzywyznaniowej, założycielu Akademii Mohylańskiej, uznanym za świętego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Wahadło litewskie



Tomasz Stańczyk

Michał Römer pisał o Józefie Albinie Herbaczewskim: „Przez całe swoje życie jak wahadło to grawituje ku Polsce i wymyśla Litwinom, to znów odwraca się od Polski i gotów psy na niej wieszać". Herbaczewski wieszał psy oraz wymyślał jednym i drugim z gniewu i żalu, że jego nawoływania do braterstwa między Litwinami i Polakami oraz stworzenia nowej unii polsko-litewskiej nie znalazły oddźwięku ani u jednych, ani u drugich.

Urodził się w 1876 r. w Łankieliszach w guberni augustowskiej. Litewskość wziął po matce, kulturę polską po ojcu. W przeciwieństwie do brata Bronisława Szczęsnego, który określił się jako Polak, Józef Albin Herbaczewski czuł się zawsze Litwinem. Ale – w przeciwieństwie do litewskiego ruchu odrodzenia narodowego – podkreślał rolę kultury polskiej dla swoich rodaków. Prawie ćwierć wieku spędził w Krakowie, znalazł się pod wpływem Stanisława Przybyszewskiego, był wolnym słuchaczem na UJ, występował w słynnym kabarecie Zielony Balonik. Jest uważany za wybitnego przedstawiciela modernizmu w literaturze litewskiej. W 1904 r. założył towarzystwo Ruta propagujące litewską kulturę, opartą – wbrew dominującemu wśród Litwinów poglądowi – nie tylko na tradycji chłopskiej, lecz także litewskiej z ducha szlachty.

Rok później Herbaczewski wydał książkę „Odrodzenie Litwy wobec idei polskiej". Propagował w niej ideę odnowienia unii polsko-litewskiej, w opozycji do wspólnego wroga – Rosji, sojuszu „ciemiężonych przeciw ciemiężcom". Uważał, że z Rosji płyną nihilizm i agresja, podkreślał, że od stuleci krępuje ona indywidualny rozwój ludzi. Poglądy Herbaczewskiego były zbieżne z ideologią „krajowców", ludzi z Kresów Wschodnich pragnących stworzenia na terenach byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego państwa dla trzech równoprawnych narodów: białoruskiego, litewskiego i polskiego. Przekonywał w 1919 r. litewskich polityków do takiej federacji. Dążyli oni jednak do państwa etnicznego ze stolicą w Wilnie i federacji nie chcieli. Herbaczewski uznał wtedy, że ten „gród Giedymina" bezdyskusyjnie musi być litewski. Gdy Wilno stało się polskie, Herbaczewski opuścił w 1923 r. Kraków i zamieszkał w Kownie. Zarzucał stamtąd Polsce i Polakom imperializm oraz to, że sami ciemiężeni przez ponad 100 lat, teraz chcą ciemiężyć Litwinów, Białorusinów i Ukraińców. Nie przestał jednak marzyć o pojednaniu polsko-litewskim, o wskrzeszeniu unii dwóch narodów, podkreślał rolę kultury polskiej w kształtowaniu się kultury i patriotyzmu litewskiego. Atakowano go z tego powodu jako „polonofila". Skarżył się na brak wolności słowa na Litwie.

W 1933 r. wyemigrował do Polski. „Powiedziano mi, że jestem zbyteczny, gdyż – będąc przyjacielem Polski – nie mogę być prawdziwym Litwinem, godnym zaufania narodu". W licznych artykułach krytykował litewskie władze za to, że podniecają nienawiść do Polski i Polaków. Oskarżał, że „pozwalają sobie fałszować historię i twierdzić, że polska tradycja Wilna jest »ospą żrącą ciało narodu litewskiego«". Drwił też z wiary w to, że na „zaklęcie czarodzieja nacjonalizmu litewskiego" wszyscy obywatele Wilna i Wileńszczyzny – zdaniem Litwinów okupowanej przez Polskę – nagle oświadczą, że są najrasowszymi Litwinami. Los chciał, że po Powstaniu Warszawskim znalazł schronienie w Krakowie, mieście swojej młodości, i tam zmarł w grudniu 1944 r. ©℗

eprasa.pl 253b1c906f



Maciej Rosalak

XV w. / Zwycięzca spod Żelaznej Bramy, Kruševaca i Belgradu

Hunyady – postrach Turków

Wielki węgierski wódz udowodnił Europie, że Osmanom można zadawać klęski. Niestety, Władysława III pod Warną nie ocalił...

Przyszedł na świat (w 1387 r.) w zmadziaryzowanej magnackiej rodzinie siedmiogrodzkiej. Nazwisko Hunyady przyjął od rodowej siedziby swej matki, a dzięki małżeństwu z Elżbietą Szilágyi, pochodzącą z wpływowego na Węgrzech rodu, a – bardziej jeszcze – własnym talentom politycznym i militarnym zyskał majątek oraz pierwszorzędne znaczenie w królestwie węgierskim. Przy boku króla Węgier (od roku 1387), Niemiec (1410) i Czech (1419), późniejszego (1433) cesarza Zygmunta Luksemburskiego, zdobywał doświadczenia podczas wojen przeciwko husytom i muzułmanom. Luksemburczyk ponosił w nich porażkę za porażką, ale młody Węgier mógł się wtedy nauczyć żołnierskiego rzemiosła, które wkrótce przydało mu się w zażartych walkach z agresją Osmanów na Europę.

Dobrze poznał wtedy mobilność armii tureckiej, siłę ciężkiej konnicy spahisów, złożonej z kasty swego rodzaju rycerzy-lenników sułtana, oraz janczarów – piechurów szkolonych od dziecka (przeważnie zabranego niegdyś chrześcijańskim rodzicom) na zawodowych żołnierzy. Z kolei od czeskich husytów przejął taktykę „wagenburgu" – taboru wozów spiętych podczas bitwy łańcuchami, najeżonych działami oraz kuszami i bronią palną bitnej piechoty. A przy Zygmuncie Luksemburskim mógł się nauczyć wychodzenia cało z przegranych batalii oraz skuteczności tzw. polityki realnej, wedle której „cel uświęca środki". Na przykład przed bitwą pod Grunwaldem Luksemburczyk proponował Krzyżakom nawet rozbiór Królestwa Polskiego. Po polsko-litewskim zwycięstwie diametralnie zmienił politykę. Przyszły cesarz pomógł też doprowadzić w 1414 r. do

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 253b1c906f

soboru w Konstancji, scalenia Kościoła rzymskokatolickiego i – łamiąc przyrzeczenie nietykalności – do spalenia na stosie Jana Husa, którego poglądy uznano za odstępstwo od wiary.

Po śmierci suwerena (1437) oraz jego zięcia i następcy Albrechta II Habsburga (1439) do tronu węgierskiego rościła pretensje Elżbieta – córka Zygmunta i żona Albrechta. Wprawdzie nie doczekał się on potomka, ale wdowa po nim była brzemienna i w lutym 1440 r. urodziła syna, nazwanego Władysławem Pogrobowcem. Trzy miesiące po urodzeniu urządziła koronację niemowlęcia. Hunyady przejął jednak odpowiedzialność za losy Węgier i za najlepsze dla ojczyzny rozwiązanie uznał powierzenie tronu 15-letniemu wtedy królowi Polski – Władysławowi III Jagiellończykowi. Propozycję przyjął wszechwładny w Krakowie biskup Zbigniew Oleśnicki.

W latach 1439–1440 Hunyadyego poparli liczący na polską pomoc panowie węgierscy, a następnie sejm. W czerwcu 1440 r. unieważniono koronację Pogrobowca, a w lipcu koronowano Jagiellończyka jako Władysława II (wedle numeracji węgierskiej; w numeracji polskiej pozostał Władysławem III). Habsburgowie, wsparci przez węgierską opozycję, przez dwa następne lata (do śmierci Elżbiety) nie pogodzili się z utratą Węgier. Ataki podjazdowe i zajęcie Słowacji przez ich znakomitego czeskiego najemnika – Jána Jiskrę – utrudniły Hunyadyemu i Jagiellończykowi przygotowania do batalii przeciw Osmanom.

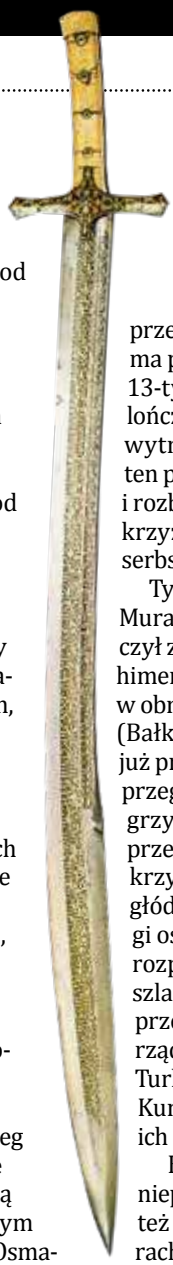
U boku króla

O rozejm między Habsburgami a Węgrami i nową krucjatę przeciw Turkom usilnie zabiegał legat papieski kard. Julian Cesarini występujący w imieniu papieża Eugeniusza IV. Gdy jednak w 1442 r. spór z Habsburgami dobiegł końca, a Hunyadyemu udało się odeprzeć aż trzy wyprawy Osmanów, sytuacja dojrzała do zorganizowania krucjaty przeciwko nim. W 1442 r. wódz węgierski, będący od roku wojewodą siedmiogrodzkim, po początkowych porażkach wygrał z nimi najpierw koło przełomu Dunaju na dzisiejszej granicy rumuńsko-serbskiej, zwanego Żelazną Bramą (wrogami dowodził Mezid beg), nad Jalomicą – lewym dopływem Dunaju na Wołoszczyźnie (południe obecnej Rumunii, gdzie wrogów przywiódł Szehabeddin pasza), i pod Belgradem (z Turakhan begiem).

Borykający się z wewnętrzną rebelią Turcy w 1443 r. zaniechali najazdów i wydawało się, że czas zmierzyć się z nimi na bałkańskim południu. W końcu czerwca, gdy na wezwanie króla Władysława Jagiellończyka wojska przybyły pod Belgrad, okazało się że zapewnienia kard. Cesariniego o gotowości udzielenia pomocy przez zachodnich sojuszników są bez pokrycia. Papież nie przysłał obiecanej sumy pieniędzy, cesarz Fryderyk III ograniczał napływ rycerzy niemieckich, a Wenecjanie woleli pozostawić swoją flotę w portach, niż ryzykować cofnięcie sułtańskiego zezwolenia na handel w granicach imperium otomańskiego. Z polskich rycerzy stawili się nieliczni, prawie wyłącznie z Małopolski – inni nie byli zainteresowani odległą wojną, która nic ich krajowi nie dawała.

Dołączyli też Serbowie despoty Jerzego Brankovicia (dwa lata wcześniej Turcy oślepili i wykastrowali dwóch jego synów) i Bośniacy wojewody Piotra Kovacevicia, a turecki wasal Albanii – Skanderbeg – zbuntował się, zajął w listopadzie 1443 r. kluczową twierdzę albańską Kruję i ogłosił swój kraj niepodległym księstwem katolickim. Wojował z Osmanami aż do swej śmierci w 1467 r., nigdy nie uległ i nigdy nie oddał Kruji, mimo wielokrotnych oblężeń. Główne siły Jagiellona z Hunyadym tworzyły oddziały siedmiogrodzkie oraz zaciężni Czesi z wagenburgiem. Łącznie pod sztandarami węgierskiego i polskiego króla oraz wojewody siedmiogrodzkiego ruszyło na wyprawę 25 tys. zbrojnych.

Ruszyli znanym od czasów rzymskich szlakiem wojennym przez Nisz, Sofię, Płowdiw na Adrianopol – stolicę sułtana. Po tygodniu król rozłożył się obozem pod Kruševacem, a wojewoda zajął Nisz, gdzie trzy zgrupowania wroga – Izak bega, Szahabeddina paszy oraz Turakhan bega – chciały go okrążyć i rozbić. Hunyady przewidział ich manewry i trzema błyskawicznymi uderzeniami rozbił zgrupowania jedno po drugim. Kontrakcja osmańska miała jednak ciąg dalszy. Oto 20-tysięczna armia prowadzona



Szabla turecka z rękojeścią wykonaną z kości morsa i ze złotymi inskrypcjami, XV w. FOT. TOPKAPI PALACE MUSEUM

przez głównodowodzącego Kassima paszę miała w tym czasie rozbić 13-tysięczne siły Władysława Jagiellończyka. Nieomal jej się to udało, ale wytrawny wódz węgierski przejrzał ten plan, wrócił na czas pod Kruševac i rozbił armię Kassima. Następnie krzyżowcy ruszyli dalej, zdobywając serbski Pirot i bułgarską Sofię.

Tymczasem zaniepokojony sułtan Murad II wrócił z Anatolii, gdzie walczył ze zbuntowanym emirem – Ibrahimem bejem – i wspomógł Kassima w obronie przełęczy Starej Planiny (Bałkanu) wiodących do Tracji, a stąd już prostą drogą do Adrianopola. Turcy przegrywali kolejne starcia, ale Węgrzy wraz z sojusznikami nie zdołali przełamać ich obrony. Zwłaszcza że krzyżowcom zajrzał w oczy w górach głód oraz dokuczały mrozy i śniegi ostrej zimy. W połowie grudnia rozpoczęli więc odwrót tym samym szlakiem, którym przyszli. Odwrót przebiegał w sposób na tyle uporządkowany i ubezpieczony, że ataki Turków pod Melsztica i w wąwozie Kunovica skończyły się sromotnymi ich porażkami.

Król i wojewoda mogli czuć się niepokonanymi zwycięzcami – i tak też odebrano to w kraju i na dworach Europy. Udowodnili bowiem, że budzących grozę Turków osmańskich da się pokonać, zdobywać ich twierdze i rozbijać armie. Poza tym w obecności posłów węgierskich sułtan podpisał 12 czerwca 1444 r. w Adrianopolu 10-letni traktat pokojowy, w którym godził się m.in. na zwrot wszystkich zagrabionych ziem węgierskich i serbskich, zwolnienie jeńców i 100 tys. dukatów odszkodowania. To był traktat dla niespełna 20-letniego wtedy króla zwycięski. 1 sierpnia w Szegedynie uroczyście go zaprzysiągł… A trzy dni później… zerwał!

Warna 1444

Był to błąd niewybaczalny, popełniony pod wpływem kard. Cesariniego. To on przekonał młodzieńca, że połączona flota wenecko-burgundzko-papieska wpływa już w Cieśninę Dardanelską

eprasa.pl 253b1c906f

i tym razem udaremni przerzut armii sułtana z azjatyckiego brzegu oraz wspomoże nową krucjatę na Bałkanach, że sukces zimowej wyprawy rozbudził w całej Europie zapał do tej krucjaty, i – na koniec – że złamanie słowa danego pogańskiemu wrogowi chrześcijaństwa nie jest ani hańbą, ani grzechem. Potwierdził to nawet na piśmie.

Nastroje na Węgrzech nie sprzyjały nowej wyprawie; wytrawny polityk i wódz Hunyady też jej nie popierał. Ale lojalny wobec monarchy zebrał tyle wojska, ile mógł i ruszył z królem. A zapewnienia kardynała znów rozminęły się z rzeczywistością. Flota – owszem – przypłynęła, ale przeprawy Murada II nie udaremniła, a na Morze Czarne przybyła za późno. Rycerze zachodni znów zawiedli. Z Królestwa Polskiego również stawiło się niewielu. Poczty biskupów i magnatów węgierskich nie wyrównały braku powszechnego napływu rycerstwa i liczących się wojsk z krajów bałkańskich. Branković tym razem nie przybył ze swoimi Serbami, natomiast zablokował przyjście z odsieczą Skanderbegowi z Albanii. W efekcie podstawową siłą 16-tysięcznej armii króla i wojewody znowu były wojska siedmiogrodzkie, królewska chorągiew nadworna plus paruset najemnych Czechów z wagenburgiem.

Wojsko posuwało się wzdłuż Dunaju szlakiem, którym w 1396 r. zmierzała ku swej klęsce pod Nikopolis krucjata Zygmunta Luksemburskiego. W 1444 r. krzyżowcom nie udało się zdobyć naddunajskiej twierdzy, spalili więc miasto i ruszyli nad wybrzeże czarnomorskie. Tam nie oczekiwali ich Wenecjanie, ale czyhała na nich 60-tysięczna armia Murada II, która odcięła im odwrót znad morza. Wprawdzie pod Warną dołączyły 4 tys. Wołochów, ale i tak stosunek sił wynosił 3:1 na korzyść muzułmanów. Hunyady słusznie uznał – być może pomny rzezi swych rodaków dokonanej przez Mongołów w 1241 r. na równinie Mohi [patrz: poprzedni numer „HDR"] – że zamknięcie całej armii w obozie na nic się nie zda i stoi przed alternatywą: albo pobije Turków, albo przedrze się i wróci za Dunaj. Dalsze wydarzenia dowiodły słuszności owego założenia. Poczynania 57-letniego już wodza węgierskiego znamionują rozwaga przy podejmowaniu decyzji i odwaga przy jej wykonywaniu.

Na prawym skrzydle umieścił głównie Wołochów, chorągwie biskupie, a jeszcze bliżej morza Czechów z wagenburgiem. Dowodził tam biskup siedmiogrodzkiego Waradynu (dziś rumuńska Oradea) Jan Dominis. Nad lewym skrzydłem węgierskiego ugrupowania, opartym o jezioro Dewnia, komendę sprawował dzielny szwagier Hunyadego – możnowładca Michał Szilagyi. W centrum stanął król (nominalnie głównodowodzący) z chorągwią nadworną, a za nim – jako odwód – Siedmiogrodzianie pod własną komendą faktycznego dowódcy. Miał on pełen ogląd sytuacji oraz siły zdolne do skutecznej interwencji na polu walki. Również sułtan chroniony przez groźny czworobok janczarów stanął w centrum, a przed sobą ustawił jeszcze spahisów Daud paszy z Rumelii i Karadża paszy z Anatolii. Lżejszą jazdę (akindżi) i nieregularną piechotę (zapów) umieścił na skrzydłach.

Aż kilka godzin od świtu 10 listopada 1444 r. stały obie armie naprzeciw siebie. W końcu pierwsi zaatakowali Turcy, kierując atak akindżi, a następnie spahisów anatolijskich na prawe skrzydło chrześcijan, które nie wytrzymało uderzenia. Wołosi pierzchli, inni poszli w rozsypkę i bitwa byłaby już przegrana, gdyby Hunyady nie ruszył odwodem na ciężkozbrojnych Karadża paszy akurat w czasie przegrupowania. To kontrude-



Jan Matejko „Bitwa pod Warną" FOT. WIKIMEDIA COMMONS

eprasa.pl 253b1c906f

rzenie było piorunujące – położyło ciężką jazdę wroga pokotem, a śmierć dowódcy dopełniła jej rozbicia.

Następnie Hunyady skierował swe rycerstwo na wspomożenie lewego skrzydła, gdzie trwała zażarta walka ze spahisami rumelijskimi. Teraz z kolei jeźdźcy Daud paszy zostali wyeliminowani z walki. Ceną sukcesu było jednak zaangażowanie wszystkich sił krzyżowców ich straty i zmęczenie, podczas gdy sułtan miał jeszcze tysiące nietkniętych janczarów. Jeśli chciałby wycofać się z nimi spod Warny, aby powtórnie zebrać wojska, to uderzyłaby na nich wkrótce rycerska jazda całej krucjaty. I tak by się zapewne stało, gdyby nie nagła szarża na sułtana, do które ruszył Jagiellończyk ze swą chorągwią. Wielotysięczne morze janczarów wchłonęło jednak kilkuset rycerzy i dość szybko się z nimi uporało. Byli wśród nich również Polacy, m.in. syn Zawiszy Czarnego – Stanisław z Rożnowa. Pod królem ubito konia, leżącemu odcięto głowę i zaniesiono w darze Muradowi II…

Co popchnęło Władysława do tak nieroztropnego kroku? Chęć zyskania laurów zwycięzcy? Litewski temperament wojownika i młody wiek? Żarliwość neofity w drugim pokoleniu? Wstyd z powodu złamania danego sułtanowi słowa? Próba odbicia zwłok się nie powiodła i Hunyadyemu pozostało jak najszybciej zebrać żywych (kilka tysięcy zabitych pozostało na pobojowisku) i wracać na Węgry.

Śmiertelna gra jeszcze się jednak dla wojewody siedmiogrodzkiego nie skończyła. Przegrywał – jak podczas bitwy (tak zwanej drugiej) na Kosowym Polu w 1448 r. Z niewoli, do której trafił, wykupiono go po kilku latach. Zwyciężał – jak w 1456 r., gdy w wieku niemal 70 lat poprowadził zwycięską odsiecz na Belgrad, pod którym urządził janczarom Mehmeda II Zdobywcy prawdziwe piekło: ginęli w płomieniach słomy polanej olejem. Atak na obóz turecki, podczas którego został ranny sułtan, wywołał panikę zakończoną rzezią 50 tys. Turków.

Za miesiąc postaram sie zakończyć opowieść o wodzu, który z glorią belgradzkiego triumfu, nieustępliwością i męstwem prawdziwego krzyżowca zasłużył na miano defensor christianitatis, z ojczyzny zwanej już w późnym średniowieczu antemurale christianitatis – przedmurzem chrześcijaństwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Lengyel, magyar…



Maciej Rosalak

Lengyel, magyar… – to po węgiersku oczywiście początek przysłowia, które w całości rymowanej polszczyzny brzmi: „Polak, Węgier, dwa bratanki, / i do szabli, i do szklanki / oba zuchy, oba żwawi, / niech im Pan Bóg błogosławi”. Można się tu doszukać uznania przywódców konfederacji barskiej dla szabli batorówki i wina zwanego węgrzynem podczas bezpiecznego azylu na węgierskim Spiszu, którzy najprawdopodobniej słowa te ułożyli. Parokrotnie już nawiązywałem w tym miejscu do fenomenu wzajemnej przyjaźni polsko-węgierskiej, nieznajdującej podobnego przykładu w innych stronach Europy. Historyczne korzenie sięgają licznych średniowiecznych mariaży Piastów z Arpadami, a następnie powoływania trzech Jagiellończyków (dwóch Władysławów i Ludwika) na tron w Budzie i dwóch władców zza Karpat (Ludwika Andegaweńskiego i Stefana Batorego) na tron w Krakowie, czy tak znakomitych władczyń jak królowa węgierska Elżbieta Łokietkówna i polska królowa (a właściwie – król) Jadwiga Andegaweńska.

O cnotliwej żonie Bolesława Wstydliwego – księżnej Kunegundzie (św. Kindze) – mówił niedawno nasz obecny prezydent, który jej imię dał swej jedynej córce. Kingą była także jedna z dwóch sióstr Wacława Kuchara, najwszechstronniejszego naszego sportowca wszech czasów. Był on owocem już nie przyjaźni, ale miłości węgiersko-polskiej, jego ojciec bowiem, węgierski przemysłowiec Ludwik Kuchar, ożenił się z polską szlachcianką Ludwiką Drzewiecką. Przed wiekiem znakomity „bratanek” – artylerzysta ppłk Artur Buol – podczas zagonu na Koroseń własną krwią spłacał dług honorowy, do którego poczuwał się wobec polskiego znakomitego artylerzysty i wodza powstania węgierskiego lat 1848–1849 gen. Józefa Bema. Przypomniałem to sobie, gdy w poprzednim numerze „HDR” zestawiałem inne wydarzenia sprzed stu lat i dwa pierwsze międzynarodowe mecze polskiej reprezentacji futbolowej – rzecz jasna z Węgrami – w grudniu 1921 r. u nich i w maju 1922 r. rewanż w Polsce. Obydwa przegraliśmy (0:1 i 0:3), ale w pierwszym niezwykłym fair play popisał się właśnie Wacław Kuchar. Otóż w 22. minucie strzelił tak mocno do bramki węgierskiej, że trafiony w głowę bramkarz padł zemdlony na murawę. Sędzia nie przerwał meczu, lecz Kuchar natychmiast zostawił piłkę przed opuszczoną bramką i zaczął reanimować golkipera. Z dobrym skutkiem. Tymczasem jednak obrońca gospodarzy wybił piłkę daleko od własnego pola karnego, co zaważyło na wyniku całego meczu.

Czy oficer Wojska Polskiego, którym był – podobnie jak dwóch innych z jego pięciu braci – Wacław Kuchar, odwdzięczał się za zbawienny transport węgierskiej amunicji w przededniu bitwy o Warszawę w sierpniu 1920 r.? Czy pamiętał o królewskich mariażach, o wspólnych bojach i o smaku wybornych win oraz o skuteczności cięć zakrzywioną głownią sarmackiej szabli? Nie można oczywiście tego wszystkiego wykluczyć, ale najprawdopodobniej Kuchar działał po prostu w odruchu z gruntu dobrego człowieka. Przy tym okazał się sportowcem idealnym. Gdy po upływie lat przypomina się głównie wyniki meczów i staje się nieważne, za jaką cenę i jakimi sposobami odnoszono zwycięstwa, 22. minuta meczu rozegranego przed wiekiem na budapeszteńskim stadionie błyszczy jak supernowa. Warto ją ocalić od zapomnienia. ©℗

eprasa.pl 253b1c906f



Mattias Hargin, szwedzki narciarz alpejski

FOT. ROLANDHINO1/WIKIMEDIA COMMONS/CC BY-SA 4.0

1884 r. / Sporty zimowe i tor saneczkowy Cresta

Narty, łyżwy, sanie



Tymoteusz Pawłowski

Jeszcze 150 lat temu sporty zimowe uprawiano jedynie w Szwajcarii. Później zimowe rozrywki stały się dostępne dla wszystkich, których stać było na wyjazd do Szwajcarii. Już w XX w. atrakcji zimowych można było zażyć, nie wyjeżdżając w Alpy, a dzisiaj – nie wychodząc z domu

Nie wiadomo, skąd pochodzi polskie słowo „narta". Pierwszy użył go Wacław Dyamentowski w swoim „Dyaryuszu" z 1606 r., pisząc: „Dnia jednego z obozu naszych magnatów przeciwko wycieczce obrońców Moskwy wypadło [...] kilkaset człeka na nartach". Być może słowo to pochodzi z języka obcego, a my mogliśmy zapoznać się z nim poprzez lapońskich czy fińskich żołnierzy służących w armii szwedzkiej. Być może ma słowiańskie korzenie oznaczające coś zamontowanego „na rcie", czyli na czubku buta. Tymczasem niemal we wszystkich językach używa się raczej norweskiego określenia „ski" albo rosyjskiego „лыжи", które czyta się „łyży".

Istnienie rosyjskiego słowa „łyże" wprowadza pewne zamieszanie lingwistyczne, bardzo typowe dla zimowych sportów. Po rosyjsku „łyżwy" to „коньки" (czyli „kanki"). Oba wynalazki powstały kilka tysięcy lat temu i oba służyły do transportu na peryferiach świata. Narty i łyżwy rozwijały się tam, gdzie było zimno, płasko i nie było dróg – a więc na stepach Azji. Pewnym wyjątkiem była popularność łyżew wśród mieszkańców ujścia Renu i Mozeli. Wyjątkiem, który można wytłumaczyć dużą liczbą kanałów zamarzających zimą.

Bardzo popularne były natomiast sanie, nie tylko zresztą zimą. Sanie służyły do transportu ciężkich ładunków po każdej nawierzchni, nawet do transportu kamiennych bloków podczas budowy piramid w starożytnym Egipcie. Sanie – a także narty i łyżwy – przez tysiąclecia służyły wyłącznie do ciężkiej pracy. Dopiero w XIX w., wraz z pojawieniem się kolei, stały się rozrywką. Impuls dali oczywiście bogacze: zasmuceni tym, że zimą nie mogą uprawiać jachtingu.

W Sankt Moritz...

Nowoczesne sporty zimowe są pomysłem Anglików, nudzących się podczas zimowych wakacji w Szwajcarii. Modne w latach 80. XIX w. wyprawy alpinistyczne nie były dla wszystkich – bardziej leniwi Brytyjczycy byli przez tubylców wożeni saniami. Szczególną sławę zdobył szlak zwany Cresta, zapewniający turystom goszczącym w Sankt Moritz niemal

eprasa.pl 253b1c906f

kilometrowy zjazd w dół. Tor Cresta został otwarty w 1884 r.

Dzisiaj znamy kilka określeń na sanie służące do zjeżdżania, ale wówczas istniał tylko jeden ich rodzaj, zwany dziś tobogranem. Tobogan z reguły nie ma płóz, ma łódkowaty kształt i obecnie jest wykorzystywany przede wszystkim w ratownictwie górskim. W 1884 r. na takich toboganach – zwanych po prostu „saniami" („sled" po angielsku albo „schlitten" po niemiecku) – zjeżdżano w Sankt Moritz. W 1887 r. Samuel Leeds Allen, amerykański przedsiębiorca zajmujący się wyrobem narzędzi ogrodniczych, postanowił dać zajęcie swoim pracownikom w martwym dla ogrodnictwa sezonie: zimą. Skonstruował urządzenie zwane Flexible Flyer, czyli „giętkiego latacza": drewniany leżak ogrodowy zamocował do płóz ze stalowych listew. Listwy można było wyginać – w ten sposób powstały sanki, którymi można kierować.

Bardzo szybko Flexible Flyer stał się przebojem i w kolejnym sezonie trafił do Sankt Moritz. Wkrótce rozpoczęły się spory, co daje większą radość: zjeżdżanie na brzuchu, głową do przodu, jazda na siedząco czy też zjeżdżanie na plecach, stopami do przodu. Wkrótce wykształciły się trzy sposoby pokonywania toru Cresta. Pierwszy – na brzuchu – był najstarszy. Ten w postawie siedzącej znany jest jako zjazd bobslejowy, a właściwie „bobsled". „Sled" to oczywiście „sanie", a „bobbing" to proces ich rozhuśtania. Przez długi czas bobsleje startowały „z miejsca", a jeszcze dłużej nie miały osłon aerodynamicznych. Ten drugi sposób zjeżdżania – nogami do przodu – był mniej popularny, ale w języku polskim nazwano go saneczkarstwem (a po angielsku i francusku – „luge").

Wkrótce zdano sobie sprawę, że im cięższy jest pojazd lodowy, tym większą prędkość może osiągnąć (przepisy sportowe ograniczają maksymalną masę wszystkich rodzajów sanek). Lekkie tobogany specjalnie obciążono i w ten sposób powstały sanki zwane skeletonem. Tę nazwę – oznaczającą „szkielet" – przyjęły, gdyż wyglądały niczym wczesne bobsleje bez płóz. W ten sposób dziś mamy przynajmniej pięć rodzajów sanek: użytkowe lekkie tobogany, podobne do nich ciężkie skeletony do jazdy głową w dół, kierowane sanki sportowe do jazdy stopami do przodu i kierowane bobsleje, do jazdy na siedząco. Oraz oczywiście zwykłe sanki, używane przez dzieci w każdej możliwej konfiguracji.



Modelki prezentują stroje narciarskie, 1926 r. FOT. NAC

... i w Zakopanem

Sport narciarski jest niemal równolatkiem sportu saneczkowego. Przez tysiąclecia mistrzami jeżdżenia na nartach byli Lapończycy i mieszkańcy północnej Norwegii, gdzie zima trwa pół roku, a równinę porasta tundra. Żołnierze norwescy ścigali się na nartach już w XVIII w., ale ścigali się po terenie równym, przede wszystkim biegając, z rzadka dokonując delikatnych zjazdów. Słowo „slalom" – wywodzące się z jednego z norweskich dialektów – składa się z dwóch elementów: pierwszy oznacza jazdę, a drugi delikatne zbocze: naszą halę czy połoninę.

W drugiej połowie XIX w., gdy wycieczki w Alpy stały się modne, narciarstwo trafiło także i tam. Alpy mają nieco inny krajobraz niż Laponia, więc styl jazdy także był inny. Wyraźnie inny: pojedynczy kij pomagający w bieganiu zastąpiono dwoma kijkami pomagającymi w utrzymywaniu równowagi, a buty zamocowano mocno do nart. (Dziś istnieją dwie grupy sportów narciarskich: narciarstwo klasyczne, niegdyś zwane norweskim, w którym buty przymocowane są do nart w jednym punkcie, oraz narciarstwo alpejskie, w którym buty przymocowane są do nart także przy pięcie).

Podobnie jak saneczkarze, tak i narciarze przeżywają największą radość, osiągając jak największe prędkości. Im bardziej strome zbocze, tym większą prędkość można osiągnąć. Nic więc dziwnego, że to strome Alpy stały się kolebką sportów zimowych. Z wyjątkiem łyżwiarstwa: jako że trudno jest znaleźć pochyłe jezioro, to łyżwiarze jeżdżą po płaskim. Mistrzami łyżwiarstwa – szczególnie szybkiego – są więc Holendrzy (bo ich kraj pełen jest długich kanałów wspaniale nadających się do ścigania), a hokej to domena Kanadyjczyków i Finów (w ich ojczyznach pełno jest jezior doskonale nadających się na boiska). Z oczywistych powodów w biathlonie – zimowym strzelectwie – przodują niestety nasi sąsiedzi: Niemcy i Rosjanie. W sportach zimowych sukcesy odnoszą te narody, które mają albo długie zimy, albo wysokie góry, albo dużo okazji do używania broni palnej. Rzadkie polskie zimowe sukcesy – chociażby w skokach narciarskich – są dowodem na wytrwałość i ciężką pracę w kraju przeklętym przez geografię (także sportowo).

Początkowo zimowe rozrywki były zastrzeżone wyłącznie dla tych, których stać było na wyjazd do Szwajcarii. Musiało minąć kilkadziesiąt lat, żeby pojawiły się narodowe centra sportów zimowych. Początki były skromne, także w Polsce: w 1894 r. Stanisław Barabasz i Jan Fischer odbyli wprost epicką wyprawę narciarską z Zakopanego nad... Czarny Staw Gąsienicowy. No, ale wówczas do Zakopanego nie docierała nawet kolej. Musiało minąć jeszcze wiele lat, zanim sporty zimowe przestały być snobistyczną rozrywką bogatych turystów. Tak naprawdę sporty zimowe spopularyzowały dopiero transmisje telewizyjne, prowadzone od nieco ponad pół wieku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 253b1c906f

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

MIŁOŚNICY PRZEDWOJENNEGO KINA ZNAJĄ DOSKONALE JÓZEFA ORWIDA GŁÓWNIE Z RÓL KOMEDIOWYCH. NAPRAWDĘ NAZYWAŁ SIĘ KOTSCHY, A ORWID TO JEGO PSEUDONIM SCENICZNY, KTÓRY PRZYBRAŁ DEBIUTUJĄC NA KRAKOWSKIEJ SCENIE TEATRALNEJ W 1909 ROKU, W WIEKU 18 LAT.

W FILMIE POJAWIŁ SIĘ PO RAZ PIERWSZY DOPIERO W 1933 ROKU, ALE DO WYBUCHU II WOJNY ŚWIATOWEJ ZDĄŻYŁ ZAGRAĆ W NIEMAL 40 PRODUKCJACH. WIDZOWIE POKOCHALI GO DZIĘKI WYSTĘPOM W NAJPOPULARNIEJSZYCH KOMEDIACH LAT 30., TAKICH JAK „PIĘTRO WYŻEJ" CZY „PAWEŁ I GAWEŁ", W KTÓRYM PARTNEROWALI MU: EUGENIUSZ BODO, HELENA GROSSÓWNA I ADOLF DYMSZA.



NAJLEPSZE SWOJE KREACJE STWORZYŁ W FILMACH NAKRĘCONYCH W 1939 ROKU, KTÓRYCH PREMIERA ZE WZGLĘDU NA WYBUCH WOJNY ODBYŁA SIĘ DOPIERO W KOLEJNYCH LATACH. W „JA TU RZĄDZĘ" WCIELIŁ SIĘ W ROLĘ MAJSTRA SZEWSKIEGO WIRGILIUSZA KOPYTKIEWICZA, A PARTNEROWAŁA MU INA BENITA. TA SAMA AKTORKA ZAGRAŁA JEGO CÓRKĘ W KOMEDII POMYŁEK „SPORTOWIEC MIMO WOLI", W KTÓREJ ORWID ZAGRAŁ WŁAŚCICIELA FABRYKI „METAL", SPONSORUJĄCEGO DRUŻYNĘ HOKEJOWĄ.



W CZASIE OKUPACJI ORWID WYSTĘPOWAŁ NA JAWNYCH SCENACH. NATOMIAST 1 SIERPNIA 1944 ROKU PRZYŁĄCZYŁ SIĘ DO POWSTANIA WARSZAWSKIEGO. POMAGAŁ W ZAOPATRZENIU, ALE TAKŻE STARAŁ SIĘ DODAWAĆ OTUCHY POWSTAŃCOM POPRZEZ SWOJE AKTORSKIE WYSTĘPY.

RAZEM Z AKTORKĄ HANNĄ BRZEZIŃSKĄ BYŁ W DUŻEJ GRUPIE LUDZI, KTÓRZY ZGROMADZILI SIĘ 13 SIERPNIA 1944 ROKU NA ULICY KILIŃSKIEGO ABY OBEJRZEĆ ZDOBYCZNY NIEMIECKI POJAZD BORGWARD B IV.



WÓWCZAS DOSZŁO DO PRZYPADKOWEJ EKSPLOZJI DUŻEGO ŁADUNKU WYBUCHOWEGO ZNAJDUJĄCEGO SIĘ W POJEŹDZIE.

HANNA BRZEZIŃSKA TAK WSPOMINAŁA TEN MOMENT: „NA CHWILĘ STRACIŁAM PRZYTOMNOŚĆ. KIEDY SIĘ POZBIERAŁAM... ZOBACZYŁAM COŚ, CO TRUDNO SOBIE WYOBRAZIĆ. SETKI POROZRYWANYCH CIAŁ, STRZĘPY LUDZKIE ZWISAJĄCE Z BALKONÓW."



W WYNIKU EKSPLOZJI ZGINĘŁO PONAD 300 OSÓB, A KILKASET ODNIOSŁO OBRAŻENIA. POZA JÓZEFEM ORWIDEM NA UL. KILIŃSKIEGO ŚMIERĆ PONIÓSŁ TEGO DNIA TAKŻE AKTOR KAZIMIERZ ZWIĄZEK.

eprasa.pl 253b1c906f



Sławomir Cenckiewicz

/ Felieton

Zapiski na początek Roku... Mackiewicza

No to mamy rok 2022! Sejm RP ustanowił, że patronami roku 2022 będą: Maria Grzegorzewska, Maria Konopnicka, Ignacy Łukasiewicz, Józef Mackiewicz, Wanda Rutkiewicz, Józef Wybicki oraz polski romantyzm. Jestem już w na tyle poważnym wieku, że staram się coraz częściej dostrzegać pozytywy nawet w oceanie głupoty, stąd niewątpliwie należy się cieszyć z roku Józefa Mackiewicza. To jakby oficjalne uznanie antykomunistycznego światopoglądu tego wielkiego pisarza (poza jego pisarskim geniuszem, rzecz jasna!) za dopuszczalny i dozwolony, a nie tylko „manię", jak chciałby Stefan Kisielewski, która była negatywnym dodatkiem do literackiego talentu.

Mackiewiczowski antykomunizm jest jednak kłopotliwy. I to przecież nie tylko dla postkomunistów zdeklarowanych, lecz także dla tych, którzy udają konserwatystów i antykomunistów, a są w stanie pochwalać „niektóre aspekty życia" Polski Ludowej, czcić bohaterów Ludowego Wojska Polskiego walczących o „polskość" Kołobrzegu i Szczecina, bronić pułkowników z Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego czy zupełnie wprost – jak pewien czołowy nasz historyk – wyznać wreszcie, że w sumie wygraliśmy drugą wojnę światową, bo bijąc się po stronie Sowietów przeciwko Niemcom, „zyskiwał naród polski nowe ziemie (na zachodzie)", a „spośród narodów po wschodniej stronie żelaznej kurtyny był to jedyny taki przypadek. Bijąc się u boku Niemiec, byłoby to niemożliwe, gdyż pokonanych się nie nagradza". Jakże to mackiewiczowskie, nieprawdaż? Boję się, że ten sam jegomość stanie niebawem na którejś z mackiewiczowskich akademii i odda hołd Józefowi Mackiewiczowi jako antykomuniście, świadkowi Katynia i Bóg jeden wie za co jeszcze. A jednocześnie nikt nie wspomni o jego antykomunistycznej interpretacji Soboru Watykańskiego II i zmian w Kościele, że o Mackiewiczowskich ocenach Armii Krajowej i wojny ze strażnikami naszej jedynie słusznej polityki podziemnej podczas drugiej wojny światowej w osobach Jana Nowaka, Tadeusza Pełczyńskiego czy Tadeusza Żenczykowskiego nie wspomnę.

> „... w Polsce podziemnej antyniemcem musiał być każdy z obowiązku narodowego; **antykomunistą tylko ten, kto uprzednio uzyskał na to pozwolenie władz podziemnych**"

Lubię tę nieszablonowość Józefa Mackiewicza, który w „Zwycięstwie prowokacji" pisał, że w Polsce podziemnej „antyniemcem musiał być każdy z obowiązku narodowego; antykomunistą tylko ten, kto uprzednio uzyskał na to pozwolenie władz podziemnych. Ten, nieco anegdotyczny, skrót przeniesiony w praktykę obalał oczywiście »teorię dwóch wrogów« i nadawał akcji antykomunistycznej formy nierzadko karykaturalne. Tak np. po wykryciu i ustaleniu winy sowieckiej za zbrodnię katyńską obowiązywała dziwaczna formuła, że »Niemcy też dorzucili tam część trupów przez siebie pomordowanych«. Każde wystąpienie w prasie podziemnej przeciwko Sowietom musiało być okupione długim elaboratem wstępnym przeciwko Niemcom. Jedno złe słowo pod adresem Stalina wymagało ustalonej normy złych słów pod adresem Hitlera itd. Naturalnie rzecz jest przedstawiona w szematycznym skrócie. Ale ten mniej więcej szablon cenzury narodowej obciążał ogromnie publicystykę podziemną, a nie waham się twierdzić, że ją w dużym stopniu ogłupiał, tym bardziej gdy się zważy nie zawsze wysoki poziom wyrobienia politycznego i intelektualnego podziemnych »cenzorów«".

No dobra, najważniejsze, że za sprawą Sejmu RP Józef Mackiewicz ponownie powraca. To znaczy, wbrew bredniom, które raz po raz słyszę, był i jest on obecny od lat wśród tych, którzy chcą Mackiewicza poznać i znać. Od wielu lat są książki, i to wciąż nowe, starannie wydawane przez Ninę Karsow (swoją drogą nikt nie zrobił tyle co ona dla pamięci o Józefie Mackiewiczu!). Ale też powiedzieć należy, że Mackiewicz nie jest pisarzem pod strzechy. To geniusz, to rewizjonista, to fundamentalista (prawdy przeciw kłamstwu!), to człowiek międzynarodowy, i tak nowoczesny, i tak profetyczny, że przez to wszystko jego spuścizna pisarska stanowi wyzwanie i jako taka trafić pod strzechy nie może, bo Mackiewicz musiałby się stać pisarzem masowym. A że był kanciasty, to podobać się wszystkim (czy nawet większości) nie mógł, więc na szczęście pod strzechy nie trafi. ©℗

eprasa.pl 253b1c906f

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA IWONA KIENZLER: „TAJEMNICZE ZGONY WŁADCÓW"

SIĘGNIJ PO KSIĄŻKĘ IWONY KIENZLER I ODKRYJ MROCZNE STRONY HISTORII!

Od nagłej i niespodziewanej śmierci ginęli carowie, królowie, książęta. Poznaj najbardziej zagadkowe zejścia z tego świata polskich i europejskich monarchów!

Władysław Warneńczyk, Napoleon, car Aleksander, książę Kentu… Śmierć tych i innych władców otacza aura tajemniczości. Żegnali się z życiem wskutek spisku, otrucia, intrygi, z ręki wybranki, a w przypadku niektórych zostały legendy o ich cudownym ocaleniu.



142 zł
oszczędność 29 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NR.
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO sp. z o.o.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 253b1c906f